PIOTR NAJSZTUB I ROBERT MAKŁOWICZ RADZĄ, CO ZJEŚĆ PODCZAS WAKACYJNYCH PODRÓŻY >30

PRZEKRÓJ

Biblioteka Publiczna

NR 26/3340 / 2 LIPCA 2009 / CENA 4,95 ZŁ
/ W TYM 7% VAT /

CZARNY KRÓL >8 BIAŁY KRÓL

Michael Jackson (1958–2009)

EKSPERYMENTY NA DZIECIACH
UWAGA NA LEKI DLA NAJMŁODSZYCH!
>42

WANDA POŁTAWSKA
SIOSTRA NASZEGO PAPIEŻA
>38

PRAWO JAZDY
PO NOWEMU
>20

WWW.PRZEKROJ.PL

INDEKS 371424
ISSN 0033-2488
26
9 770033 248908

SZUKAJ „PRZEKROJU" Z PRZEWODNIKIEM „WEEKENDOWE TRASY PO WIELKOPOLSCE" - TYLKO 5 ZŁ

WSPÓLNOTA EUROPEJSKA
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego

UŚMIECHNIJ SIĘ!
JESTEŚ W
HISZPANII

ESPAÑA

Trzynaście miast pełnych histo
podziel się nimi z przyjaciół

www.ciudadespatrimonio.org
www.spain.info

AMBASADA HISZPANII - BIURO RADCY ds. TURYSTYKI Al. Jana Pawła II, 27 00-867 WARSZAWA
Tel.: (+48) 22 653 64 16 Fax: (+48) 22 653 64 15 warszawa@tourspain.es

NA POCZĄTEK

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI; FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/FOTORZEPA, ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

RACZKOWSKI

więcej obrazków na www.przekroj.pl

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...o sporach w SLD, kogo by tu wystawić do wyborów prezydenckich.
Bo choć zgadzamy się z przewodniczącym Napieralskim, że „kobieta może być równie dobrym prezydentem jak mężczyzna", to jednak rozczarowuje brak wyobraźni i odwagi myślenia wśród działaczy SLD – wahają się, czy postawić na Jolantę Szymanek-Deresz, czy Jolantę Kwaśniewską. A przecież najlepsza byłaby Rutowicz. Też Jolanta. I też lubi różowy.

...o straszących w całej Polsce plakatach eurowyborczych, które już dawno powinny zniknąć z ulic i z murów. Bo trudno nam w to uwierzyć, ale najwyraźniej jako społeczeństwo wolimy polityków wieszać, niż obdzierać. A powinno być odwrotnie.

...o problemach Benedykta XVI z lefebrystami – on poszedł im na rękę i przyjął na łono, a oni, współstanowiąc już ciało Kościoła, zrobili mu wbrew i nielegalnie wyświęcili nowych księży w USA i Niemczech. A w myśl katolickiej teologii takie święcenia są niegodne i bezprawne, lecz jednocześnie ważne. Bo łatwo się czepiać papieża, a przecież ileż działań naszych polityków jest niegodnych i bezprawnych, a jednak ważnych – i nawet tego nie zauważamy?

...o europośle Jacku Kurskim, który trafił do sądu na wniosek sopockich radnych dotkniętych tym, że nazwał ich „prywatnym folwarkiem ludzi całkowicie uzależnionych od Jacka Karnowskiego". Bo w sumie śmieszniejsi są sami radni, którzy za jedyne trzy tysiące złotych kosztów sądowych zawarli ugodę, kiedy usłyszeli, że Kurski „wyraża głębokie ubolewanie". Czyli wierzą Kurskiemu, kiedy ich obraża i kiedy ich przeprasza. Naiwni desperaci.

...o zawieszeniu na trzy miesiące w prawach członka byłego już europosła Andrzeja Szejny za krytykowanie w prasie szefa SLD. Bo zaczęliśmy rozważać, czy przy tak szerzącej się w kręgach partyjnych skłonności do zawieszania nie należałoby powołać Międzypartyjnego Centrum Zawieszonego Członka, co pozwoliłoby zarządom partii wspierać się w kontrolowaniu tych wszystkich niesfornych gaduł. Ale od razu dostrzegliśmy zagrożenie – mogłaby w ten sposób powstać partia całkiem sensownie mówiących ludzi.

Dobrze powiedziane

Grosik do grosika i kupeczka się znajdzie

Eugeniusz Kłopotek, poseł PSL, nawołujący do szukania nawet drobnych oszczędności budżetowych

Powiedziała, co wiedziała

Uważam, że osoby, które są po trzydziestce i nie mają dzieci, a mówią, że od lat się starają i nie stosowały środków antykoncepcyjnych lub nie usuwały ciąży, zwyczajnie kłamią

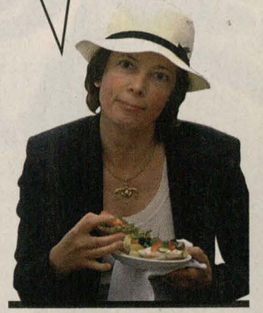

Nelli Rokita, posłanka PiS, o bezpłodnych kobietach, które chcą rodzić dzieci metodą in vitro

LAST MINUTE

+ Krzysztof Płyta +

Mimowolnie Zabawne Informacje Gospodarcze: – Jaki będzie gaz z Kataru? – Skroplony.

ZOBACZ PRZEKRÓJ

30

LUDZIE

Nie jestem kreatorem nowych smaków, ja tylko pokazuję, co jadają na świecie – mówi Robert Makłowicz

FOT. BOGDAN KREŻEL, STYLIZACJA ALICJAKAZIMIERCZAK.PL. DZIĘKUJEMY GALERII OSOBLIWOŚCI, KRAKÓW, UL. SŁAWKOWSKA 16, WWW.ESTE.KRAKOW.PL; OKŁADKA I: MICHAEL JACKSON FOT. HENRY DILTZ/CORBIS; OKŁADKA IV: MICHAEL JACKSON FOT. AMMAR FAOUZI/DALLE/FOTOLINK

PRZEDE WSZYSTKIM

6 | **Komentarze** Rafała Kostrzyńskiego i Pawła Moskalewicza

PRZEKRÓJ TYGODNIA

8 | **Powiększenie:** Umarł król
14 | **Kraj**
16 | **Świat**
18 | **Biznes**

WYDARZENIA KRAJ

20 | **Wyboista droga** do prawa jazdy
24 | **Jak zdrowo jeść?** Zapytaj polityka!
25 | **Media pełne wartości** (chrześcijańskich)

WYDARZENIA ŚWIAT

26 | **Azja zmienia twarz** – moda na operacje plastyczne

LUDZIE

30 | **Najsztub pyta Roberta Makłowicza,** czy namówi premiera na rewolucję w stołówkach szkolnych
34 | **Cristiano Ronaldo** – złoty chłopak
38 | **Wanda Półtawska** – przyjaciółka papieża na dobre i na złe
40 | **Teczki osobowe**

CYWILIZACJA

42 | **Nie ma lekarstw dla dzieci!** – lekarze załamują ręce, produceni umywają ręce
46 | **Po co nam pierwiastki?**

WAKACJE Z „PRZEKROJEM"

48 | **Bawimy się w Tel Awiwie** i czytamy wiersze z mostu

KULTURA

50 | **Serialowe scenariusze** – drugie życie mistrzów pióra
54 | **Film:** głośny (ale nudny) Chińczyk, milczący (i ciekawy) Argentyńczyk
56 | **Książki:** Burroughs wiecznie żywy
56 | **Teatr:** Żałujemy, że Stasiuk żałuje granic
58 | **Muzyka:** Open'erowi goście

OTWÓRZ OCZY

60 | **Malarstwo prawie realistyczne.** Prawie robi sztukę

ZAWSZE W „PRZEKROJU"

3 | **W tym tygodniu** nie piszemy
64 | **Rozmaitości** z krzyżówką, jolką i felietonami
67 | **Stopklatka**
3, 6, 64, 66 | **Raczkowski:** Rysunki

PIĘKNA W PODRÓŻY

WAKACYJNY PLEBISCYT „PRZEKROJU" I VICHY

Wyślij SMS i wygraj atrakcyjne nagrody!

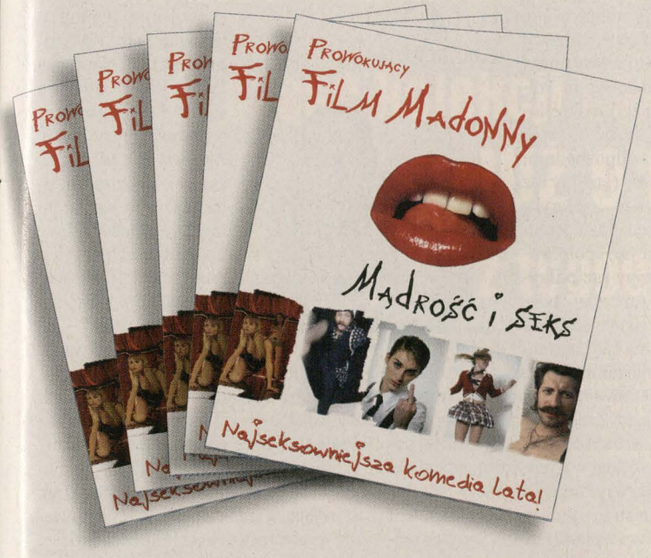

5 kremów Vichy Myokine
Krem korygujący pierwsze zmarszczki

Myokine już po 21 dniach koryguje zmarszczki w okolicach mimicznych dzięki zastosowaniu aktywnej cząsteczki Adenoxine™ (magnez + adenozyna), która hamuje kurczliwość fibroblastów i stymuluje wytwarzanie włókien kolagenowych.

5 podwójnych biletów na pokaz w Warszawie

PRK.1 „Thelma i Louise"
PRK.2 „W stronę Marrakeszu"
PRK.3 „Bagdad Cafe"
PRK.4 „Teraz ja"
PRK.5 „Alien"
PRK.6 „Farba"
PRK.7 „Siostra Betty"
PRK.8 „Chłopaki na bok"
PRK.9 „Portret damy"
PRK.10 „Indochiny"
PRK.11 „Plac Waszyngtona"
PRK.12 „Lara Croft i świątynia zagłady"
PRK.13 „Persepolis"
PRK.14 „Upały"
PRK.15 „La Strada"
PRK.16 „Śniadanie u Tiffany'ego"
PRK.17 „Przystanek autobusowy"
PRK.18 „I twoją matkę też"
PRK.19 „Czarnoksiężnik z krainy Oz"
PRK.20 „Panna z mokrą głową"
PRK.21 „Alicja w krainie czarów"
PRK.22 „Wyśnione życie aniołów"
PRK.23 „Fortepian"
PRK.24 „Przygoda"
PRK.25 „Anioł przy moim stole"
PRK.26 „Priscilla, królowa pustyni"
PRK.27 „Wszystko, co najważniejsze"
PRK.28 „Pod osłoną nieba"
PRK.29 „Transamerica"
PRK.30 „Pod słońcem Toskanii"

ZDROWIE JEST PIĘKNE
VICHY LABORATOIRES
PRZEKRÓJ

Aby wziąć udział w głosowaniu na swój ulubiony film, wystarczy wysłać SMS pod nr 72606 z kodem przyporządkowanym do filmu, na który chcesz oddać głos (np. PRK.1). Można również głosować na **www.przekroj.pl** – tam też czekają do wygrania atrakcyjne nagrody.

Koszt SMS-a: 2 zł (2,44 z VAT). Na zgłoszenia czekamy od 2.07 do 08.07.2009 r. Informacja o danych osobowych dostępna na stronie 66. Regulamin plebiscytu dostępny w siedzibie organizatora: Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa

FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI, BOGDAN KRĘŻEL

Z pokorą i z brzuchem

Paweł Moskalewicz

„ŻONA POWINNA ODDAWAĆ SIĘ MĘŻOWI W CISZY I Z POKORĄ, a każda kobieta, która czerpie przyjemność z seksu, będzie się smażyć w piekle". To nie fragment kościelnego kazania z czasów średniowiecza, ale cytat z nauczycielki wychowania seksualnego w jednym z polskich gimnazjów.

Grupa Edukatorów Seksualnych „Ponton", skupiająca wolontariuszy prowadzących zajęcia z edukacji seksualnej, przygotowała raport na temat kondycji tego przedmiotu w polskich szkołach. Wnioski, które przynosi opublikowany niedawno dokument*, są wstrząsające.

Przede wszystkim po raz kolejny okazało się, że teoretycznie obowiązkowa edukacja seksualna jest fikcją. Prawie 40 procent badanych zadeklarowało, że nigdy (!) nie miało takich zajęć. Co ciekawe, najgorzej z dostępnością tego przedmiotu jest w liceach, czyli wtedy, gdy wielu młodych ludzi podejmuje pierwsze seksualne eksperymenty.

Jeszcze gorzej jest z poziomem przekazywanej wiedzy. Uczniowie dowiadują się, że „kondomy są niebezpieczne, gdyż uciskając nasadę penisa, mogą spowodować odcięcie dopływu krwi i trwałą impotencję". A jeżeli już nauczyciel (często katechetka) zdecyduje się mówić o jakichkolwiek poza wstrzemięźliwością metodach zapobiegania ciąży, zaleca „położenie się na wodzie z octem, co wypłucze i zabije plemniki". Uczniowie dowiadują się także, że „tampony mogą przyrastać do pochwy", a „gwałt to kara za rozwiązłość".

Przykłady można mnożyć. Dlatego po raz kolejny bijemy na alarm! Edukacja seksualna w szkołach leży, jest niedostępna albo prowadzona w skandaliczny sposób przez zaślepionych ideologicznie, nieprzygotowanych ignorantów. Państwo nie robi nic, by ochronić dzieci przed niebezpieczeństwem, jakie niosą choroby przekazywane drogą płciową, i tragedią, jaką dla nastolatki może być niechciana ciąża.

Rozpoczęły się wakacje, dziesiątki tysięcy nastolatków ruszyły pod namiot, na kolonie i obozy. Może wrócą zdrowi i bez brzucha. Ale jeśli będzie inaczej, to każda taka tragedia spada na rząd i Ministerstwo Edukacji. I lęk przed Kościołem niczego tu nie tłumaczy. □

● Powstał na podstawie kilkuset dobrowolnych relacji uczniów podstawówek, gimnazjów i liceów

Bezzębna Rosja

Rafał Kostrzyński

ILE RAZY MOŻNA ODKRYĆ AMERYKĘ? WIELE, a na domiar złego za każdym razem można mieć to fantastyczne uczucie olśnienia, że się ją odkryło. W późnym stadium alzheimera to jest zrozumiałe. Ale mówimy tu o polityce, nie o alzheimerze.

Napisał „Dziennik", że porozumienie Rosja–NATO o wznowieniu współpracy oznacza jednocześnie pożegnanie z zimną wojną i odsunięcie realizacji projektu budowy tarczy antyrakietowej w Polsce w bliżej nieokreśloną przyszłość. A więc napisał odpowiednio: nieprawdę (kolejny raz odkrywając Amerykę w miejscu, gdzie jej nigdy nie było) i półprawdę (kolejny raz odkrywając Amerykę tam, gdzie od dawna leży).

Nie ma żadnego zakończenia zimnej wojny. Ani Rosja nie zmieniła swojej wielkomocarstwowej retoryki, ani Zachód nie zaczął się przed nią uginać bardziej, niż robił to do tej pory. Na greckiej wyspie Korfu, gdzie szef rosyjskiej dyplomacji najpierw spotkał się z ministrami państw NATO, a potem z przedstawicielami OBWE, wszyscy mówili to samo. Siergiej Ławrow – że świat powinien uznać niepodległość Abchazji i Południowej Osetii, a szef Sojuszu Jaap de Hoop Scheffer – że nie ma o tym mowy. Z podobną reakcją spotkała się najnowsza inicjatywa Rosji dotycząca bezpieczeństwa w Europie. Prezydent Dmitrij Miedwiediew chciałby odsunięcia od tych spraw NATO i OBWE, ale i tu spotkał się ze szczerą (w języku dyplomacji oznacza to „krytyczną") reakcją. Nic dziwnego. Kreml domaga się od Europy, by stała się partnerem, który zatańczy tak, jak mu się zagra. Przesadza. Europa może i nie jest w stanie przekonać Moskwy do wszystkich swoich racji, może i czasem zajmuje zbyt koncyliacyjne stanowisko – ale na dalsze ustępstwa iść nie zamierza i na Korfu jasno to zakomunikowała. Rosjanie ewidentnie chcieli wybadać, co mogą ugrać przed zaplanowaną na 5 lipca wizytą Baracka Obamy w Moskwie – przede wszystkim, czy mają szansę na zmarginalizowanie roli USA. Dowiedzieli się, że nic z tego*. Wznowienie współpracy z NATO? Jak najbardziej, ale w kwestiach, które nie mają żywotnego znaczenia geopolitycznego dla żadnej ze stron – jak Afganistan, Iran czy zwalczanie międzynarodowego terroryzmu. Niech Rosja nie liczy, że uda się jej coś dzięki temu rozsadzić od środka.

A co z tą tarczą? To prawda, że jej realizacja odsunęła się „w bliżej nieokreśloną przyszłość". Odsunęła się tam jednak dawno temu – wtedy, gdy Barack Obama wygrał wybory prezydenckie. On ma inne priorytety: uspokoić Iran, Koreę Północną, opanować kryzys. Budowa tarczy w Polsce tylko utrudniłaby mu wykonanie zadania. □

● Co dała im do zrozumienia nawet ich sojusznicza Serbia

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

więcej obrazków na www.przekroj.pl

PRZEKRÓJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Eile

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA, **TEL.** (0–22) **584 25 25**, **FAKS** (0–22) **584 25 21**, WWW.PRZEKROJ.PL **E-MAIL: redakcja@przekroj.pl** lub **imie.nazwisko@przekroj.pl**
REDAKTOR NACZELNY: Jacek Kowalczyk **ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO:** Bartek Chaciński, Paweł Moskalewicz, Tomasz Plata **SEKRETARZE REDAKCJI:** Magda Gędziorowska, Marcin Pieszczyk **DYREKTOR ARTYSTYCZNY:** Anna Myśliwiec **SEKRETARIAT:** Iwona Chmielewska, tel. 584 25 25 **KULTURA:** kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendecki (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak, Ola Salwa; stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski, Marcel Andino Velez **KRAJ:** kraj@przekroj.pl, Paweł Moskalewicz (szef), Agnieszka Fiedorowicz, Milena Rachid Chehab, Aleksandra Pawlicka, Igor Ryciak, Judyta Sierakowska, Krzysztof Szczepaniak, Anna Szulc, Paweł Wieczorek; stale współpracuje Piotr Najsztub **ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (szef), Maciej Jarkowiec, Joanna Woźniczko-Czeczott, Łukasz Wójcik **CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, Olga Woźniak (szef), Wojciech Mikołuszko, Piotr Stanisławski; stale współpracują: Irena Cieślińska, Piotr Kossobudzki **ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKA:** rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk **PAN OD RYSUNKÓW:** Jacek Ziemiński **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Władysław Buchner, Piotr Gidlewski, Małgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski **FOTOEDYCJA:** foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Anna Bajorek, Bogdan Krężel, Olga Pilśniak, Marek Szczepański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniołek, Marcin Zegarek **PROJEKT GRAFICZNY:** Marek Knap **STRONA INTERNETOWA:** Marcin Cichoński **KOREKTA:** Dorota Dul, Tatiana Hardej **REDAKTOR TECHNICZNY:** Alan Jawor **ARCHIWUM:** Dominika Bok, tel. 584 25 61 **OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Absolut Meat

EDIPRESSE POLSKA

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA SA, UL. WIEJSKA 19, 00–480 WARSZAWA, **TEL.** (0–22) **584 22 00**, **FAKS** (0–22) **584 22 01**
PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała **WICEPREZES WYDAWNICTWA I DYREKTOR WYDAWNICZY „PRZEKROJU":** Ewa Redel-Bydłowska **DYREKTOR FINANSOWY:** Paweł Satkowski **DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:** Alicja Modzelewska **ZASTĘPCA DYREKTORA ZARZĄDZAJĄCEGO:** Izabela Bochenek **DYREKTORZY ARTYSTYCZNI WYDAWNICTWA:** Elżbieta Strzałecka-Zochowska i Bogdan Zochowski, Marek Knap **PUBLIC RELATIONS:** Ewa Siniarska **DYREKTOR BIURA REKLAMY EDIPRESSE:** Agnieszka Bieniek **Z-CY DYREKTORA BIURA REKLAMY EDIPRESSE:** Małgorzata Perzanowska i Mariola Chlebicka-Zienkiewicz **PROMOCJA „PRZEKROJU"** promocja@przekroj.pl, Magda Kotowska – junior product manager, tel. 584 22 96; Katarzyna Brzozowska, tel. 584 25 74; Anna Romotowska-Kiem **BIURO REKLAMY „PRZEKROJU":** reklama@przekroj.pl, Małgorzata Golba – dyrektor, tel. 584 23 11, Agnieszka Marcisz, tel. 584 21 72, Małgorzata Skorupa, tel. 584 22 95, Grzegorz Makowski, tel. 584 22 05, Grzegorz Wilczek, tel. 584 25 94, ul. Wiejska 19, 00–480 Warszawa, faks (0–22) 584 25 92 **DYREKTOR DYSTRYBUCJI:** Piotr Lech **DYREKTOR PRODUKCJI:** Danuta Kamińska **KIEROWNIK PRZYGOTOWALNI:** Paweł Szpyrel **DRUK:** QuadWinkowski **BIURO OBSŁUGI KLIENTA** oraz **PRENUMERATA** – informacje, zamówienia, reklamacje, tel. (0–22) 584 22 22 (pn.–pt., godz. 8–18), faks (0–22) 584 22 32, bok@edipresse.pl **PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE URZĘDY POCZTOWE W TERMINIE NA IV KWARTAŁ 2009 R. DO 25 SIERPNIA BR. A WŁAŚCIWE DO KOŃCA MIESIĄCA . WPŁATY NA PRENUMERATĘ SĄ PRZYJMOWANE BEZ POBIERANIA DODATKOWYCH OPŁAT. MOŻNA RÓWNIEŻ ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ NA WWW.POCZTA-POLSKA.PL/PRENUMERATA, HTTP://WWW.POCZTA-POLSKA.PL/PRENUMERATA. **PRZEZ RUCH SA** – RUCH SA
prenumerata krajowa – 0 804–200–600, prenumerata zagraniczna – 022 53–28–816; 022 53–28–823

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

NOWOŚĆ!
LEGENDY KINA
CLINT EASTWOOD
KOLEKCJA 20 FILMÓW CLINTA EASTWOODA
– JEDNEGO Z NAJLEPSZYCH AKTORÓW I REŻYSERÓW HOLLYWOODZKICH
2. część kolekcji Brudny Harry
JUŻ 9 LIPCA
tylko z tygodnikiem PRZEKRÓJ
Najlepszy policyjny thriller wszech czasów z Clintem Eastwoodem w roli detektywa Harry'ego Callahana. Sukces filmu doprowadził do powstania czterech kolejnych części, a sam motyw samotnego gliniarza działającego wbrew naciskom przełożonych, stał się kanwą wielu innych filmów kryminalnych.
WIELKA KOLEKCJA FILMOWA
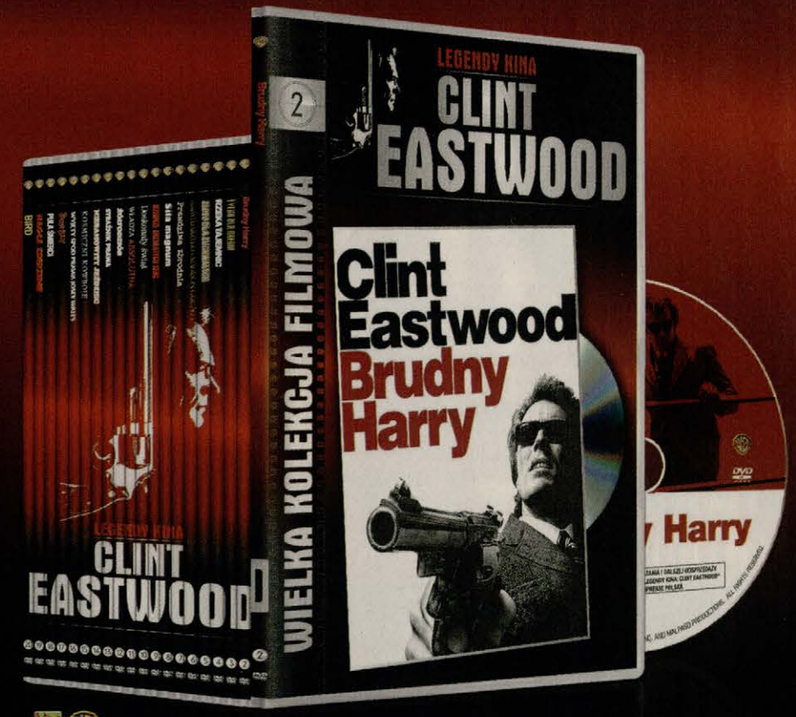

© 2009 Warner Bros. Entertainment Inc. Distributed by Warner Home Video. All Rights Reserved.
Kolejne filmy z kolekcji co 2 tygodnie w kioskach tylko z PRZEKRÓJ
Szczegóły i prenumerata na www.przekroj.pl

Możesz próbować mnie powstrzymać, ale to nic nie da,
Cokolwiek zrobisz, wciąż tutaj będę,
Mimo wszystkich twoich kłamstw i głupich gier
Pozostanę taki sam, jestem niezniszczalny

(*Michael Jackson – „Unbreakable"/„Niezniszczalny"*)

Powiększenie

UMARŁ KRÓL ALE MIT ŻYJE

Król umarł, ale dla jacksonomanii to dopiero początek

Trudno uwierzyć, jak mało wciąż wiemy o Jacksonie

Nie jadł, nie spał, a kiedy już zasnął, miał koszmary, że ktoś go zamorduje. Zamartwiał się, że zawiedzie swoich fanów. Poddał się. Jego głos, jego taniec nie były już takie jak dawniej. Myślę, że wolał umrzeć, niż skompromitować się na scenie – powiedział o Michaelu Jacksonie jeden z jego współpracowników w wywiadzie dla brytyjskiej gazety „The Daily Mail". Coś w tym jest. Jakkolwiek cynicznie i paradoksalnie by to zabrzmiało, 25 czerwca 2009 roku Król Popu ostatecznie uratował swoją karierę. W cień odeszły posądzenia o pedofilię, nie mają już znaczenia kształt i stan jego nosa czy odcień skóry, wysokością długów martwią się dziś tylko wierzyciele. Umarł 50-letni człowiek. Ułomny, chory, zagubiony.

Za to mit Jacksona żyje i z godziny na godzinę ma się coraz lepiej. Płyt artysty zabrakło w sklepach (swoją drogą, co to za fani, którzy jeszcze nie mieli na półce „Thrillera" czy „Bad"?!), stacje radiowe dudnią od jego hitów, nawet telewizja MTV przypomniała sobie o jego muzyce i na okrągło puszczała teledyski człowieka, któremu zawdzięcza swą potęgę. Gazety prześcigają się w rozprawach na temat: „Dlaczego Jackson wielkim artystą był"*, telewizje pokazują fragmenty klipów przeplatane zwierzeniami fanów, a handlowcy już zacierają ręce na myśl o nieuchronnej jacksonomanii.

Będą reedycje albumów, będą specjalne boksy, płyty DVD i niepublikowane dotąd utwory, będą opasłe księgi ze zdjęciami i nieco chudsze, z setką teorii na temat, kim naprawdę był i jak umarł Michael (w tym takie, z których się dowiemy, że tylko sfingował swą śmierć, czuje się świetnie i ukrywa gdzieś w Ameryce Południowej). Będą filmy kinowe, programy telewizyjne i tony gadżetów. Idę o zakład, że większość z ponad miliona biletów na serię koncertów w Londynie, która miała ruszyć już w lipcu, nigdy nie zostanie zwrócona. Pal licho kilkadziesiąt czy kilkaset funtów – ten świstek papieru to teraz historia naszej cywilizacji! →

* **„Przekrój" pamiętał o tym za jego życia.** Tekst „Michael Jackson: Powrót czy pogrzeb?" ze stycznia 2008 roku znajdziecie na muzyka.przekroj.pl

13-letni Michael na podwórku domu rodzinnego. Jest już gwiazdą czarnej Ameryki – tym, kim Donny Osmond dla białych

Michael z La Toyą, starszą o dwa lata siostrą. Łącznie miał ośmioro rodzeństwa

Michael Jackson po premierze „Thrillera". To szczyt jego kariery i najlepiej sprzedająca się płyta wszech czasów

Brooke Shields i Michael po ceremonii wręczenia Grammy, rok 1993. Wkrótce potem nie byli już parą. Związki Jacksona z kobietami do końca zachowały dziwny charakter

Jackson w programie „The Sonny and Cher Show", 1976 rok

W nowojorskich plenerach do scen tanecznych z teledysku „Bad", rok 1986

Jedną z pierwszych dziewczyn Michaela była aktorka Tatum O'Neil. Tu oboje w roku 1978

Przed muzeum Madame Tussaud. Trafiło tu jego 13 figur woskowych – więcej ma tylko Elżbieta II

W epoce, gdy wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich Jackson wzniósł wokół siebie mur nie do sforsowania

→ Nawet jeśli sami nie ulegacie temu szaleństwu, spróbujcie je zrozumieć. Jak wielki był wpływ Jacksona na kulturę popularną, dowiedzą się dopiero przyszłe pokolenia, bo nam brak odpowiedniej perspektywy. Nie chodzi nawet o te góry płyt, które sprzedał (750 milionów), czy single, które wprowadził na szczyty list przebojów; nie wspominajmy tych jego rekordów Guinnessa... Choć sam Jackson od kilkunastu lat niczego ciekawego nie zaproponował, słuchamy go codziennie w setkach naśladowców. Jego nowatorskie pomysły oglądamy w filmach, wideoklipach i reklamach. Jego trudne do podrobienia ruchy i sztuczki sceniczne podziwiamy na koncertach innych gwiazd i w programach typu „You Can Dance".

Niestety, sam Michael Jackson milczał od zbyt dawna. Uwikłany w niewyjaśnione skandale obyczajowe, otoczony wianuszkiem tajemniczych współpracowników (którzy – trudno dociec – więzili go czy chronili?), pogrążony po uszy w długach, toczący nieustanne boje z demonami przeszłości, nie potrafił przełamać impasu. Seria koncertów w londyńskiej hali O2 – zaplanowanych na okres od 13 lipca 2009 do 6 marca 2010 roku – miała odmienić zły los. Chociaż sam Jackson przebąkiwał, że to jego ostatnie występy przed emeryturą, optymiści wiedzieli swoje. Plotkowano o planach światowej trasy, mówiono, że prace nad nowym albumem studyjnym są bardziej niż zaawansowane...

Jego śmierć była przedwczesna, zgoda. Ale czy na pewno niespodziewana? Przecież nie dalej jak dwa lata temu Jackson wylądował w szpitalu ze zrujnowaną wątrobą. Ludzie z najbliższego otoczenia artysty zgodnym chórem twierdzą, że był wrakiem człowieka. Wśród jego prawdziwych lub domniemanych dolegliwości wymienia się między innymi lekomanię, alkoholizm, ciężką depresję, bulimię, anoreksję i przewlekłą chorobę płuc, a długą listę zażywanych przez niego – i ponoć nadużywanych – substancji wypełniają głównie leki przeciwbólowe i antydepresanty.

Ciszej nad tą trumną! – apeluje rodzina. Ale jak tu milczeć, kiedy odszedł idol milionów, a przy tym człowiek, wokół którego w ciągu ostatnich kilkunastu lat narosło wiele, zbyt wiele, tajemnic. Trudno wręcz uwierzyć w to, jak mało o nim wiedzieliśmy. W epoce, w której wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, Jacksonowi udało się wznieść wokół siebie mur nie do sforsowania. Nie wiemy nawet, kto jest matką jego trzeciego dziecka, a co dopiero, jaka jest natura problemów, z którymi ostatnio się zmagał, czy co było przyczyną jego śmierci. Pozostajemy tylko w sferze domysłów, a towarzyszący im szum informacyjny nie pomaga w ustaleniu prawdy.

Co mógłby zrobić w tej sytuacji sam Michael Jackson? Pewnie zaśpiewałby nam wszystkim – wrogom i wielbicielom – „Leave Me Alone", jeden ze swoich wielkich hitów: „Zostawcie mnie w spokoju – koniec z tym! Po prostu przestańcie się za mną włóczyć".

Ale już nie zaśpiewa.

Jarek Szubrycht

Podczas tournée po Azji, 1987 rok

W komorze hiperbarycznej, rok 1986. Prasa donosiła, że zamierza żyć 150 lat

Z żoną, pielęgniarką Debbie Rowe. Pobrali się w 1996 roku, mają dwoje dzieci. Ich prawnym opiekunem był Michael

Maj 2009, Los Angeles, próba przed serią 50 koncertów, które zamierzał zagrać wkrótce w Londynie. Jedno z ostatnich zdjęć Jacksona

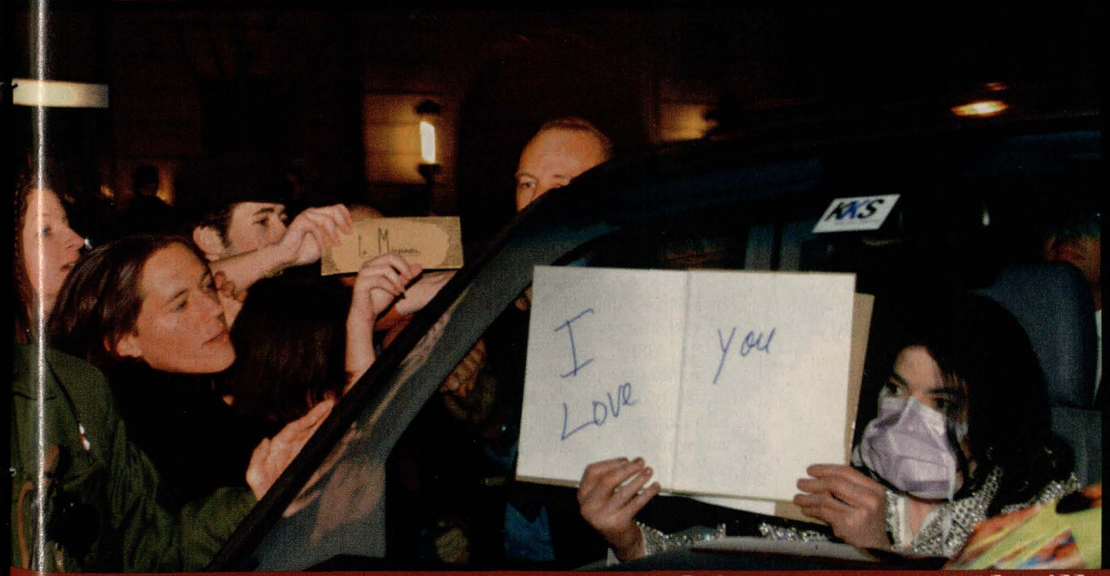

Niemcy, rok 2002. Jedno z ostatnich spotkań Jacksona z fanami. Ci nie porzucili go nawet w czasie procesu o pedofilię

OBYWATEL JACKSON Brak umiaru, życie na kredyt – cała Ameryka mieści się w osobie twórcy „Thrillera"

O czyma wyobraźni śmierć Michaela Jacksona widzę jak śmierć innego słynnego (choć fikcyjnego) syna Ameryki. Obywatel Kane, bohater filmu Orsona Wellesa, tak jak Jackson ucieleśnienie amerykańskiego snu, a potem upadły gwiazdor i milioner – umierał w odosobnieniu, zdziwaczały, nierozumiany przez nikogo. Z łatwością wyobrażam sobie, że Jackson – jak Kane – w momencie śmierci ściskał w dłoni zabawkę – wspomnienie utraconego dzieciństwa. Przyznaję – to bardzo amerykański obrazek. Cała Ameryka – no, może prawie cała – mieści się w Michaelu Jacksonie.

W Jacksonie jest amerykańskie uwielbienie rozmiaru. I nadmiaru. Jego sława była największa na świecie, teledyski najdłuższe i najdroższe, dom – rezydencja Neverland za 50 milionów dolarów – najbardziej ekscentryczny. Jest w nim amerykańska wolność, spełnienie snu: od pucybuta do milionera. Jest w nim amerykańskie zniewolenie, bezkompromisowy, wpajany od najmłodszych lat indywidualizm, który napędza Amerykę na tyle skutecznie, że biegnie ona kilka długości przed światem. Samotna. Tak jak jej społeczeństwo – kocioł coraz bardziej oddalonych od siebie wolnych elektronów.

W Jacksonie jest amerykański show-biznes, który zarabia więcej niż przemysł zbrojeniowy, wydaje z siebie więcej bohaterów narodowych niż armia i polityka razem wzięte, a o utrzymanie amerykańskiego panowania nad światem dba skuteczniej niż którykolwiek prezydent.

Jest w nim amerykański brak umiaru w życiu na kredyt. Wydawał 7,5 miliona dolarów rocznie na zachcianki i 5 milionów na utrzymanie Neverland. Ogromne pożyczki zaczął zaciągać pod koniec lat 90. Tak jak USA mogą zadłużać się w nieskończoność, bo wypłacalność gwarantuje im emisja zawsze atrakcyjnych obligacji, tak Jackson w bankach legitymował się glejtem praw autorskich do setek piosenek wartym miliard dolarów. Ale kryzys zapukał też do jego drzwi. Przed wywłaszczeniem uratowało go oddanie połowy praw do Neverlandu.

W Jacksonie jest historia równouprawnienia Murzynów. Był pierwszym czarnym artystą, który zawładnął wyobraźnią całej, również białej, Ameryki. Dosłownie – własnym ciałem – urzeczywistnił slogan, że kolor skóry nie ma znaczenia – umierał przecież biały jak porcelanowa lalka. Ale jego domniemana choroba, wskutek której tracił pigment, nabiera symbolicznej mocy, gdy się pamięta, jak wielu Murzynów w USA zadaje sobie pytanie: jak bardzo trzeba „się wybielić" (w sensie niedosłownym), by naprawdę stać się równoprawnym Amerykaninem? Jackson był jednym z największych bohaterów Stanów Zjednoczonych w ich historii, Królem, następcą Elvisa.

I tak jak przez lata w wielu wymiarach ucieleśniał wielkość Ameryki, tak pod koniec życia schorowany, zadłużony gigant o zszarganej reputacji stał się wymownym symbolem jej upadku.

Maciej Jarkowiec

O modzie na operacje plastyczne czytaj na s. 26, o recepcji Jacksona w Polsce – na s. 53, a o tworzeniu się Legendy – na s. 64

FOT. ZUMA/FORUM (2), CORBIS, SIPA/EAST NEWS (2), POLARIS/FOTOLINK, WIREIMAGE/FPM (2), LANDOV/MJS, GETTY/FPM (2), CINETEXT/MEDIUM, AP (2), LAIF/EK PICTURES

KRAJ

To wcale nie było OK

Sosnowiec poświntuszył w Europie

NA BILLBOARDACH PROmujących Sosnowiec za granicą chłopak złączył kciuk z palcem wskazującym – ten gest ma oznaczać, że miasto jest OK. We Francji jednak opisuje on narządy płciowe kobiety, w krajach arabskich to jak pokazanie środkowego palca. Włoch mówi w ten sposób, że „jesteś rogaczem", a Hiszpan – „jesteś zerem". W języku migowym oraz w Grecji to obraźliwy gest opisujący geja. Na powieszenie billboardów w europejskich miastach partnerskich Sosnowiec wydał 170 tysięcy złotych. Reklamy już zostały zdjęte. *– aj*

Dębowa kwadratura koła

Żuk wybija swoich żywicieli

W PARKU W ŻORACH ROZpadł się 300-letni dąb, bo poobgryzały go larwy żuka kozioroga dębosza. Drzewo – pomnik przyrody – było pod ochroną, ale nie można go było uratować, bo i dębosz jest chroniony. To rzadki żuk, gdyż larwy żerują na starych dębach, a tych jest coraz mniej także dlatego, że żerują na nich larwy dębosza. Martwy dąb jest chroniony też po swojej śmierci, więc nie można go sprzątnąć z parku. Tym zajmują się – po kawałku – złodzieje. *– aj*

Bombowe filmy

Na strychach leżą wybuchowe taśmy

FILMOTEKA NARODOWA jest polskim partnerem niemieckiego portalu Lost-films.eu. Na stronie umieszczono 3,5 tysiąca tytułów zaginionych filmów. Wśród nich 24 polskie. Polacy znaleźli już jeden film, tyle że niemiecki – komedię z 1925 roku. Jeśli znajdziesz taśmę z zaginionym obrazem, oddaj ją Filmotece nie tylko po to, by przywrócić ludzkości zaginiony dorobek, ale i dla własnego bezpieczeństwa: stary film łatwo ulega samozapłonowi i pudełko z taśmą może wybuchnąć. *– kom*

Więźniowie do synagog

Sprzątanie obiektów żydowskich ułatwi wyjście na wolność

SKAZANI Z 85 WIĘZIEŃ w całej Polsce będą porządkować i naprawiać kirkuty (cmentarze), synagogi oraz inne obiekty, które przed wojną służyły Żydom – taką umowę podpisał Centralny Zarząd Służby Więziennej i Fundacja Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego. Udział w programie będzie dobrowolny, praca nie będzie opłacana. Ale społeczne zaangażowanie ma wpływ na rozpatrywanie wniosków o przepustki, przerwę w karze lub warunkowe zwolnienie. Więźniowie zapoznają się też z żydowskimi tradycjami. Ma to uczyć skazańców tolerancji. *– iggy*

Woda duża, ale nie największa

Nie tylko szybko, ale też serdecznie – jak zapewnia premier Donald Tusk – mają być wypłacane zasiłki dla poszkodowanych w ostatnich powodziach, po sześć tysięcy złotych na dom. Najbardziej ucierpiały województwa: śląskie, dolnośląskie i podkarpackie. Hydrolodzy i członkowie sztabów kryzysowych oceniają jednak, że mamy do czynienia z lokalnymi powodziami lub lokalnymi podtopieniami. Trudno więc mówić o klęsce na skalę kraju, choć straty w Ropczycach (na zdjęciu) i w Kłodzku przypominają te z wielkiej powodzi w 1997 roku. Wtedy w dużej części spowodowali ją Czesi, gdy spuścili wodę ze zbiorników. Obiecali, że już tego nie zrobią. *– aj*

STUDENCI ANNA SZULC

Hindus stawia, a Polak się wpisuje

Polscy studenci podbijają Azję. Propozycji stażu w Indiach i Chinach nigdy dotąd nie było tak wiele

– TO DLA NAS FASCYNUJĄCE zjawisko – mówi Maciej Lisiewski, który w polskim oddziale AISEC zajmuje się studentami wyjeżdżającymi na praktyki. – W ciągu ostatnich 12 miesięcy podwoiła się zarówno liczba azjatyckich ofert pracy, jak i chętnych do wyjazdu Polaków.

Mimo niskich zarobków stażyście kusi szansa na zwiedzanie, na przykład **Tadż Mahal**

Płatne praktyki adresowane są do studentów i świeżo upieczonych absolwentów. W tym roku najwięcej, bo aż połowa z ponad tysiąca ofert pracy za granicą, napłynęło z Indii, jest też dużo propozycji z Chin. Największym wzięciem, szczególnie wśród hinduskich firm, cieszą się przyszli informatycy, bankowcy i menedżerowie, a także architekci, graficy, a nawet projektanci biżuterii i ubioru.

– W Indiach mimo światowego kryzysu prężnie rozwija się gospodarka – wyjaśnia „Przekrojowi" Abhimannyu Choudhary z hinduskiego AISEC. – Poza tym nasi pracodawcy szukają talentów, potrzebują ludzi z entuzjazmem i stawiają na kulturową różnorodność. Polscy studenci świetnie się w te oczekiwania wpisują – uważa Choudhary.

Dla Hindusów poważnym argumentem są też niższe wymagania finansowe Polaków w porównaniu ze studentami z Zachodu. Azjatyckie firmy za nawet dwuletni staż, który niczym się nie różni od zwykłej pracy w firmie, oferują najwyżej tysiąc euro miesięcznie. Tymczasem praktykant po rozmowie kwalifikacyjnej i testach językowych, bo trzeba znać angielski na poziomie komunikatywnym, musi się liczyć ze sporymi wydatkami. Sam opłaca przelot, wyżywienie oraz mieszkanie, choć organizatorzy praktyk pomogą mu je znaleźć.

– Pensje nie są wygórowane, ale wystarczają na skromne życie – zapewnia Maciej Lisiewski. I dodaje, że nie pieniądze przyciągają Polaków, lecz ciekawość świata, no i świetlana przyszłość zawodowa po orientalnym stażu.

Młody Polak mający doświadczenia z pracy w Azji może być bowiem bardzo łakomym kąskiem dla rodzimych inwestorów, których ten kontynent kusi coraz częściej. *Współpraca joa*

FOT. MICHAŁ ŁEPECKI/AGENCJA GAZETA, RADEK PASTERSKI/FOTOREPA, ISTOCK, ARCO/ORNIM, ABF/REPORTER

ROZMOWA

Europoseł za pięć groszy

POSEŁ PIS TADEUSZ CYMAŃSKI WYDAŁ NA kampanię wyborczą do europarlamentu zaledwie dwa tysiące złotych. Gdy podzielimy tę kwotę przez liczbę ponad 41 tysięcy oddanych na Cymańskiego głosów, okaże się, że jeden kosztował go mniej niż pięć groszy.

Jest pan najtańszym polskim politykiem. W wyborach parlamentarnych w 2007 roku rekord oszczędności wynosił 47 groszy. Jak to się robi?

– To robią media. Moja kampania trwała tak naprawdę cztery lata, podczas których byłem wciąż obecny w mediach. Komentarze i udział w programach stworzyły pozytywny odbiór mojej osoby. I choć startowałem z piątego miejsca i miałem silnych konkurentów, to ręki wyborczej nikt nie powstrzyma.

Na co wydał pan te dwa tysiące?

– Na wydrukowanie 12,5 tysiąca ulotek i dwóch tysięcy plakatów, które własnoręcznie, ze współpracownikami, rozklejaliśmy w okręgu wyborczym.

Koledzy partyjni mają podobno żal, że tak mało pan zainwestował, a tak wiele zyskał.

– Zazdrość jest rzeczą ludzką. Jedni zazdroszczą źle, inni życzliwie.

Występów w polskich mediach będzie panu żal?

– Nastał czas, by udowodnić, że nie byłem skończonym medialnym narkomanem i na odwyku też dam radę. *– not. apa*

Wojsko

ZNUDZENI REZERWIŚCI POSZLI DO DOMÓW

W OSTATNIM TYGODNIU CZERWca koszary opuściło 11 tysięcy rezerwistów – minister obrony narodowej skrócił im czas służby z 9 do 8 miesięcy. Byli to żołnierze z ostatniego poboru przed przekształceniem armii w zawodową.

Według doktora Janusza Zajdzika, szefa Wojskowego Biura Badań Społecznych, do armii od lat trafiał coraz „słabszy element", bo sprytniejsi umieli jej uniknąć. W końcu jednak armia ich dopadła i ostatnie dwa pobory składały się w dużej części z tych uchylających się. Sami rezerwiści pobyt w koszarach oceniają jako stratę czasu. – Przez pierwszy miesiąc strzelanie, musztra, poligon. Ale potem spanie i nuda – wspomina chłopak po służbie w jednostce w Wesołej. – Nawet za samowolkę nas nie karano – powiedział nam inny, z jednostki w Częstochowie. A przecież wcześniejsi poborowi za „samodzielne oddalenie się od jednostki" karani byli bardzo surowo.

Blisko cztery tysiące żołnierzy chce po wojsku dostawać zasiłek dla bezrobotnych. Ci muszą odsłużyć przepisowe 240 dni, do rezerwy przejdą więc w lipcu lub sierpniu. 500 poborowych zgłosiło się do armii zawodowej. *– aj*

Po zniknięciu poborowych znikną ich hałaśliwe wędrówki po kraju. Szkoda, bo turyści w Krakowie już uwierzyli, że to mała parada tolerancji

REKLAMA

W DUŻYM SKRÓCIE

Półtora wieku za przekręt

Bernard Madoff, konstruktor największej w dziejach piramidy finansowej, dostał wyrok 150 lat więzienia. Sąd w Nowym Jorku wymierzył mu maksymalną karę, mimo że Madoff przeprosił na wokandzie ofiary przekrętu szacowanego na 65 miliardów dolarów.

Piraci przegrywają

Nie będzie nowego procesu w sprawie serwisu The Pirate Bay (TPB). Czterej Szwedzi skazani w kwietniu na rok więzienia za prowadzenie strony umożliwiającej wymianę plików w sieci chcieli powtórzenia procesu, bo wyszło na jaw, że sędzia, który wydał wyrok, jest członkiem organizacji broniącej praw autorskich. Wniosek został odrzucony, piratom pozostaje apelacja.

Królowa chce więcej

Królowa Elżbieta II poprosiła o podwyżkę. Jej księgowy negocjuje z rządem zwiększenie corocznego grantu (dziś 7,9 miliona funtów), z którego królowa opłaca pracowników dworu. Łącznie utrzymanie monarchii kosztuje Brytyjczyków 40 milionów funtów rocznie, czyli 66 pensów na głowę.

Niemcy: politycy na gazie

Joschka Fischer, były minister spraw zagranicznych Niemiec, zadba o dobry wizerunek projektu gazociągu Nabucco. Inwestycja ta ma uniezależnić Unię Europejską od gazu z Rosji. Przypominamy, że twarzą Gazociągu Północnego – czyli inwestycji, która uzależni UE od Rosji – jest Gerhard Schröder, który był kanclerzem z Fischerem jako szefem dyplomacji.

Mordują starych

Trwa polowanie na czarownice w Kenii. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy ofiarami brutalnych linczów padło 150 osób. Przez kraj przetacza się fala oskarżeń ludzi w podeszłym wieku o spowodowanie choroby czy śmierci bliskich. Reporter BBC był niedawno świadkiem spalenia żywcem pięciu osób w mieście Kissi na zachodzie kraju.

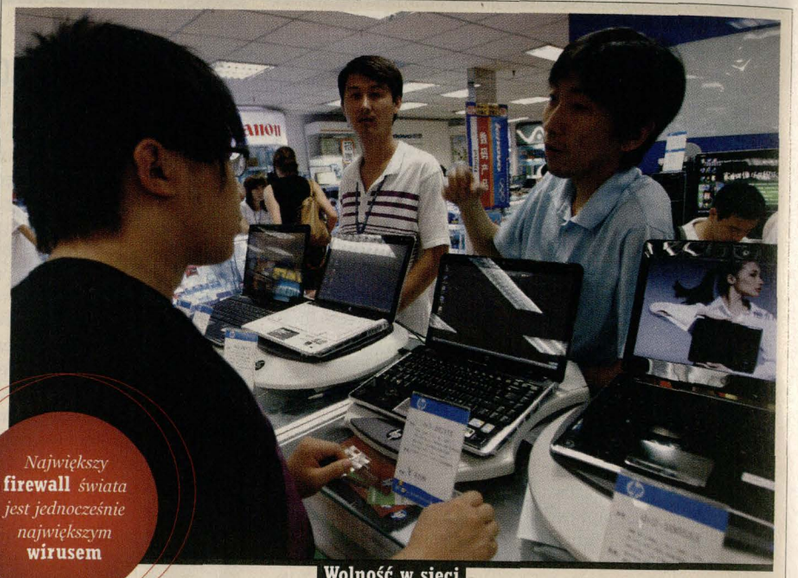

Największy **firewall** *świata jest jednocześnie największym* **wirusem**

Wolność w sieci

KOMPUTER POD KONTROLĄ PAŃSTWA

OD POCZĄTKU LIPCA KAŻDY SPRZEDANY W CHInach komputer osobisty musi mieć zainstalowany program filtrujący Green Dam Youth Escort (Zielona Tama – Eskorta Młodzieży).

Oficjalnie program ma blokować dostęp do stron internetowych pokazujących przemoc lub pornografię. Ale amerykańscy informatycy twierdzą, że program może być wykorzystany do blokowania dowolnych stron, a nawet stanowić narzędzie do zewnętrznego kontrolowania zawartości komputera.

Zagraniczni producenci komputerów zdecydowali się na wystosowanie ostrego protestu. Firmy, takie jak Dell, Hewlett-Packard czy tajwański Acer, które dotychczas dbały o jak najlepsze relacje z Pekinem, w liście otwartym zarzuciły mu między innymi łamanie zasad prywatności, swobodnego przepływu informacji i – przede wszystkim – wolnej wymiany handlowej, bo na chiński rynek dopuszczone zostaną tylko komputery z Zieloną Tamą.

Pekin od lat wydaje miliardy dolarów na Wielki Mur, centralny system kontroli chińskiego Internetu. Zielona Tama to jednak pierwszy taki przypadek na świecie – władze mogą uzyskać kontrolę nad komputerami użytkowników Internetu.

Wygląda jednak na to, że Zielona Tama, tak jak Tama Trzech Przełomów, będzie przeciekać. Sami przedstawiciele pekińskich producentów komputerów przyznali, że ponad połowa sprzedanych w chińskiej stolicy komputerów to wyprodukowane na wpół chałupniczym sposobem „no name'y" – państwo nie będzie w stanie wyegzekwować od ich producentów instalowania Zielonej Tamy.

– luc

WOLNA SOBOTA

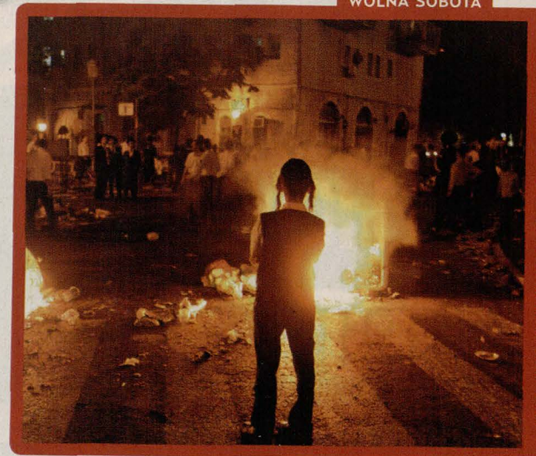

Święta wojna parkingowa

Tysiące ortodoksyjnych żydów stoczyło bitwę z policją na ulicach Jerozolimy. Jest kilkunastu rannych po obu stronach, burmistrzowi grożono śmiercią. Powodem starć jest nowy parking miejski, który ma być otwarty również w sobotę. Dla najbardziej religijnych żydów sobota jest dniem świętym, w którym nie wolno jeździć samochodem.

FOT. DAVE CAULKIN/AP, AP, GREG BAKER/AP, MENAHEM KAHANA/AFP/EAST NEWS, ISTOCK

Globalne ocieplenie

PAKIET KLIMATYCZNY WBREW NAUKOWCOM

IZBA REPREZENTANTÓW PRZEGŁOSOwała ustawę, która nakłada na przemysł obowiązek redukcji emisji gazów cieplarnianych. W tym samym czasie telewizja CBSNews ujawniła e-maile, w których urzędnicy domagali się od naukowców zmiany negatywnego stanowiska wobec tezy, że redukcja ta przyniesie jakiekolwiek korzyści.

„Wasza ocena nie ułatwia nam podjęcia decyzji" – napisał jeden z szefów państwowej Agencji Ochrony Środowiska (EPA) do specjalizującego się w ekologii ekonomisty Alana Carlina. We fragmencie, który ostatecznie nie znalazł się w rekomendacji, Carlin ostrzegał „przed podejmowaniem decyzji na podstawie hipotezy naukowej, która – jak się wydaje – jest sprzeczna z większością danych, jakimi dysponujemy". Carlin podkreśla też, że dotychczasowy projekt pakietu opierał się na nieaktualnych już badaniach.

Agencja zaprzecza, że wywierała naciski na naukowców. W dokumencie przesłanym ostatecznie do Kongresu EPA rekomenduje szybkie przyjęcie pakietu klimatycznego. Przewiduje on redukcję emisji gazów cieplarnianych o 17 procent do 2020 roku i o 80 procent do 2050.

– luc

Oczy świata skierowane na Iran

· RAPORT SPECJALNY · RAPORT SPECJALNY · RAPORT SPECJALNY ·

Czytaj tylko w serwisie wiadomosci.wp.pl WP.PL

INFORMACJE KOMENTARZE RELACJE ZDJĘCIA REPORTAŻE OPINIE FELIETONY

NARKOTORBACZE

Brałeś? Nie jedź! Tylko chodź w kółko. Jak walabia albo owca

Kangury na haju

TAJEMNICZE KRĘGI NA POLACH MAkowych w australijskim stanie Tasmania to nie dzieło kosmitów czy żartownisiów, lecz małych kangurów zwanych walabiami. Torbacze te – odurzone makiem – dewastują uprawy, biegając w kółko i podskakując „wysoko jak latawce" (jak określiła to prokurator generalna Tasmanii). Są świadkowie, według których równie dziwacznie na makówki reagują owce. – Słyszałem wiele razy, że w czasie żniw wchodzą na pole i po zjedzeniu maku zaczynają dreptać w kółko – twierdzi Rick Rockliff, rzecznik firmy Tasmańskie Alkaloidy. Australia dostarcza blisko połowę legalnego opium, które służy do produkcji morfiny oraz innych leków przeciwbólowych.

W Polsce podobne kręgi pojawiły się w miejscowości Wylatowo – ale tam nie ma ani walabii, ani upraw maku.

– syl

W świecie zwierząt **nie kryminalizuje się narkomanów**. *Kangur na haju nie obawia się policji*

REKLAMA

Świat zwariował!

1-9 sierpnia 2009r.

Festiwal Filmu i Sztuki DWA BRZEGI Kazimierz Dolny Janowiec nad Wisłą

www.dwabrzegi.pl

Zapraszamy

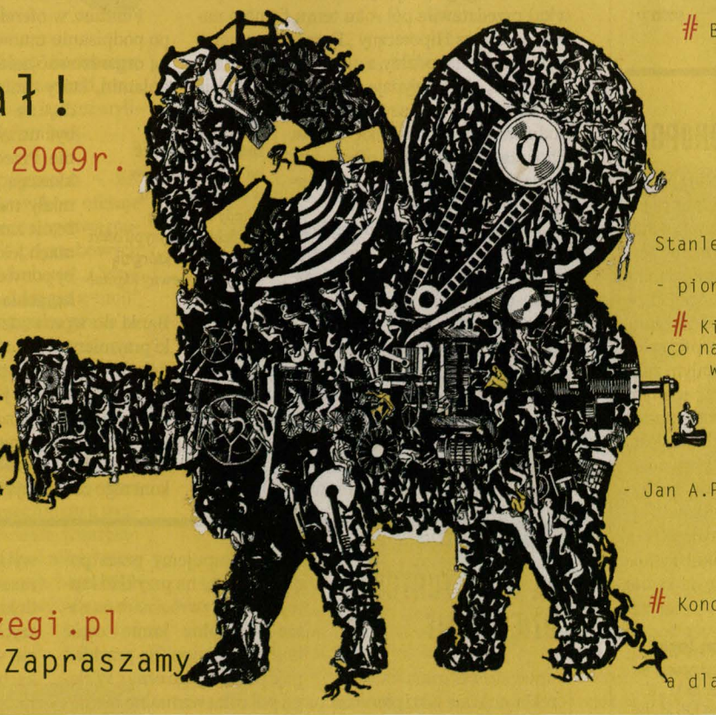

Bossa Nova prosto z Brazylii na Zamku w Kazimierzu.

Kocham Kino na Zamku w Janowcu.

I Bóg stworzył aktorkę - Krystyna Janda na Dwóch Brzegach.

Ojciec chrzestny Stanleya Kubricka i George Lucasa czyli Pavel Kluszancew - pionier filmów science fiction.

Kino PGE - Świat pod Namiotem - co nas zachwyciło na festiwalach w Wenecji, Berlinie, Cannes, San Sebastian, Rotterdamie i Rio de Janeiro.

Lekcje kina, spowiedź twórcy filmowego - Jan A.P. Kaczmarek, Piotr Szulkin.

Porozmawiaj z nimi - codzienne spotkania z twórcami i aktorami.

Koncerty, warsztaty, wernisaże.

Nagroda publiczności dla najlepszego filmu, a dla głosujących niespodzianka!

Sponsor Generalny PGE Polska Grupa Energetyczna

Sponsorzy AllianSztuk, novainvest, Perła, Zakłady Azotowe "Puławy"

Oficjalny Hotel Festiwalu Król Kazimierz Hotel & SPA

Partnerzy empik, xerox, Stowarzyszenie Filmowców Polskich, POL AUDIO

Organizatorzy TVP, Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego, Kazimierz Dolny

Patronat Medialny TVP2, gazeta, Przekrój, ams, onet.pl, FILMWEB, FILM, nasza-klasa.pl, KazimierzDolny.pl, ZET

BIZNES

Co mówią liczby

400 tysięcy

złotych ma zapłacić Urząd Miasta Warszawy kobiecie, która w 2003 roku zderzyła się z łosiem w podwarszawskim Rembertowie. Na drodze nie było znaku ostrzegającego przed dzikimi zwierzętami. Czy teraz takie znaki będą stawiane wszędzie? *– kom*

1 milion

złotych pożyczył kolega koledze. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Krakowie uznał, że pożyczkobiorca powinien zapłacić pożyczkodawcy od tej kwoty odsetki, nawet jeśli pożyczka była bezinteresowna. Według sądu kwota odsetek powinna być wyliczona według średniego oprocentowania kredytów w bankach. Teraz pożyczkodawca musi zapłacić podatek od odsetek. *– szczep*

20 lat walki o wolny rynek

ZWIZUALIZOWAĆ ANTYMONOPOL

W MAJU PRZYSZŁEGO ROKU PRZYJADĄ DO Polski szefowie urzędów antymonopolowych z całej Unii Europejskiej oraz ze Stanów Zjednoczonych. Szczyt ma zostać zorganizowany z okazji dwudziestolecia istnienia Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Urząd rozpisał właśnie konkurs na logo jubileuszu, które w przyszłości stanie się prawdopodobnie stałym znakiem urzędu. Jak zwizualizować jednym prostym symbolem działanie antymonopolowe? – Kombinowałbym tak, by całość, czyli rynek, była widoczna z większej odległości, a dopiero po zbliżeniu widoczni byli mali uczestnicy rynku na tle tego dużego – podpowiada Dawid Korzekwa, prezes Stowarzyszenia Twórców Grafiki Użytkowej. Zwycięzca podpisze umowę na kwotę 36,6 tysiąca złotych. *– szczep*

W obecnym logo chodzi o prezentację liter „O"(ochrona) i „K" (konkurencja lub konsument). Urzędnicy liczą, że nowe logo będzie niosło jeszcze bogatsze przesłanie.

FUNDUSZ HIPOTECZNY DOM

W Polsce pojawiła się pierwsza firma, która oferuje seniorowi dożywotnią rentę w zamian za przejęcie mieszkania po jego śmierci

Im klient starszy, tym wyższa renta. Dla 85-latka ma wynosić ponad cztery tysiące. Zawsze jednak lepiej policzyć, czy nie opłaca się zamienić mieszkania na mniejsze i żyć z zysków

Nierentowna renta

ŻYCIE NA EMERYTURZE AGATA KOMOSA

Wystarczy skończyć 65 lat i już można otrzymać rentę. Trzeba tylko spisać umowę, w której pozbędziemy się prawa własności do naszego mieszkania z zastrzeżeniem, że jej wykonanie nastąpi w chwili naszej śmierci. Produkt znany na Zachodzie pod hasłem *reverse mortgage* (po polsku: odwrócona hipoteka) przedstawiła pół roku temu firma o nazwie Fundusz Hipoteczny „Dom". Dla emeryta, który nie ma rodziny, a na stare lata chce żyć dostatnio, oferta wydaje się idealna. Do dziś ta niewielka warszawska firma podpisała zaledwie kilka umów. Choć zainteresowanie ofertą jest rzeczywiście duże. Czy jednak oferta Funduszu jest opłacalna?

Wysokość renty firma wylicza na podstawie wartości nieruchomości. Przykładowo przy mieszkaniu o wartości miliona złotych 65-latek będzie dostawał 1322 złote miesięcznie. To oznacza, że senior w ciągu 35 lat (załóżmy, że dożyje aż 100 lat) dostanie w sumie 390 tysięcy złotych. Czyli 610 tysięcy mniej, niż wynosiła wartość jego mieszkania (a przecież musi jeszcze dożyć 100 lat!).

Oferta Funduszu nie ma sensu, nawet gdy uwzględnimy opłaty czynszowe, które Funduszu łaskawie postanowił do końca życia seniora wziąć na siebie. Przy tak niekorzystnych warunkach wypłat (ale bardzo bezpiecznych dla przedstawicieli niewielkiej firmy) bardziej opłacalne byłoby sprzedanie swojego mieszkania, kupienie mniejszego i życie z odsetek uzyskanych z transakcji. Gorzej, gdy mieszkanie mamy tak małe, że sprzedawać już nie ma czego. Wtedy ofertą może i warto się zainteresować.

Fundusz w ofercie ma także taki kwiatek: po podpisaniu umowy pracownicy firmy mogą organizować naloty na mieszkanie, bo regulamin, który senior musi podpisać, zakłada, że nieruchomość powinna być utrzymywana w dobrym stanie. Przedstawiciele firmy nie wykluczają, że takie wizytacje będą miały miejsce. Ale zarzekają się, że nie zamierzają grzebać w badaniach lekarskich swoich klientów, by potwierdzić, czy daną osobę czeka rychła śmierć.

Prawo ma się zmienić na korzyść banków w przyszłym roku. Wtedy trzeba się spodziewać wysypu ofert instytucji, za którymi stoi duży i pewny kapitał

Banki do wprowadzenia odwróconej hipoteki przymierzały się od kilku lat. Z pomysłu jednak się wycofały, bo polskie prawo każe traktować tego typu renty jak kredyty. W efekcie banki musiałyby badać zdolność kredytową emerytów, a ci zwykle jej nie mają. Poza tym musiałyby sprzedawać nieruchomości, a przepisy bankom tego zabraniają*. □

Przyzwyczajarka

ZA TAKIE TORTURY DZIĘKUJEMY

NOWY SERWIS TORTURACEN.PL reklamuje się jako pierwsza w Polsce porównywarka cen z systemem *cashback*. Ta tajemnicza nazwa oznacza, że jeśli kupujemy przez porównywarkę na przykład laptop, system zwróci nam na nasze wirtualne konto część kosztów zakupu (na przykład pięć procent jego ceny). W ciągu pół roku wirtualne pieniądze będziemy mogli wykorzystać na kolejne zakupy. Ale uwaga! Możemy ich dokonać wyłącznie w serwisie Torturacen. Co więcej, wiele produktów w serwisie jest droższych niż najtańsze propozycje w innych porównywarkach. I to nawet po uwzględnieniu upustu. O co więc chodzi? Głównie o to, by zakupy robić głównie przez Torturacen. *– aj*

Funeralia

JP2 JUŻ NA TRUMNACH

NA KIELECKICH TARGACH NECROEXPO SWĄ ofertę prezentowało ponad sto firm z branży funeralnej. My wybraliśmy sześć trendów, które przeniosą cię sześć stóp pod ziemię.

1. **Meleks retro** – szyk i styl. Kosztujący prawie 90 tysięcy złotych karawan stylizowany na lata 20. Wkrótce ma jeździć po polskich cmentarzach.

2. **Ekologiczne urny** – zaprojektowane przez polską artystkę Danutę Sikorską. Z materiału, który rozkłada się w ciągu pięciu lat, z drewnianym wykończeniem (mahoń, jesion, buk, orzech). Pojemność: 6 litrów, cena: 350 złotych.

3. **Trumny z wizerunkiem Jana Pawła II** wykonanym techniką decoupage. Producent, ukraińska firma In-Dan, z niecierpliwością czeka na kanonizację Jana Pawła II, choć już teraz na brak zamówień nie narzeka. W ofercie ma też trumny z wizerunkiem Jezusa, Maryi i ojca Pio.

4. **Kolorowe zdjęcia zmarłego** – umieszczane na wypukłym, trójwymiarowym (!) portrecie nagrobkowym. Ostatni hit to kolory na metalowych – dotychczas czarno-białych – tabliczkach na trumnę (w tym przypadku chodzi o wizerunki Jezusa lub Maryi). Tabliczka może być też stylizowana na lustrzaną lub drewnianą.

5. **Świecka oprawa pogrzebu** – firma Anny i Jacka Borowików oferuje wspomnienie zmarłego z oprawą muzyczną. Oprócz żelaznych pogrzebowych przebojów („Ave Maria" Schuberta, „Ciszy" na trąbkę Nino Celeste i „Adaggia g-moll" Albinioniego) podczas pogrzebu grane są przeboje okolicznościowe. Ostatnio pogrzeb profesora Religi spowodował duży wzrost zamówień na „What a Wonderful World" Armstronga.

6. **Trumna z szyberdachem** – przezroczyste górne wieko trumny wraz z wentylatorem umieszczonym u wezgłowia umożliwia wystawienie zmarłego w wysokiej temperaturze (choć nie wyższej niż 25 stopni Celsjusza). Teraz już nawet latem można być pewnym, że najbliższemu nie jest za gorąco. *– mil*

FOT. ADAM TUCHLIŃSKI, BOGDAN KRĘŻEL (3), MATERIAŁY PROMOCYJNE

Sama możesz naładować sam

W Polsce rusza produkcja dziwadeł elektrycznych na trzech kołach. Czy ktoś to kupi?

POLSKA FIRMA IMPACT AUTOMOTIVE TECHNOLOGIES chce wskrzesić pomysł szwajcarskiej Cree, która w 2001 roku wyprodukowała niewielką serię samochodów elektrycznych. W autach wykryto wady, a firmy już nie ma. Ale polscy inżynierowie skontaktowali się ze szwajcarskimi i stworzyli ulepszoną wersję tak zwanego SAM-a. W sierpniu pierwsze auta zjadą z taśmy w podwarszawskim Pruszkowie. Samochód na pełnej baterii będzie mógł przejechać sto kilometrów. Firma nie ujawnia, ile prądu ma on zużywać w korkach. Za cacko zapłacimy blisko 70 tysięcy złotych. Tylko gdzie je „tankować", skoro w Polsce ładowarek do aut nie ma. Tankowanie z takiej ładowarki trwa 10 minut, z gniazdka – 4,5 godziny. *– kom*

REKLAMA

PRZEMYŚLANE ROZWIĄZANIA

ŠKODA AUTO

PRZEJDŹ DO DZIAŁANIA:
DODAJ **LEASING 105%**
ODEJMIJ **22% VAT**

Octavia Premia
• wersja 5-miejscowa
• pełne odliczenie VAT
• promocyjny leasing 105%*
Volkswagen Leasing Polska

Aż 5 modeli Škody **z pełnym odliczeniem VAT!** Łatwo policzyć, że to się opłaca…

• **Škoda**Fabia Van	4-miejscowa – już od **30 738** zł netto
• **Škoda**Roomster Premia	4-miejscowa – już od **36 148** zł netto
• **Škoda**Octavia Tour Premia	4-miejscowa – już od **39 410** zł netto
• **Škoda**Octavia Premia	5-miejscowa – już od **48 361** zł netto
• **Škoda**Superb Van**	5-miejscowa – już od **66 804** zł netto

O szczegóły oferty spytaj Sprzedawcę lub wejdź na www.skoda-auto.pl/vat.

VOLKSWAGEN LEASING POLSKA SP. Z O.O.

Castrol

*Promocyjna oferta leasingu dotyczy okresu 3 lat i dostępna jest pod warunkiem wykupienia pakietu ubezpieczeń komunikacyjnych oraz ubezpieczenia 100% wartości fakturowej pojazdu (RTI) na cały okres trwania umowy. Leasing 105% nie dotyczy modelu Fabia Van. ** Superb Van dostępny w późniejszym terminie.

Wartość uśredniona zużycia paliwa i emisja CO_2: Nowa Škoda Octavia Premia – 4,5-7,9 l/100 km, 119-176 g/km; Škoda Octavia Tour Premia – 5,1-7,3 l/100 km, 135-174 g/km; Škoda Roomster – 5,1-7,7 l/100 km, 135-185 g/km, Škoda Fabia Van – 4,8-7,9 l/100 km, 120-180 g/km; Škoda Superb Van – 5,7-10,1 l/100 km, 150-235 g/km. Informacje na temat przydatności do odzysku oraz

PRAWO JAZDY JUDYTA SIERAKOWSKA

Uwaga! Elka na drodze

Ciężkie jest życie bez prawa jazdy, ale jego wyrobienie to droga przez mękę. Nowe zasady egzaminowania kierowców sprawią, że egzaminy na prawko staną się bardziej życiowe. Ale czy łatwiejsze?

Instruktor: – Pier....ąć cię, k.... mać? Pięć minut temu tłumaczyłem ci to wszystko? Tłumaczyłem czy nie?!

Kursant: – Tak.

Instruktor: – To dlaczego ty, k.... mać, nie jedziesz prawym pasem? Nie wiesz, że za to się oblewa? Co ty, k...., robisz? 20 na godzinę na lewym pasie, ciężarówki prawym pasem nas wyprzedzają, głąbie!

To tylko fragment popisu jednego z instruktorów z prywatnego ośrodka szkolenia kierowców w Bytowie w województwie pomorskim. Nagranie wykonali telefonem komórkowym jego kursanci.

To, że instruktorzy na kursach na prawo jazdy pozwalają sobie na wiele, wiadomo nie od dziś. Niestety, problem pokrzykiwania i dokazywania dotyczy także egzaminatorów: – Głupkowato pani wjeżdża na pas. Żadnej logiki w tym nie ma. To głupota! – krzyczał na panią Monikę z Rzeszowa egzaminator Paweł W. A zanim jeszcze wsiadła do auta, sugerował, że w ogóle nie ma szans, żeby zdać.

Mekki kursantów to **Piła** *(bo tam nie ma tramwajów) czy* **Sieradz** *(jedno rondo w całym mieście). Tam egzaminy zdaniem kursantów zdaje się łatwiej, choć statystyki tego nie potwierdzają*

I oblała. Pod koniec egzaminu Paweł W. stwierdził, że „wymusiła pierwszeństwo". Zwykle egzaminatorzy, gdy na przyszłych kierowców nie mają już haka, oblewają właśnie za „wymuszenie". To jedno z wykroczeń ruchu drogowego, co do którego trudno orzec, czy w ogóle miało miejsce.

Pani Monika złożyła skargę na zachowanie Pawła W. I w lutym tego roku odniosła zwycięstwo. Urząd marszałkowski w Rzeszowie unieważnił egzamin, a wojewódzki ośrodek ruchu drogowego (WORD) zwrócił jej pieniądze.

Mniej stresu

Nowe przepisy określające zasady egzaminowania przyszłych kierowców, których pierwsza część weszła w życie trzy tygodnie temu, dobrego wychowania na pewno nikogo nie nauczą. Jest jednak szansa, że kandydaci na kierowców będą zdawać egzaminy w mniejszym stresie.

Zgodnie z nowym prawem, jeśli egzaminowany poradzi sobie na mieście ze wszystkimi wymaganymi zadaniami, egzaminator może zakończyć jazdę już po 25 minutach. Do niedawna, nawet jeśli widział, że kandydat na kierowcę radzi sobie dobrze, musiał jeździć ze zdającym przynajmniej 40 minut. Tymczasem najwięcej błędów popełnianych jest zwykle w ostatnich minutach egzaminu. Z reguły głupich i niemających istotnego wpływu na bezpieczeństwo. Wymowne milczenie egzaminatora połączone z brakiem informacji, że dotychczasowe manewry wykonano prawidłowo, sprawiają, że pod koniec sprawdzianu stres – nawet u tych dobrze przygotowanych – zaczyna być paraliżujący. – Błędy pod koniec wynikają ze zmęczenia, znużenia i spadku koncentracji – tłumaczy Krzysztof Szymański, prezes Polskiej Federacji Stowarzyszeń Szkół Kierowców (PFSSK).

Skrócenie egzaminu sprawiło także, że egzaminatorzy mają teraz mniej czasu na wyszukiwanie na drodze pułapek, które miałyby na celu jedynie usadzenie przyszłych kierowców. Wciąż jednak to egzaminator decyduje, czy skrócić egzamin, co oznacza, że z tymi spośród egzaminatorów, dla których oblewanie kandydatów na kierowców stanowi hobby, musimy wciąż radzić sobie sami. Tu pomocą może być oczywiście kamera rejestrująca przebieg egzaminu czy też obecność instruktora ze szkoły jazdy.

Na ograniczenie stresu podczas egzaminu może też wpłynąć to, że podczas sprawdzania znajomości mechaniki pojazdu nie trzeba już wymieniać z pamięci wszystkich świateł i pojemników na płyny eksploatacyjne. Kandydat na kierowcę musi omówić tylko dwa wylosowane elementy, a na przygotowanie się do odpowiedzi ma pięć minut. Co oznacza, że nie musi już – jak często chcą stojący przed otwartą maską egzaminatorzy – „zastanawiać się biegusiem".

Ważna jest też zmiana, która zakłada, że przyszły kierowca musi przystąpić do egzaminu najpóźniej w ciągu 30 dni od ukończenia kursu. Do tej pory kandydaci na kierowców – gdy chętnych w ośrodku były tysiące – mogli czekać na egzamin nawet kilka miesięcy. I przystępując doń, nie mieli już pewności, czy tego, czego się nauczyli, przypadkiem nie zapomnieli. Często więc na wszelki wypadek brali dodatkowe godziny jazdy u instruktorów. Teraz te 30 dni to czas gwarantowany przez rozporządzenie Ministerstwa Infrastruktury.

– Zmiany poszły w dobrą stronę, choć jeszcze za wcześnie, by ocenić ich efekty – uważa Adam Klejnik, kierownik jednego z warszawskich WORD-ów. – Nareszcie egzaminator nie będzie milczącym sfinksem. Musi bowiem rozmawiać ze zdającym, informując go na bieżąco o popełnianych błędach i aktualnym wyniku egzaminu. Przymus taki również został zapisany w rozporządzeniu.

Powrót zielonego listka

Wprowadzone właśnie zmiany to jednak dopiero początek rewolucji, jaka czeka przyszłych kierowców. Na początku lipca rząd ma przyjąć nowelizację ustawy o kierujących pojazdami i jeśli Sejm szybko ją zaakceptuje, nowe przepisy zaczną obowiązywać jeszcze pod koniec tego roku. Jakie to zmiany?

Najważniejsza przewiduje, że prawo jazdy będziemy zdobywać na próbę. Kierowca przez dwa lata będzie pod obserwacją, co oznacza, że będzie musiał jeździć z naklejką z zielonym liściem klonu na tylnej i przedniej szybie. Jeśli w tym czasie dwukrotnie złamie przepisy, okres próbny zostanie przedłużony o następne dwa lata. Będzie wtedy musiał się doszkolić i przejść badania psychologiczne. Ale już trzy wykroczenia będą oznaczały konieczność zdawania egzaminu na prawo jazdy po raz drugi.

Druga istotna zmiana dla młodych kierowców ma polegać na ograniczeniu dostępu do motocykli. Aby dostać prawo jazdy na ścigacze i choppery, trzeba będzie skończyć 24 lata (chyba że wcześniej jeździło się mniejszym motorem). Na miniskuter, podobnie jak na małego quada, nie będzie można wsiąść bez prawa jazdy (dziś to popularne prezenty na komunię).

Wciąż jednak nie wiadomo, co będzie z wprowadzeniem wirtualnych →

FOT. PIOTR FOTEK/REPORTER, ISTOCK (2), JAKUB OSTAŁOWSKI/FOTORZEPA, BARTOSZ JANKOWSKI/FOTORZEPA

→ symulacji na egzaminach teoretycznych. Mówi się o tym już od wielu lat. System miałby polegać na tym, że kandydat nie wkuwałby na pamięć znanych wcześniej testów wielokrotnego wyboru, ale śledził pojawiające się na ekranie pytania generowane w czasie rzeczywistym, odpowiadające prawdziwym sytuacjom na drodze. Specjaliści podkreślają, że egzaminy stałyby się bardziej życiowe. – Dziś pytania na egzaminie teoretycznym mają niewiele wspólnego z rzeczywistością. Egzamin powinien być sytuacyjny, mniej drobiazgowy, ale rzeczywiście trudny – ocenia Henryk Waluda, dyrektor WORD-u w Sieradzu.

170 elek na rondzie

Proponowane reformy wciąż jednak pewnych problemów nie rozwiązują. Na przykład masowych wycieczek kursantów do miast, w których zdawanie egzaminów jest łatwiejsze (przynajmniej zdaniem zdających, bo statystyki tego nie potwierdzają). Łatkę takich miejscowości mają na przykład: Sieradz, Piła, Łomża, Ostrołęka, Piotrków Trybunalski czy Gliwice. – Chodzi o komfort psychiczny, w Pile nie ma tramwajów, a to zawsze o jedno utrudnienie mniej – mówi 24-letnia Monika, która na egzamin przyjechała specjalnie z Bydgoszczy. I rzeczywiście – zdała.

Do Sieradza zaś amatorzy prawa jazdy przyjeżdżają nawet spod Wrocławia. Dlaczego? Bo w Sieradzu jest tylko jedno rondo (wjazd i zjazd z ronda to jedno z najtrudniejszych zadań egzaminacyjnych).

Lokalne radio pokusiło się nawet o statystykę: w ciągu godziny na słynne już rondo wjeżdża nawet 170 elek (tych egzaminacyjnych i tych z instruktorami). – Były lata, że mieliśmy taką samą frekwencję jak ośrodek w Łodzi – chwali się Henryk Waluda, dyrektor WORD-u w Sieradzu. Tyle że Łódź ma 800 tysięcy mieszkańców, a Sieradz zaledwie 44 tysiące. A do egzaminu przystępuje tu codziennie 270 osób! Nic więc dziwnego, że sieradzanie skarżą się na nieustannie zakorkowane miasto.

Podobnie jest w Pile, gdzie znaleziono doraźne rozwiązanie – wyłączono z egzaminów kilka skrzyżowań w centrum miasta. W Gliwicach z kolei mieszkańcy na jednym z osiedli ustawili znak... zakazu wjazdu dla elek, choć w polskim kodeksie drogowym takiego znaku w ogóle nie ma.

Zdaniem Krystyny Grabickiej, posłanki PiS, rozwiązaniem problemu „wyjazdów po prawko" byłoby wprowadzenie dla przyszłych kierowców rejonizacji, która oznaczałaby, że zdawać można tylko tam, gdzie jesteśmy zameldowani. Posłanka chciałaby też, aby WORD-y powstały w każdym polskim powiecie. Złożyła w tej sprawie interpelację u ministra infrastruktury. Z nadesłanej już odpowiedzi wynika jednak, że rządu nie stać nas na tworzenie dodatkowych WORD-ów. Ale nawet jeśli pomysł rejonizacji – jak twierdzą specjaliści – jest idiotyczny, choćby dlatego, że nie zawsze miejsce zameldowania jest zbieżne z miejscem zamieszkania, to zwiększanie liczby ośrodków egzaminacyjnych rzeczywiście jest koniecznością. Choćby po to, by rozładować w miastach korki elek. I by na egzamin nie czekać miesiąc, ale najwyżej tydzień. – Rejonizacja była praktykowana w latach 90. i doprowadziła do patologii. Ludzie fikcyjne meldowali się na dwa dni. Ten pomysł to wielka bzdura – ocenia Henryk Waluda.

Posłanka PiS **Krystyna Grabicka** *postanowiła zrobić porządek z elkami w małych miastach, gdy na korki zaczęli się uskarżać mieszkańcy jej rodzinnego Sieradza*

Należy wprowadzić rejonizację na zasadzie: zdajesz tam, gdzie jesteś zameldowany. To rozwiązałoby problem „wyjazdów po prawko" do małych miejscowości.

Wczasy za kierownicą

Kłopoty kursantów spowodowały także powrót zakończonych egzaminem wczasów (lub weekendów) z prawem jazdy. W PRL-u był to niemal murowany sposób na zdobycie wymarzonego dokumentu nawet przez największą ofermę. Takie przekonanie pokutuje do dziś. Tymczasem firmy organizujące takie wyjazdy wyciągają ciężkie pieniądze, często oferując fatalny produkt. I żadnej gwarancji sukcesu. – Nie zdałam praktyki, no bo jak miałam zdać, kiedy wyjazdy na miasto były zaledwie dwa. Tylko dobrej pamięci zawdzięczam zdanie teorii. Można ją było poćwiczyć na trzech nie najnowszych komputerach, a nas było kilkanaście osób – mówi 22-letnia Anita, która w sierpniu zeszłego roku zapisała się na dwutygodniowy wyjazdowy kurs prawa jazdy. – Poza tym dla wielu osób tego typu kurs to nie wakacje za kółkiem, ale wakacje z wódką, balangi trwały non stop – opowiada.

– Wakacje za kółkiem to czysty bezsens. Nie można się nauczyć kierowania pojazdem w dwa tygodnie. Tu nie ma miejsca na pośpiech – twierdzi Krzysztof Szymański, prezes PFSSK.

Dodatkowy kłopot to brak jakichkolwiek wiarygodnych statystyk i danych dotyczących poszczególnych szkół jazdy oraz ośrodków egzaminacyjnych. Nie wiadomo, gdzie jakość nauczania jest najwyższa, jaki jest stan oferowanych samochodów, a jakie doświadczenie instruktorów. Krążą legendy o „łatwych" i „trudnych" WORD-ach. Nam nie udało się ani zweryfikować reklam o „stuprocentowej skuteczności", ani nawet ustalić, za którym razem statystyczny kandydat z sukcesem zdaje egzamin.

Na pewno zdającym oprócz nowych przepisów przydałoby się też upowszechnienie dostępu do psychologów. W Łodzi WORD zatrudnia już dwie panie psycholog, które rozmawiają ze zdającymi przed egzaminem. – Stworzyliśmy program polegający na tym, że jeśli ktoś nie zda trzy razy, to automatycznie kierowany jest do naszego psychologa. Ten prowadzi rozmowę, w trakcie której sprawdza, czy wynik egzaminu to sprawa stresu. Jeśli tak, daje mu specjalne ćwiczenia relaksacyjne i terapeutyczne – tłumaczy Łukasz Kucharski, zastępca dyrektora łódzkiego ośrodka ruchu. – Zdający mogą też, bez względu na to, które to ich podejście do egzaminu, złożyć wniosek z prośbą o rozmowę z psychologiem. Efekt ich pracy? Zdawalność wzrosła o pięć procent.

– Stres zdającego egzamin na prawo jazdy porównałbym do przekraczania wschodniej granicy w latach 80. Nawet jeśli nie było się niczemu winnym, spojrzawszy na celnika, odechciewało się wszystkiego – ocenia Krzysztof Szymański.

By egzaminy rzeczywiście przestały być spotkaniem kata z ofiarą, na kurs psychologii należałoby też wysłać samych egzaminatorów. Zanim się to jednak stanie, nie dziwmy się, że kursanci ze spotkań z psychologami korzystają chętnie. Szkoda tylko, że budżet państwa zarzeka się, że na psychologów pieniędzy nie ma i mieć nie będzie.

Współpraca Agata Jankowska

CENNIK PRZYSZŁEGO KIEROWCY

- Kurs podstawowy ..... około **1400 zł**
- Jazdy doszkalające ..... **40–50 zł** za godzinę
- Dwutygodniowe „wakacje z prawkiem" ..... **3000 zł**
- Egzamin kategorii B na samochód osobowy (teoria z praktyką) ..... **134 zł**
- Egzamin kategorii A, A1 na motor (teoria z praktyką) ..... **162 zł**
- Nieobecność na egzaminie ..... **50 procent** ceny egzaminu

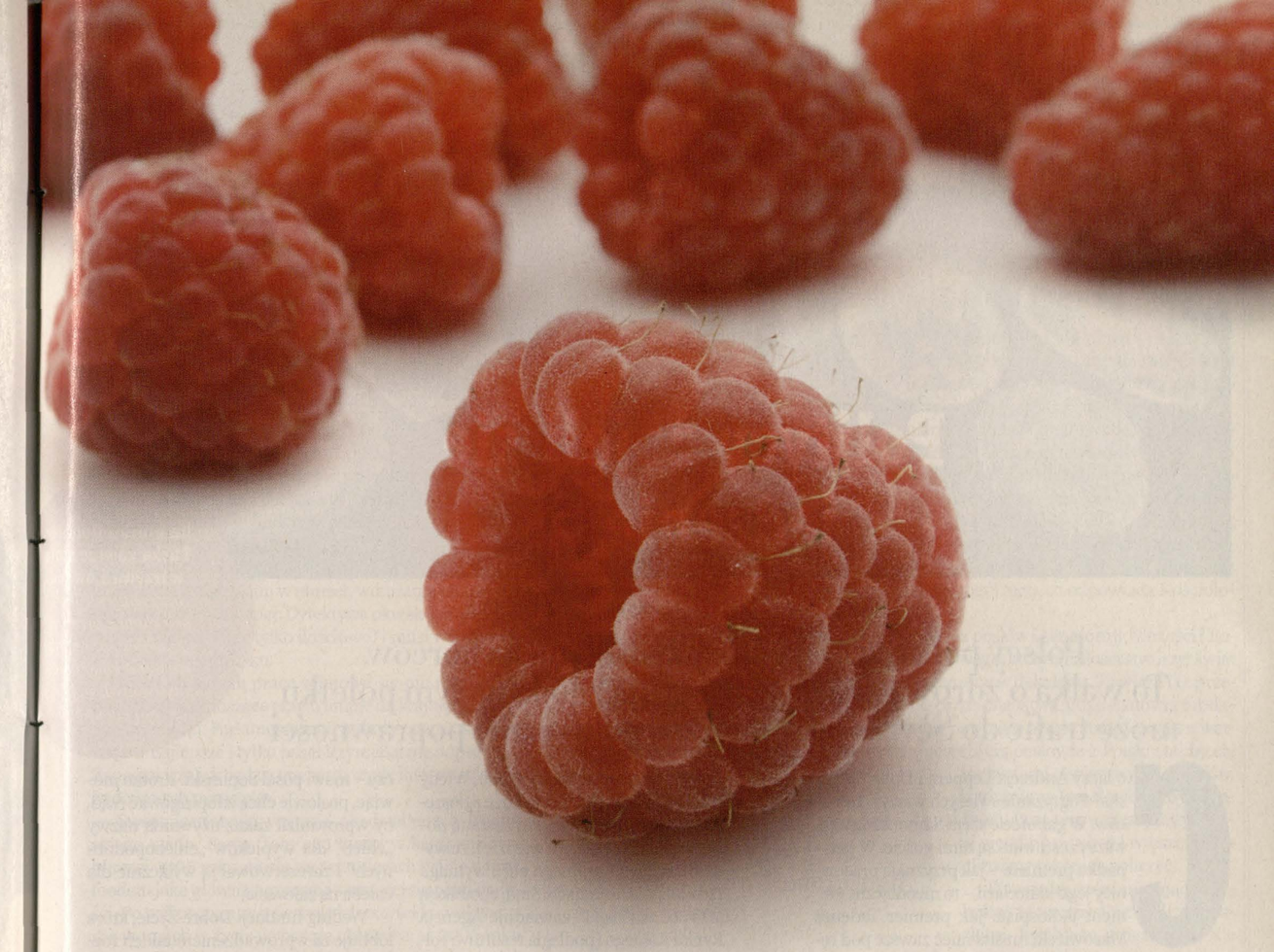

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/AGENCJA GAZETA

Politycy zajęli się jedzeniem

Na biurku Donalda Tuska zawsze stoją warzywa i owoce, *ale Polacy nie biorą przykładu z premiera. Zjadamy ich rocznie tylko 150 kilogramów, statystyczny Europejczyk – 400 kilogramów*

POLITYKA MARCHEWKOWA ALEKSANDRA PAWLICKA

Polscy politycy mają nowy sposób na wyborców. To walka o zdrową żywność. Partyjna zgoda na tym poletku może trafić do Sèvres jako wzorzec politycznej poprawności

Co łączy Andrzeja Leppera i Donalda Tuska? Pogryzanie świeżych warzyw i owoców. W gabinecie szefa Samoobrony zawsze częstowani są nimi goście. W przypadku premiera – jak przyznają pracownicy jego kancelarii – to nieodłączny element jadłospisu. Jak premier Tadeusz Mazowiecki musiał mieć zawsze pod ręką szklankę herbaty, tak u Donalda Tuska musi stać na biurku miseczka owoców i warzyw. Moda na zdrowe odżywianie przybiera na sile, a politycy urządzają sobie zawody, kto będzie bardziej „pro". Niestety, więcej w tym marketingu niż rzeczywistego działania.

Pierwszak z jabłkiem

Pomysł, który jest najbliższy zrealizowania, to ruszający po wakacjach w podstawówkach unijny program „Owoce w szkole". Bruksela daje nań w tym roku 90 milionów euro. Polsce przypada z tego 9,2 miliona, kolejne trzy dorzuci Ministerstwo Rolnictwa. Łącznie więc 12,2 miliona euro pozwoli na rozdanie w polskich szkołach ponad 70 milionów porcji jabłek, gruszek, marchewek, rzodkiewek, ogórków, słodkiej papryki oraz soków owocowych i warzywnych.

Wielkie liczby nie oznaczają wielkiego żarcia. Owoce trafią tylko do miliona uczniów klas I–III dwa razy w tygodniu. Reszta musi obejść się smakiem.

Gdy w ubiegłym roku podejmowano w Brukseli decyzję o uruchomieniu programu, Parlament Europejski proponował podnieść kwotę do 500 milionów euro, ale zwyciężyła oszczędnościowa koncepcja Komisji Europejskiej. Oczywiście każdy kraj może się dołożyć z własnego budżetu, ale polski resort rolnictwa i tak z wielkim trudem wyłuskał wymagane przez Unię Europejską 25 procent wkładu krajowego.

To nie koniec problemów. Ogrom biurokratycznej oprawy „Owoców w szkole" sprawia, że program nie zdąży wystartować we wrześniu. Wtedy szkoły dostaną tylko formularze zgłoszeniowe. Następnie wybrani zostaną dostawcy. Trzeba bowiem wiedzieć, że wydanie każdego unijnego euro wymaga rzetelnej dokumentacji. Stąd, choć akcją „Owoce w szkole" zawiaduje Agencja Rynku Rolnego (podległa resortowi rolnictwa), to Ministerstwo Edukacji musi wprowadzić do programów nauczania lekcje o zaletach jedzenia warzyw i owoców, a Ministerstwo Zdrowia przeprowadzić badania skutków zdrowotnych akcji u uczniów. Raporty obu ministerstw trafią następnie do Brukseli. – Sukcesem będzie, jeśli pierwsze owoce i warzywa trafią do szkół w październiku. Jeśli to się nie uda, akcję rozpoczniemy od drugiego semestru, a wówczas dzieci dostawać będą owoce cztery razy w tygodniu – zapewnia Maria Pawłowska z Agencji Rynku Rolnego.

Wyrób „chlebopodobny"

Pod koniec czerwca tego roku PSL przystąpił do batalii o chleb nasz powszedni i ma dużą szansę na wygraną. Sejmowa podkomisja zdrowia publicznego, której przewodniczy poseł Aleksander Sopliński (PSL), rozpoczęła prace nad dezyderatami, czyli prawnymi odezwami, które chce skierować do ministra zdrowia i ministra rolnictwa w sprawie produkcji chleba. – Wzorujemy się na rozwiązaniu francuskim z 1994 roku, promującym tradycyjną produkcję chleba, a nie przy użyciu ulepszaczy i spulchniaczy – mówi poseł Sopliński. Krótko mówiąc, posłowie chcą zdopingować rząd, by wprowadził zakaz używania nazwy „chleb" dla wypieków „chlebopodobnych" i zarezerwował ją wyłącznie dla chleba na zakwasie.

Według fundacji Dobre Życie, która lobbuje za wprowadzeniem takich rozwiązań, w Polsce tylko 20 procent chleba produkowane jest metodą tradycyjną, w której zakwas eliminuje toksyny pleśniowe i zapewnia zawartość pałeczek kwasu mlekowego (zapobiegają nowotworom jelita grubego). Tymczasem 80 procent chleba powstaje z użyciem chemii, co jest jedną z przyczyn chorób układu trawiennego i otyłości, zwłaszcza że statystyczny Polak zjada 110 kilogramów chleba rocznie (zamożniejsi 75, ubożsi 150 kilogramów).

Dezyderaty według posła Soplińskiego powinny jeszcze w tym roku zaowocować ustawą określającą normy produkcji chleba. By chlebem zwać się mógł tylko ten na zakwasie. Podobnie jak masłem producenci mogą nazywać dziś tylko wyroby, które zawierają ponad 80 procent tłuszczu mlekowego, a mające za dużo olejów roślinnych to różnego rodzaju smarowidła i miksy.

Inicjatywę promocji zdrowego chleba popierają nie tylko posłowie z koalicyjnego PO, ale także z partii Jarosława Kaczyńskiego. Bolesław Piecha, wiceminister zdrowia w rządzie PiS, a obecnie szef sejmowej komisji zdrowia, mówi: – Nie chodzi o zakaz produkcji chleba produkowanego metodą przemysłową, którego główną zaletą jest niższa cena. Chcemy jedynie uświadomić Polakom, co kupują i jedzą. Chcemy stworzyć możliwość świadomego wyboru.

Dzięki ponadpartyjnej zgodzie być może już w przyszłym roku będziemy wybierać pomiędzy „chlebem", czyli wypiekiem na zakwasie, lub produktem identycznym z wyglądu, ale nazwanym wyłącznie „pieczywem".

Telewizja bez chipsów

Na czele kolejnej inicjatywy „zdrowożywnościowej" stoi poseł PO Jan Rzymełka. Postanowił walczyć z reklamami chipsów, batonów oraz gazowanych napojów, czyli wszelkiego rodzaju wysokocukrowego i wysokotłuszczowego jedzenia dla dzieci i młodzieży.

Jemu jednak – w przeciwieństwie do opisanych wcześniej pomysłów – idzie jak po grudzie, bo interpelacja skierowana do ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego przepadła w biurokratycznych czeluściach. Resort kultury odesłał ją do laski marszałkowskiej, twierdząc, że sprawą zakazu reklam „śmieciowego jedzenia" powinien zająć się Sejm w ramach wdrażania unijnej dyrektywy audiowizualnej. Dyrektywa określa zasady emitowania reklam (ale tylko ilościowe) i musi wejść w życie z końcem tego roku.

Na razie jednak prace sejmowe się nie rozpoczęły, bo ustawy przenoszące prawo unijne do krajowego przygotowuje rząd. Parlamentarno-rządowy ping-pong trwa więc w najlepsze i tylko poseł Rzymełka nie odpuszcza. Zapewnia, że jak będzie trzeba, to wyśle interpelacje także do innych ministrów.

Swoją inicjatywę wzoruje na działaniach brytyjskiego rządu. Partia Tony'ego Blaira w kampanii wyborczej 2005 roku niosła na sztandarach walkę z junk foodem jako główną przyczyną szerzącej się plagi otyłości. Po wyborczym zwycięstwie laburzyści konsekwentnie wdrożyli w życie wyborcze obietnice: w 2006 roku wprowadzono zakaz sprzedaży „śmieciowego jedzenia" w szkolnych sklepikach, a dwa lata później zakaz reklamowania tego typu produktów dla dzieci i młodzieży do 16. roku życia.

Polsce do Wielkiej Brytanii wciąż daleko, choć już w 1999 roku próbowano załatwić sprawę, wpisując zakaz reklamy adresowanej do dzieci do ustawy o radiofonii i telewizji. Nowelizację zablokował wówczas prezydent Aleksander Kwaśniewski, bo zbyt silny był sprzeciw producentów towarów dla dzieci. Dziś lewica jest w mniejszości, a i jej opór znacznie zelżał wobec inicjatywy popieranej przez pozostałe ugrupowania.

Długa lista wabików

Zakaz reklamowania „śmieciowego jedzenia" uda się być może przeforsować przy okazji wprowadzania unijnej dyrektywy. Może zakaz sprzedaży junk foodu w sklepikach szkolnych, o który walczą na razie tylko radni poszczególnych gmin – bo Ministerstwo Edukacji nie przejawia w tej kwestii żadnej inicjatywy – podchwyci jakiś inny poseł? Zwłaszcza przed wyborami.

Rok 2010 to rok wyborów – najpierw samorządowych, potem prezydenckich – i niewykorzystana dotychczas kwestia zdrowego żywienia Polaków może okazać się skutecznym wabikiem. Troska o dobry polski chleb, o owoce dla dzieci w szkole zamiast chipsów, o czystą wodę, soki bez dodatku cukru, wędliny bez faszerowania chemikaliami – lista spraw do załatwienia jest długa i wystarczy dla każdego polityka. □

RYS. MAREK SOBCZYK

Wyznaję, więc nadaję

Posłowie wprowadzili do ustawy medialnej zapis o wartościach chrześcijańskich. A może powinniśmy w niej zapisać wartości żydowskie?

MEDIA PUBLICZNE JAN HARTMAN*

POLSCY PARLAMENTARZYŚCI POTWIERDZILI WŁAŚNIE, ŻE na straży moralności publicznej w Polsce ma stać Kościół katolicki. Wprowadzony przez nich do ustawy medialnej zwrot „wartości chrześcijańskie" jest wprawdzie niezwykle ogólny, niemniej jednak rozumie się, że w praktyce to właśnie Kościół katolicki, a nie zielonoświątkowy będzie powołany do oceniania, czy media nie naruszają zapisu ustawy. Dziennikarze będą więc unikali krytyki Kościoła i prezentowania poglądów sprzecznych z jego poglądami. Tak to już bowiem jest, że w sferze instytucjonalnej panuje oportunizm i strachliwość, wobec czego na wszelki wypadek „system wartości chrześcijańskich" traktowany jest i nadal będzie przez instytucje publiczne i państwowe po prostu jako „ogół tego, co odpowiada Kościołowi katolickiemu".

Czym właściwie są te tak wysoko cenione przez posłów i senatorów wartości? Powszechnie rozumie się je jako wiarę w Boga osobowego, który z miłości stworzył świat i człowieka, nadał światu i ludziom prawo streszczone w dekalogu. Ta wiara i te przekonania moralne są ponad tysiąc lat starsze od chrześcijaństwa, gdyż stanowią fundament Starego Testamentu. Czy zatem w ustawie powinien był się znaleźć zapis o wartościach żydowskich? Gdyby się tak stało, z pewnością posłowie z Polski staliby się gwiazdami światowych mediów, a zdumiony Izrael zażądałby wyjaśnień. Poza tym wszyscy antysemici wyszliby na ulicę i wreszcie moglibyśmy sobie ich policzyć.

Dla mediów publicznych wartości chrześcijańskie to po prostu wszystko, co odpowiada Kościołowi katolickiemu

Poważniej rzecz ujmując, gdybyśmy te wartości nazwali żydowskimi, byłoby to aroganckie. Nie tylko Żydzi wartości te dzisiaj kultywują i wcale nie jest powiedziane, że czynią to lepiej niż inni. Niestosowne byłoby również nazywanie ich mianem wartości jakiejś innej religii. Czasem więc mówi się o wartościach ogólnoludzkich, co z kolei nie obejmuje wiary w osobowego Boga.

Termin „wartości chrześcijańskie" jest dla wielu osób bardzo wygodny. Ponieważ nie ma jego definicji prawnej, zapisanie go w ustawie nie rodzi realnych skutków prawnych. Ale wszyscy wiedzą, iż jest to kryptonim i eufemizm, za którym kryje się cały zespół poglądów Kościoła katolickiego, a nawet więcej – interesy i upodobania Kościoła. To one właśnie są chronione zapisami ustawowymi. W Polsce mamy taki zapis w ustawie oświatowej. Nie służy on zagwarantowaniu, że nie będzie się dzieci nakłaniać do kradzieży bądź cudzołóstwa, lecz usprawiedliwieniu wieszania krzyży w klasach.

Posłowie pragną tworzyć prawo, które na tyle będzie podobać się społeczeństwu, że zechce ich wybrać po raz drugi. Myślą więc, że jak zamieszczą niby to nieszkodliwy, kurtuazyjny zapis, zabezpieczą się przed krytyką Kościoła i wzmocnią swoje szanse wyborcze. Poniekąd mają rację. Jednakże poziom strachu polskich polityków przed Kościołem jest irracjonalnie wysoki. Politycy myślą, że Kościół może w decydujący sposób wpłynąć na wynik wyborów. Tymczasem prawda jest taka, że rozmaici biskupi mają zdolność polityczną wywierania wpływu na decyzje wyborcze wiernych w zakresie kilku procent głosów. Mimo tego niewierzący, jak również wyznawcy religii wschodnich czują się w polskim życiu publicznym przytłoczeni i zdominowani przez dyskurs katolicki. Cały czas daje im się do zrozumienia, kto tu jest większością i kto tu rządzi. Wierzę jednak, że z czasem życie publiczne w Polsce oczyści się z ideologicznej dominacji Kościoła katolickiego. I nikt nie będzie narzucał społeczeństwu praw rozstrzygających drażliwe kwestie sumienia wedle poglądów księży, rabinów czy ateistów. Taki stan rzeczy nazywa się liberalną demokracją. □

* **Jan Hartman jest profesorem filozofii i etykiem,** kieruje Zakładem Filozofii i Bioetyki Collegium Medicum na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest też redaktorem naczelnym pisma „Principia"

CHIRURGIA PLASTYCZNA ŁUKASZ WÓJCIK

Azja ZMIENIA TWARZ

NA BLISKIM WSCHODZIE SZCZYTEM MARZEŃ JEST MAŁY PROSTY NOS, NA DALEKIM WSCHODZIE WSZYSCY CHCĄ BYĆ BIELSI. **CHIRURGIA PLASTYCZNA STAJE SIĘ NAJPROSTSZYM SPOSOBEM OSIĄGANIA SZCZĘŚCIA** JUŻ NIE TYLKO W KRAJACH ZACHODU

W jednym z odcinków popularnego serialu animowanego „South Park" bohaterzy poddają się urokowi chirurgii plastycznej. Jedna z czterech głównych postaci Kyle Broflovski przechodzi „negroplastykę". I z małego białego nastolatka staje się czarnoskórą gwiazdą koszykówki. Pan Garrison, nauczyciel Kyle'a, zmienia płeć, a ojciec nastolatka decyduje się na „delfinoplastykę". Na koniec odcinka pada kluczowe pytanie: czy „delfinoplastyka" wystarczy, aby stać się delfinem?

Być może z przemianą w delfina dziś byłby jeszcze problem, ale chirurdzy są już w stanie zrekonstruować całą twarz zniszczoną podczas wypadku. Lub ją zdekonstruować, jak to stało się udziałem zmarłego właśnie Michaela Jacksona. Poza tym chirurgia plastyczna jest coraz tańsza, dzięki czemu staje się dostępna dla milionów ludzi mieszkających poza tak zwanym Zachodem. I jakkolwiek to zabrzmi, pozwala im realizować swoje marzenia.

– Trudno o lepsze narzędzie badań socjologicznych – mówi „Przekrojowi" Caroline Howarth, brytyjska antropolożka. – Analiza wyborów podejmowanych przez ludzi poddających się chirurgii plastycznej to gotowa i bardzo wiarygodna „ankieta", z której możemy wyczytać ludzkie aspiracje i kompleksy.

Konkluzje takiej analizy są w pewnym sensie pocieszające. Okazuje się, że mimo globalizacji nie wszystkie kobiety na świecie chcą mieć usta Angeliny Jolie. – Pseudonaukowy schemat, według którego wszyscy na świecie chcą wyglądać jak przedstawiciele białej rasy kaukaskiej, jest mitem – przekonuje Howarth.

Najprostszy sposób na powiększenie „azjatyckiego" oka to **wycięcie płata tłuszczowego spod powieki**. *Zabieg kosztuje od trzech do ośmiu tysięcy dolarów*

Na bóstwo

Schematy działają na poziomie lokalnym. – Rzadko klientka przychodzi do mnie bez fotografii jakieś gwiazdy – tłumaczy mi doktor Biszara Atijeh, chirurg plastyczny z Bejrutu. →

→ – Ideał to maleńki nos, wysokie brwi i duże usta. Najczęściej chcą wyglądać jak Hajfa Wehbe* – dodaje Atijeh.

Bejrut stał się w ostatnich latach światową stolicą operacji plastycznych. Gdy po pierwszej nocy w tym mieście wyszedłem rano z hotelu w poszukiwaniu śniadania, musiałem przejść kilka przecznic, zanim znalazłem sklep spożywczy. Po drodze dosłownie wszystkie lokale mieściły kliniki chirurgii plastycznej. Według danych tamtejszego stowarzyszenia chirurgicznego w czteromilionowym Libanie w 2008 roku przeprowadzono półtora miliona operacji plastycznych, nie licząc 10 milionów zabiegów typu wstrzykiwanie botoksu czy wklepywanie kolagenu.

Po zapoznaniu się z tymi liczbami już nie dziwią plastry na nosach Libanek. Nie są one efektem przemocy w rodzinie, lecz świeżym wspomnieniem operacji. Choć nie zawsze. W biedniejszych krajach Bliskiego Wschodu, gdzie na operacje stać tylko najbogatszych, plaster na nosie jest powodem do dumy. Nawet jeśli pod plastrem nie było żadnej operacji. W takich oszustwach specjalizują się Irańczycy.

Ale czemu się dziwić. Prostowanie i zmniejszanie nosa (rinoplastyka – najpopularniejszy zabieg u semitów) w Teheranie kosztuje około trzech tysięcy dolarów. To 14 wypłat przeciętnego irańskiego urzędnika. Właśnie z powodu cen miliony mieszkańców Bliskiego Wschodu podróżują do Bejrutu, aby spełnić swoje marzenia. Tam „naprawa" nosa kosztuje tylko dwa tysiące dolarów. Ale warto, bo to jedyna część twarzy, którą widać spod nikabu.

– Mamy najlepsze ceny i najwyższą jakość – chwali się doktor Atijeh. Bejrut to doskonałe miejsce na operacje: jest tanio, łagodny klimat i wiele nocnych klubów, gdzie można od razu sprawdzić efekty zabiegu. Oprócz prostowania nosa (głównie zimą) najpopularniejsze jest poprawianie piersi, face lifting, podciąganie pośladków (latem) i uwydatnianie ust. Ten ostatni zabieg wiąże się z prawdziwym poświęceniem – kilka tygodni trzeba jeść przez rurkę.

Dla biedniejszych bejrucki First National Bank przygotował nawet specjalny kredyt. Jeśli masz co najmniej 17 lat i zarabiasz 600 dolarów miesięcznie, to dostaniesz trzyletni tani kredyt na dowolną operację. Skończyły się czasy, kiedy jedyną operacją plastyczną w tym rejonie

Wielu Irańczyków z Zachodu wraca do ojczyzny specjalnie na operacje nosa. Uważają, że **irańscy chirurdzy są bardziej doświadczeni**

Rozchwytywany w Japonii doktor Umezawa wraz z zespołem prezentuje osiągnięcia swojej kliniki – **maski twarzy zoperowanych pacjentów**

świata było wypożyczanie sztucznej szczęki na placu Dżamma el Fna w Marrakeszu w celu błyśnięcia nią na weselu.

Na arystokratę

Skończyły się również czasy, kiedy najpopularniejszą operacją plastyczną na Dalekim Wschodzie było jedzenie czerwców ziemnych. Chińscy chłopi przez wieki zbierali te mieszkające w glebie insekty, ponieważ ich „mięso" zawiera składniki wybielające ludzką skórę. Tak jak na Bliskim Wschodzie szczytem marzeń jest mały prosty nos, tak na Dalekim Wschodzie wszyscy chcą być bielsi.

Tu jednak rozczarują się wszyscy rasiści. Azjaci pragnęli być bielsi na długo przed szerszym zetknięciem się z Europejczykami. W Chinach ciemna skóra była (i nadal jest) oznaką chłopskiego pochodzenia – ktoś, kto spędza cały dzień na polu, siłą rzeczy musi się opalić. Z tego samego powodu w Tajlandii już w XVIII wieku jedna z najgorszych obelg brzmiała „tua dom" („ty czarnuchu"), a w wersji rozszerzonej „dom tap pet" („jesteś czarny jak kacza wątroba"). Azja to największy rynek dla producentów kremów rozjaśniających skórę, bo im jest ona bielsza, tym wygląd jej właściciela bardziej arystokratyczny.

Arystokratyzm białej skóry ma jeszcze większe znaczenie w Indiach. Kraj ten przez prawie trzy stulecia (XVII–XIX wiek) znajdował się pod panowaniem turecko-mongolskiej dynastii Mogołów. Jej przedstawiciele opanowali niemal cały aparat państwowy i... mieli wyraźnie jaśniejszą skórę niż tubylcy. Po Mogołach aparat państwowy opanowali Brytyjczycy, też jaśniejsi od miejscowych. Dlatego do dziś jasna skóra w Indiach to znak przynależności do elity. A kto nie chciałby być elitą? Jedynym krajem w Azji, w którym kobiety chodzą do solarium, jest Japonia.

Rozjaśnianiem skóry w Indiach i Chinach zajmuje się duża gałąź przemysłu. Najtańsze, zawierające rtęć kremy do wybielania kosztują w Indiach około 20 dolarów za kilogram, tysiąc razy mniej niż w Europie. Ale Indie to też kolebka operacji plastycznych nosa wykonywanych bynajmniej nie z powodu jego wyglądu. Pięć wieków przed Chrystusem w Indiach przyjął się oryginalny zwyczaj obcinania nosów złapanym złodziejom. Tak jak potrzeba rodzi wynalazki, tak kodeks karny w dawnych Indiach powołał pierwszych chirurgów plastycznych.

Prawdziwym azjatyckim królestwem operacji plastycznych jest jednak Korea Południowa. Ponad 10 procent jej mieszkańców jest po poprawkach (niekoniecznie upiększających). – Mamy dwie obsesje – mówi nam Lee Won Suk, pracujący w Londynie koreański chirurg. – Jedna z nich to operacje plastyczne. Druga to wróżby.

Hajfa Wehbe – modelka i gwiazda libańskiej piosenki. Fanka operacji plastycznych znienawidzona przez islamskich fundamentalistów

Na szczęściarza

Obie te obsesje łączą się w fizjognomię, paranaukową umiejętność „czytania twarzy". – Z twarzy można odczytać nie tylko charakter i pochodzenie człowieka, ale również to, czy będzie miał w życiu pecha, czy szczęście – tłumaczy Lee. Dlatego operacje mają zapewnić Koreańczykom nie tyle urodę, ile szczęście, a to nie zawsze idzie w parze. Bo na przykład wielkie wargi lub skazy na skórze zwiastują pecha. – Zdarza się, że kawaler zostaje odrzucony przez przyszłych teściów, bo ma ciemne plamy pod oczami, znak rozpoznawczy samotników – tłumaczy Lee.

W sumie jednak chirurgiczna przeróbka twarzy to niska cena za szczęście. Dlatego tylko w Seulu działa ponad 80 tysięcy klinik chirurgii plastycznej. Są one szczególnie oblegane na koniec szkolnych semestrów, kiedy rodzice chcą wynagrodzić swoim nastoletnim córkom trudy nauki.

Poza operacjami mającymi zapewnić przychylność losu popularne są klasyczne operacje poprawiające jedynie urodę. W Korei Południowej najczęściej przeprowadza się blefaroplastykę, czyli cały zestaw operacji okołoocznych. Koreanki pozbywają się na przykład zmarszczki nakątnej, czyli fragmentu powieki w samym kąciku oka przy nosie. Antropolodzy uważają, że to pozostałość po stepowej przeszłości wielu ludów Azji: roślinność tak dobrze odbijała światło słoneczne, że żyjący tam ludzie musieli bez przerwy mrużyć oczy i tak im zostało. Tę teorię potwierdza to, że niektóre ludy afrykańskiej sawanny też mają nakątną zmarszczkę.

Jej wycięcie wyraźnie powiększa oko. Ale taki efekt można też uzyskać, fundując sobie „podwójną powiekę". Powszechna u nas, u Azjatów zanika, bo pod powieką tworzy się wypychająca ją warstwa tłuszczu. Efekt? Nie ma zagięcia, które tworzy się u Europejczyków nad rzęsami.

Ideał stworzony przez pragnące jednocześnie i urody, i szczęścia Koreanki powoli rozlewa się na inne azjatyckie kraje dzięki koreańskim serialom, które biją rekordy oglądalności na całym kontynencie. W Chinach, od czasu gdy władze w 2000 roku zniosły zakaz przeprowadzania operacji plastycznych niezwiązanych ze zdrowiem pacjenta, powstało już ponad 10 tysięcy klinik chirurgii plastycznej. Chińczycy najczęściej importują specjalistów z Korei Południowej i jako pierwsi na świecie organizują ogólnokrajowy konkurs miss operacji plastycznych.

Jak opowiada doktor Lee, w odróżnieniu od Libanek, które przynoszą do kliniki na wzór zdjęcia celebrytek, Chińczycy często przynoszą zdjęcia lokalnych milionerów. – Chcą wyglądać jak ci, którzy się dorobili, bez względu na ich urodę – mówi Lee. Podobieństwo do lokalnego milionera ma im zapewnić podobne dochody.

Na Demi Moore

Ta chińska droga do szczęścia ma już niewiele wspólnego z motywacją pioniera zachodniej chirurgii plastycznej, doktora Jacques'a Josepha, który w 1898 roku dokonał pierwszej w Europie udanej operacji zmniejszenia nosa. Wtedy przekonywał on Berlińskie Towarzystwo Medyczne, że „ta przełomowa operacja nie była kaprysem próżnego pacjenta. Miała charakter prawdziwie medyczny, bo wyleczyła go z psychicznego załamania, na które zapadł z powodu nieproporcjonalnego nosa".

Szanghaj, klinika chirurgii plastycznej. **Chińczycy wierzą, że dzięki zabiegom łatwiej znajdą pracę**

Chińska studentka, która kazała sobie **połamać szczękę, żeby mieć szczupłą twarz**

Dziś w podobny sposób tłumaczy się przypadek Lisy Connell, nieuleczalnie chorej Brytyjki. Przed śmiercią chce ona przejść serię operacji, które upodobnią ją do jej ulubionej gwiazdy filmowej Demi Moore. Pracy będzie dużo, bo podobieństwo jest niewielkie.

– Przypadek Lisy Connell to tylko najnowszy etap procesu, który rozpoczął się kilkaset lat temu – mówi Caroline Howarth. – Najpierw chirurgia plastyczna ratowała zdrowie. Potem pomagała asymilować się w nowym środowisku. A teraz z powodu jej dostępności jest najłatwiejszym sposobem realizowania skrytych marzeń i aspiracji, czyli w pewnym sensie – osiągania szczęścia.

Tu już mamy pełną wolność, co kończy się albo powstawaniem kolejnych klonów Hajfy Wehbe i Demi Moore, albo poprawianiem „pechowych" cech twarzy u Koreańczyków i Chińczyków. Szkoda tylko, że zafascynowani operacjami plastycznymi Chińczycy zapominają o przesłaniu swojego wielkiego rodaka Konfucjusza. Uważał on, że wszelkie próby zniekształcania swojego ciała to nic innego jak plucie w twarz swoim przodkom. Szczególnie, że „delfinoplastyka" jeszcze z żadnego człowieka nie zrobiła delfina. □

ETNICZNA CHIRURGIA PLASTYCZNA

Najprężniejsza na świecie amerykańska branża chirurgii plastycznej od kilku lat przechodzi małą rewolucję. W USA coraz bardziej popularna staje się „etniczna chirurgia plastyczna". Jeśli jesteś z mniejszości etnicznej i masz problem ze swoją twarzą, ale z drugiej strony nie chcesz przypominać późnego Michaela Jacksona, to możesz iść do „etnicznego" chirurga i być pewien, że po operacji zachowasz cechy wyglądu charakterystyczne dla twojej rasy. Tylko w latach 2000–2005 liczba takich operacji w USA wzrosła o 65 procent. Funkcjonuje też zjawisko „etnicznej odpowiedzialności", szczególnie wśród Latynosów: jeśli Latynoska ma wąskie biodra i małe piersi, to pod wpływem najbliższych coraz częściej decyduje się na „etnicznego" chirurga, który zaokrągli, co trzeba.

Jeśli nie stać jej na to w Stanach, może skorzystać z biur podróży specjalizujących się w wyjazdowej chirurgii etnicznej, na przykład na Dominikanie. – *luc*

Latynoski lubią obfitości
i są gotowe za to płacić

FOT. REUTERS/FORUM, AFP/EAST NEWS, AGENTUR FOCUS/EK PICTURES (2), POLARIS/FOTOLINK (2), AP, REX/EAST NEWS

W tym tygodniu:
JEDZIEMY W BESKIDY NA REKOLEKCJE Z NAJBLIŻSZĄ KOBIETĄ PAPIEŻA – S. 38 RUSZAMY Z MANCHESTERU DO MADRYTU I JESZCZE NAM ZA TO PŁACĄ (MILIONY EURO) – S. 34 JEŹDZIMY PALCEM PO MAPIE (MOŻNA OBLIZYWAĆ PALCE) – OBOK

Najsztub pyta

JEDŹCIE I JEDZCIE WSZYSCY

Rozmowa odbyła się 24 czerwca 2008 roku w Warszawie

Robert Makłowicz podsuwa pomysły na to, jak wykorzystać urlop, żeby dobrze się najeść. A potem spiera się z Piotrem Najsztubem o rosół. Bez przeczytania tej rozmowy nie wolno zaczynać wakacji!

Z radością powitał pan pomysł polityków PSL, żeby wpisać do ustawy o mediach publicznych nakaz promocji zdrowej żywności, szczególnie w takich programach jak pański?

– Pomysł, żeby promować zdrową żywność, jest oczywiście bardzo rozsądny, natomiast pomysł, aby nakazywać promowanie zdrowej żywności, jest irracjonalny, bo system nakazowo-rozdzielczy już dawno się w tym kraju skończył.

Czyżby? Z papierosami jest podobnie, mają za chwilę zakazać nam palenia we wszystkich miejscach publicznych. Państwo więc czasem wychowuje przymusowo, stosując represje.

– Mój stosunek do zakazów w tym względzie jest jednoznaczny. Państwo nie może być równocześnie kaznodzieją i alfonsem. A państwo czerpie pokaźne zyski z handlu tytoniem, a równocześnie zakazuje w imię dobra publicznego jego konsumpcji. Jestem jak najbardziej za miejscami wydzielonymi i dla palących, i dla niepalących. W różnych krajach świata różne legislacje i ograniczenia się zdarzają, na przykład w Niemczech skorygowano ustawę antynikotynową, bo najpierw wprowadzono totalny zakaz, potem landy się zaczęły wyłamywać i po prostu są wydzielone miejsca tylko dla palących i tylko dla niepalących.

Może więc PSL chce, żeby media publiczne były tylko dla zdrowo jedzących?

– Uporządkujmy. Po pierwsze, mój program nie jest stricte programem kulinarnym. Ja opisuję świat, pokazuję go poprzez jego kuchnie. Jadę na przykład na Węgry i chcę pokazać tamtejszą kuchnię. I teraz według tego pomysłu nie mogę mówić, że na Węgrzech robi się salami, wędzoną słoninę oraz hoduje się wieprzowinę rasy mangalica, ponieważ jest to żywość niezdrowa. To kompletny absurd. Bo przecież ludzie cierpią na różne problemy zdrowotne nie z tego powodu, że czasami jedzą kawałek słoniny albo że za mało sałaty w siebie pakują, tylko dlatego, że jedzą świństwo, wysokoprzetworzoną żywność, chipsy, jakieś fast foody itd.

Jestem przerażony, kiedy widzę teraz wielkie billboardy z jedną panią, która robi programy o wychowaniu maluczkich i reklamuje margarynę jako najlepszą rzecz dla dzieci. A to jest żywność niezdrowa, bo margaryna jako produkt chemiczny nie może być zdrowa. Nikt mi nie wmówi, że coś, co pochodzi z fabryki, może być zdrowsze od czegoś, co pochodzi od krowy, czyli masła.

Może lekarze powinni się wypowiedzieć?

– Lekarze się wypowiadają w różny sposób, niektórzy twierdzą, że margaryna jest cacy, a inni, że beznadziejna. Jak pan sobie przypomina, przeżyliśmy już różne takie mody, mówiono na przykład, że pomidory są rakotwórcze.

Pamiętam ten cudowny ferment naukowy.

– Bo są różne fale. Przeżyliśmy w naszym kraju pana doktora Marcinkowskiego, który twierdził, że wino już od wieków jest przekleństwem Francji. A Światowa Organizacja Zdrowia w tej chwili zaleca regularne picie wina. Zdrowy jest po prostu rozsądek i jak ktoś używa mózgu, to wie doskonale, co jest zdrowe, a co nie.

Ale posłowie PSL chcieliby, żeby pan myślał za nas w swoich programach.

– To jest klasyczna polska działalność zastępcza. Ogłosi się apel do autorów programów kulinarnych i cały kraj o tym mówi. Nie tędy droga. Jeśli myślimy poważnie o tym, żeby ludzie w tym kraju nie chorowali na miażdżycę, cukrzycę itd., to trzeba tych ludzi wychowywać od małego. Taki apel powinien być raczej skierowany do gotujących w stołówkach szkolnych i akademickich, tam się kształtują smaki i nawyki.

A pan nigdy nie chciał, tak jak Jamie Oliver w Anglii, namówić premiera na rewolucję w stołówkach szkolnych? On wprowadził do nich nowe, zdrowe menu.

– Nie jestem kreatorem nowych smaków, to nie moja rola. Ja tylko pokazuję ludziom, co jada się w innych regionach świata i dlaczego się tam te rzeczy jada. No, jeśli jestem na Balearach i pokazuję, jak często tamtejsze dania z oliwą i owocami morza są łączone z odrobiną boczku, to mówię, iż to dlatego, że kiedy wygnano Żydów z Hiszpanii, to ci wędrowali na przykład na Baleary. I Inkwizycja zarządziła, po pierwsze, żeby kuchnie były otwarte, a po drugie, w wielu potrawach ma być udział wieprzowego tłuszczu, właśnie po to żeby wyłowić tych, którzy deklarowali zmianę wiary, ale tak naprawdę po cichu swoim dawnym bogom cześć oddają.

Sprytny Kościół. A czy to problem, że programy kulinarne są sponsorowane, a przez to wypełnione jakimiś erzacami żywności, kostkami, ziarenkami?

– Świadomie nie mam żadnych sponsorów będących producentami żywności. W telewizji publicznej jest tak, że jeśli się pokaże przed programem plansza: sponsorem programu jest to, to i to, to „to" kompletnie nie ma nic wspólnego z programem, ze mną. Każdy może wpłacić określoną kwotę do biura reklamy, ja nie mam na to żadnego wpływu. To mogą być okna, kosmetyki na komary...

Ziarenka Smaku...

– Cokolwiek, także Ziarenka Smaku. Natomiast to nie znaczy, że one „wystąpią" w moim programie.

Takie „występy" są pańskim zdaniem naganne?

– Nie, taki jest świat i takie są decyzje różnych telewizji. Oczywiście inną rzeczą jest to, jaki to ma wpływ na autorytet prowadzącego. Staram się, żeby ludzie wiedzieli, że za program i jego merytoryczną zawartość odpowiadam ja, a nie producent podudzi z indyka. To jest między innymi powód, dla którego ten program w dalszym ciągu realizuję w telewizji publicznej pomimo wielu niedogodności z tym związanych. Tam nikt mnie do niczego nie może zmusić ani niczego kazać.

To może podpowiedzmy PSL diaboliczny pomysł zakazu reklamowania niezdrowej żywności? :)

– O nie! Wyszliśmy z PRL również po to, żeby nie było już głupich zakazów. I tak jesteśmy traktowani jak ludzie bez mózgu, na przykład w dalszym ciągu obowiązuje ustawa o wychowaniu w trzeźwości generała Jaruzelskiego, w której wiele zapisów uwłacza mojej godności. Bo na przykład w polskim wagonie restauracyjnym nie mogę napić się piwa. →

→ Czyli może za to powinno się oddać generała Jaruzelskiego pod sąd, a nie za WRON?

– Głównie za to, zwłaszcza że te rzeczy w dalszym ciągu działają, państwo nas traktuje jak debili.

Czytelnicy „Przekroju" właśnie się pakują i za chwilę wyjadą na wakacje, najczęściej na południe Europy. Najpierw napotkają Czechy. Co oni mają tam zjeść, a czego nie tykać?

– Czechy to jest trudny temat kulinarnie, Słowacja jeszcze trudniejszy. To nie są kraje słynące z wyrafinowanej kuchni, tam przeniesiona podkomisja zdrowia polskiego parlamentu miałaby naprawdę szerokie pole do popisu. Muszą przede wszystkim pamiętać o jednej rzeczy: w Czechach jest zero promili. Więc jeśli jedzie się samochodem, to nie można nawet jednego piwa wypić. A bardzo często tamtejsza kuchnia, potwornie ciężka, wymaga zmiękczenia szklanką piwa. Moimi ulubionymi produktami z Czech są serki ołomunieckie, potwornie śmierdzące...

Krowie?

– Krowie, produkowane na Morawach, w Loszticach niedaleko Ołomuńca, zwłaszcza z kminkiem są hardcore'owe, robi się z nich na przykład zupę, która się nazywa loszticka smrdula. To jest duże przeżycie. Odradzałbym mięsa, Czesi strasznie je psują. Tamtejsza, najpopularniejsza propozycja, potwornie przeduszona, przegotowana, przepieczona polędwica wołowa w sosie z przetartych jarzyn, do tego knedliki, czyli *svičkova na smotanie*, to coś strasznego...

A czego nie można, oprócz serków, pominąć, chociaż raz nie spróbować?

– Jest *pečena kachna*, Czesi jadają kaczki, gęsi w dość dużej ilości. I one są wprost przyjemne. Ale uwaga, w czeskiej kuchni w przeciwieństwie do polskiej pozostało mnóstwo propozycji na ryby słodkowodne. Na przykład karp. Jest taka miejscowość Trzeboń, przecudne, maleńkie, starodawne miasteczko i wielkie stawy wokół, wpisane na listę UNESCO, kilkusetletnie, główne karpia się tam hoduje. Mają tam taką specjalną maszynkę w kuchniach, która powoduje, że mniej się odczuwa dolegliwość związaną z zawartością ości w karpiu. Więc karpie, pstrągi, szczupaki, w ogóle słodkowodne ryby to w Czechach rzecz warta uwagi.

Opuszczamy Czechy, wyjeżdżamy do Wiednia. Jeść ten sznycel wiedeński czy dać sobie spokój?

– Sznycel wiedeński jest cielęcym pierwowzorem schabowego, więc z nim bym sobie dał spokój. Ja się rzucam w Wiedniu zawsze na Tafelspitz, czyli – mówiąc po polsku – sztukę mięsa, która tam jest przygotowywana w sposób mistrzowski. Po pierwsze, to jest inny niż u nas kawałek wołowiny i dostaje się dwa w jednym, bo i mięciutkie mięso podlane leciutko rosołem, i bulion zrobiony na tym mięsie, a do mięsa chrzan z jabłkiem i sos szczypiorkowy. Jest taka restauracja w Wiedniu, Plachutta, która zwłaszcza z tego słynie. Austriacy poczynili też niezwykłe postępy w produkcji wina, zwłaszcza tamtejsze rieslingi uważane są za najlepsze na świecie. Blisko Wiednia leży dolina Wachau, koło Krems, która słynie z rieslingów, ale też z moreli, a morele to knedle z morelami i teraz jest na to sezon. A do tego tamtejsza morelowica, czyli destylat z moreli. Jeśli jedziemy dalej na południe...

Jedziemy, choć już mniej głodni.

– Jesteśmy w Styrii. Kuchnia styryjska jest niezwykle atrakcyjna, już są w niej wyraźne wpływy południowe. W menu jest bardzo dużo jagnięciny, dobre sery, doskonałe wina, w tym endemiczne, na przykład Schilcher, produkowane z winogron Blauer Wildbacher, które tylko w Styrii rosną, niezwykle owocowe, kwasowe, bardzo orzeźwiające. A ponieważ tam państwo nie stara się wychowywać ludzi aż tak bardzo, można palić nawet na stacjach benzynowych, można również własnoręcznie robić destylaty i je sprzedawać. Są tam destylaty na przykład z szyszek sosnowych, genialne, to się nazywa Zirbenschnaps, polecam.

To jedźmy dalej na południe. Czy w Wenecji warto coś zjeść, czy jednak lepiej tylko się taplać w kanałach i oglądać biennale?

– Z Wenecją jest podobnie jak z warszawską Starówką. Większość miejsc to są po prostu pułapki zastawione na turystów. Więc pamiętajmy o podstawowej tam i wszędzie indziej zasadzie: jeść tam, gdzie jedzą miejscowi. Inaczej obiad może się skończyć wielkim rozczarowaniem i sporym odchudzeniem portfela. Zamiast samej Wenecji polecałbym raczej obszar między nią a granicą z Austrią i Słowenią. Mamy tam na przykład region Friuli, dotykający granicy słoweńskiej z jednej strony i Wenecji Euganejskiej z drugiej, z kapitalnym, wielokulturowym jedzeniem. Tam jest i mniejszość słoweńska, i bardzo wyraźne wpływy austro-węgierskie, ale też poczucie odrębności, bo Friuli to jest osobny język i trochę inna kuchnia.

I tam co by pan nam polecił?

– Tam jest mnóstwo rzeczy fenomenalnych!

Trzeba wybrać. Czytelnik „Przekroju" nie będzie tam siedział tygodniami!

– No to jesteśmy w Trieście i w okolicach. Tam jest taka instytucja, która się nazywa *osmizze*, od słoweńskiego *osem*. Tam każdy producent wina, wędlin, chleba, mówiąc krótko – włościanin, ma prawo sprzedawać swoje wyroby bezpośrednio konsumentom z pominięciem pośredników. Przychodzi się do gospodarstwa rolnego i dostaje się różne rzeczy do jedzenia i do picia. Warunek jest jeden – że to wszystko musi być wyprodukowane na miejscu: jarzyny, sałaty, wędliny, chleb, oliwa, wino i destylat. Trafić do tego należy, biorąc adres z Internetu albo z informacji turystycznej aktualną listę gospodarstw, bo one działają okresowo i adresy się zmieniają. Można też szukać miejsc udekorowanych gałązkami jedliny, bo one wskazują, że właśnie tam coś takiego działa. I to jest prawdziwy rarytas. Po pierwsze, bez pośredników, czyli najtaniej, po drugie, rzeczy ekologiczne, bo zrobione w prostym gospodarstwie rolnym, to są takie knajpy pod gołym niebem.

Czechy i Słowacja to temat trudny. Dopiero tam podkomisja zdrowia polskiego Sejmu miałaby pole do popisu

ROBERT MAKŁOWICZ

Teraz wykonajmy skok... i jesteśmy w Neapolu, stolicy pizzy. Rozumiem, że tam trzeba zjeść pizzę.

– Nigdy nie byłem w Neapolu. I wolałbym w tej naszej podróży czytelnika „Przekroju" zabrać teraz do mojej ukochanej Dalmacji, w której zamierzam spędzić starość.

Niech będzie. Dalmacja...

– A myślę, że do Chorwacji, Dalmacji konkretnie, nawet więcej Polaków pojedzie niż na południe Włoch.

I w tej Chorwacji, Dalmacji czego mają się wystrzegać, a na co polować?

– Najpierw ryby i owoce morza. Wiadomo, że przyjeżdża tam tylu turystów, że nie starcza ich świeżych czy też miejscowych dla wszystkich. Wystarczy wiedzieć, że zamawiając w lecie kalmary, dostaniemy kalmary z Pakistanu albo z Peru, ponieważ sezon na połów kalmarów w Adriatyku jest zimą. Potem trzeba pamiętać, że musi minąć maksymalnie kilka godzin od złowienia ryby do momentu, kiedy ona trafi na stół.

Czemu?

– Bo po prostu nie jest tak dobra, jakby mogła być. Jeśli się kupuje ryby w knajpie, można być w 95 procentach pewnym, że pochodzą z hodowli, bo tych dzikich nie starcza. A ryba z hodowli ma gorszy smak. Najpowszechniejszym tam sposobem podawania ryb jest po prostu upieczenie ich na ruszcie, na grillu, polanie miejscową oliwą i posypanie czosnkiem surowym, posiekanym z pietruszką. Jeśli tego czosnku jest za dużo, to wiadomo, że ten czosnek ma coś maskować, czyli na przykład nieświeżość tej ryby. Więc jeśli dostaniemy całą doradę, na której spoczywają cztery ząbki czosnku, to możemy być pewni, że ona jest martwa o parę godzin za długo. Należy też, i to jest główna atrakcja Dalmacji, słuchać miejscowych. Brak bariery językowej, takiej jak we Włoszech, bo chorwacki jest językiem słowiańskim, powoduje, że przynajmniej w podstawowych rzeczach można się z nimi porozumieć.

Co w Chorwacji trzeba koniecznie zjeść?

– W Chorwacji kontynentalnej konieczne są dwie rzeczy – *janjetina*, czyli jagnięcina, oraz *odojak*, czyli mleczny prosiak. Zarówno jedno, jak i drugie występuje również w Hercegowinie i Serbii oraz Bośni, oczywiście prosięta tylko tam, gdzie nie mieszkają muzułmanie. Przy drogach są knajpy, które specjalizują się wyłącznie w pieczeniu na rożnie całych jagniąt oraz odojaków. To są rzeczy genialne. Chorwacja jest wspaniała kulinarnie również dlatego, że na małych targach kupuje się rzeczy, które tamta ziemia zrodziła. Pomidory z ogródka jakiejś babci, blitwę, czyli tamtejszą roślinę szpinakopodobną, winogrona, arbuzy i melony. Tam jest znacznie mniej przetworzonej żywności. Jajka mają bardziej złociste żółtka... Domowy chleb to rzecz powszechna. Oliwę zawsze robi jakiś sąsiad. Rozmaryn rośnie przy drodze, koper włoski podobnie, jak chwast, a figi można zerwać z drzewa, już w sierpniu będą, no, cytryny to dopiero w zimie. Szynka tamtejsza, czyli *prsiut*, podobną techniką produkowana jak włoskie *prosciutto*, jest po prostu kapitalna. To są takie pierwotne smaki śródziemnomorza, bliskie smakom sprzed setek lat. Bo cóż może być piękniejszego niż świeżo wyłowiona ryba w najprostszy sposób upieczona na węglu drzewnym, wino, które powstało 200 metrów dalej, oliwa z gaju obok, czosnek, który nie pochodzi z Chin, tak jak w większości w naszych sklepach, tylko z ogródka... Ma takie małe ząbki i jest bardzo brzydki, bo czosnek im brzydszy, tym lepszy.

A jeśli ktoś jednak skoczy do Hiszpanii? Tam kryzys szaleje i teraz jest podobno niedrogo. Cóż tam jeść?

– Hiszpania to jest temat na kilkugodzinną rozmowę. Hiszpania ma kilka stref klimatycznych, zupełnie inaczej jest w Galicji czy w Kraju Basków, a inaczej w Andaluzji.

A gastronomicznie która część jest najbardziej ekscytująca?

– To zależy, co kto lubi...

Ja lubię mięso.

– No to ma pan cały interior, jagnięcinę chyba najtańszą w Europie. Jak weekend się zbliża, to w supermarketach sprzedają *costillas de cordero*, czyli kotleciki jagnięcie, w workach 5-, 10-kilogramowych. Do tego czerwone wino, szczepu Tempranillo na przykład... I nic więcej człowiekowi do szczęścia nie potrzeba. Pamiętać należy, że ta jagnięcina jest tak dobra, że oni w ogóle tego niczym nie przyprawiają, odrobina morskiej soli, świeża oliwa i nic więcej, żadne rozmaryny, majeranki, tymianki, zero.

Wyobraźmy sobie teraz, że ta część wywiadu będzie wydrukowana po angielsku dla tych, którzy nieopatrznie trafili do Polski i są głodni. Czego powinni unikać, a co powinni koniecznie zjeść?

– Powinni unikać przede wszystkim rekomendacji przewodnikowych, które mówią o narodowych polskich daniach. Bo inaczej będą w lecie jedli bigos, pierogi, pomidorową z ryżem, a to absurd. Muszą szukać regionalnych miejsc, a ta kuchnia się niezwykle w Polsce odradza. Nawet w miejscach teoretycznie pustynnych gastronomicznie można znaleźć knajpę prowadzoną przez pasjonatów, którzy odtwarzają lokalne smaki. Jeśli ja tęsknię za czymś, nie będąc w Polsce, i co mogę im polecić, to to wszystko, co z lasu płynie: dziczyzna, runo leśne, a sezon na grzyby czy borówki właśnie się zaczyna, na to bym się rzucał na ich miejscu. I chłodniki, a botwinka jest teraz w najpiękniejszej wersji, na przykład z szyjkami rakowymi albo z cielęciną pieczoną – fenomenalna rzecz!

A czego ten turysta miałby się wystrzegać?

– Jeśli ktoś weźmie jakiś przewodnik i tam poczyta, że jesteśmy dumni z tego schabowego, i go zje, to dostanie depresji.

Szczególnie wiedeńczyk.

– A przecież zupy w Polsce są genialne! I jest ich dużo, w przeciwieństwie do menu francuskiego czy włoskiego.

O! Pochwalmy nasz rosół polski!

– Rosół wcale nie jest polski.

Ale nasz jest zupełnie inny niż te zachodnie buliony, mocniejszy, warzywniejszy, potom sprzyjający...

– Nie widzę różnicy między rosołem polskim a na przykład słoweńskim. A poza tym rosół nie wydaje mi się specjalnie letnią zupą.

Kiedyś Polacy podróżowali z własnym prowiantem, obładowani puszkami i wekami, bo tak było taniej. Teraz jadą i jedzenie obcych potraw stało się nieodzowną częścią wakacji. To dobrze?

– Fundamentalnie dobrze. Podróże, a kuchnia jest składową podróży, to jest lustro, w którym cały czas się przeglądamy, by wiedzieć, kim jesteśmy tu, w naszym miejscu. Bo lustro, które mamy na co dzień, być może nas pogrubia albo wydłuża, albo skraca, i musimy szukać swojego odbicia w innych kulturach, by zrozumieć własną. Bez tego jesteśmy ślepi i bezbronni, bo nie mamy właściwego porównania. A jedzenie jest najbardziej uniwersalnym kluczem do skarbca z lokalną kulturą, historią i tradycją, bo pozwala nam opisać nawet losy danego miejsca.

Ale może, jak się na obczyźnie najemy, to wpadniemy w kompleksy?

– Mój Boże, wiadomo, że kolebką cywilizacji nie są Bory Tucholskie, tylko wybrzeże Morza Śródziemnego, i kiedy ludzie tam pisali traktaty filozoficzne, to tutaj opędzaliśmy się od pszczół. Ale to nie jest powód do żadnych kompleksów! □

Robert Makłowicz (46 lat) jest dziennikarzem i publicystą znanym przede wszystkim z zamiłowania do kuchni i podróży. Ormianin z pochodzenia, krakowianin z wyboru, duchem jest obywatelem c.k. monarchii. Od ponad 10 lat w TVP2 poszerza kulinarne horyzonty Polaków w programach „Podróże kulinarne Roberta Makłowicza" oraz „Makłowicz w podróży". Jego barwny i cięty język sprawił, że był nominowany do tytułu Mistrza Mowy Polskiej. Dzięki niezwykłym porównaniom („ciasto kruche jak pokój na Bliskim Wschodzie", „piana trzyma się miski jak Rosjanie Kaliningradu", „ten barszcz jest czerwony jak sztandar PPS") został ikoną Internetu – jest między innymi bohaterem piosenki „Być jak Robert Makłowicz" złożonej ze zmiksowanych wypowiedzi publicysty.

FOT. BOGDAN KREJZEL, STYLIZACJA ALICJAKAZIMIERCZAK.PL, DZIĘKUJEMY GALERII OSOBLIWOŚCI, KRAKÓW, UL. SŁAWKOWSKA 14, WWW.ESTE-KRAKOW.PL, FOT. FOTOLINK, ISTOCK

REKLAMA

OFF FESTIVAL

mBank ZAPRASZA

najważniejszy festiwal alternatywny w Polsce już po raz czwarty

2009

6-9 SIERPNIA
MYSŁOWICE
SŁUPNA PARK

4 dni, 5 scen
i ponad 60 zespołów:
Spiritualized, The National, Fucked Up, The Thermals, Jeremy Jay, Handsome Furs, The Week That Was, Health, The Pains of Being Pure at Heart, Crystal Antlers, These New Puritans, Ólafur Arnalds, Monotonix, The Field, Errors, Final Fantasy, Micachu and The Shapes, Lech Janerka gra „Historię Podwodną", Maria Peszek, Miłość
i wielu innych...

gość specjalny: Jonathan Poneman, założyciel legendarnej wytwórni Sub Pop

dyrektor artystyczny: Artur Rojek

bilety:
www.ticketpro.pl
www.ticketportal.pl
www.eventim.pl

szczegóły:
www.off-festival.mbank.pl
www.myspace.com/offfestival

OFF Festival 2009 dedykowany jest 70 rocznicy wybuchu II wojny światowej

mBank Mecenas · Sponsor główny · Patroni medialni · Organizator · Współorganizatorzy · Partnerzy

To prawdziwy skarb. Real Madryt ogłosił, że jest gotów odsprzedać **Cristiano Ronaldo**. *Kwota odstępnego – miliard euro*

ZOSTAŃ GWIAZDĄ MARCIN CICHOŃSKI

BYĆ JAK CRISTIANO RONALDO

Masz szybkie samochody i gigantyczną pensję. Jesteś najdroższym piłkarzem w dziejach sprzedanym właśnie do Realu za 93 miliony euro. Ale czy jesteś pewien, że tego chcesz? Sprawdź...

Grasz właśnie mecz. Mimo 76. minuty twoja starannie ułożona fryzura na wystudiowany luz trzyma się mocno. W końcu złośliwcy twierdzą, że najcięższy z całej twojej głowy jest żel, więc żaden włosek nie ma prawa się ruszyć. Sędzia podyktował rzut wolny. Piłka będzie ustawiana jakieś 25 metrów od bramki przeciwnika. Cały stadion zamiera i czeka, aż zawodnik z numerem 7, czyli ty, wykona rytualny teatr gestów. Podchodzisz do piłki, wybierając starannie ten kawałek ziemi, z którego najlepiej będzie kopnąć. Potem cofasz się o trzy–cztery dokładnie odmierzone kroki. Idziesz tyłem, to ważne, byś cały czas był skoncentrowany na bramce, by nikt nie mógł cię rozproszyć. Czekając na gwizdek sędziego, czasem spluniesz (zawsze na prawo, bo jesteś przesądny – z tego samego powodu, wchodząc na boisko, starasz się na początek dotknąć murawy krawędzią prawego buta). Czasem ruszasz nozdrzami jak byk na korridzie. To, co następuje potem, to pestka: bierzesz pod uwagę ustawienie bramkarza, muru, wysokość zawodników w murze, wysokość trawy, w końcu to, czy jest wilgotna, czy nie, czy wieje wiatr i z którego kierunku, czy piłka jest twarda od deszczu, czy raczej miękka, dobierasz odpowiednią rotację i siłę uderzenia. Potem strzelasz bramkę. Często piękną, w samo okienko.

Będę brał to auto

Po meczu wracasz jednym ze swoich eleganckich aut. Żadnym z nich nie jeździsz dłużej niż sześć miesięcy. W końcu jesteś Cristiano Ronaldo dos Santos Aveiro i od lipca będziesz zarabiać 13 milionów euro rocznie. Nieźle jak na 24-latka, co? Czasem, gdy poniosą cię rytmy nagrań twoich ulubionych artystów – Ricky'ego Martina albo Jennifer Lopez – rozbijesz w tunelu swoje ferrari. Ale nie przejmujesz się tym. Stać cię na to. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie pismaki z tabloidów. Oni w takich sytuacjach zawsze zrobią ci jakieś kompromitujące zdjęcie.

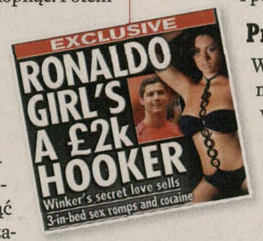

Ponieważ żyjesz w stresie, lubisz dobrze się zabawić. Musisz jakoś odreagować, nie? Jesteś jednak profesjonalistą, alkoholu (poza rzadkimi wpadkami) nie nadużywasz. Zresztą w lidze angielskiej z małego piwka żaden paparazzo afery nie robi. Ale co innego, jeśli chodzi o kobiety. Możesz nie wiedzieć, co się wokół ciebie dzieje, ale o tym, że widziano cię z prostytutką, na pewno dowiesz się nazajutrz z „The Sun". Cały świat pozna dzięki brukowcowi cenę usług niejakiej Farnandy Brags. Ale co tam – stać cię w końcu na dwa tysiące funtów. A dziennikarze nie wiedzą, że od dziecka jesteś bardzo uczuciowy. I potrzebujesz cholernie dużo ciepła.

Przyjaciel potrzebny od zaraz

Wszystko przez dzieciństwo. Dopóki mieszkałeś z rodzicami na Maderze, wszystko było w porządku. Rodzice wiedzieli, że marzeniem każdego chłopaka jest gra w piłkę, i pozwalali ci je spełniać w lokalnym klubie. Potem ktoś zobaczył twoje dryblingi i zdecydował, że pójdziesz do szkółki piłkarskiej Sportingu Lizbona. Nie było lekko. Wszyscy wokół nabijali się z twojego wyspiarskiego akcentu. Nawet gdy strzelałeś efektowne bramki, twoi rówieśnicy wymawiali słowo „gratulacje", charakterystycznie sepleniąc, tak jak to robią twoi ziomkowie na Maderze.

Ale pokazałeś im. W wieku 18 lat przeszedłeś do Manchesteru United. Zastąpiłeś tam Davida Beckhama, też faceta od koszulki z numerem 7, bramek z rzutów wolnych, plotek w brukowcach i pyskówek z trenerem Aleksem Fergusonem. Zastąpiłeś go zaskakująco dobrze w każdej z tych dziedzin.

W Manchesterze szybko z kimś się zaprzyjaźnić jest trudno, a ty przecież potrzebujesz mieć w kimś bratnią duszę. Po pewnym czasie ten dziwaczny trener, Szkot Alex Ferguson, który daje ci za dużo treningu siłowego i nie pozwala na doskonalenie perfekcyjnego dryblingu, sprowadził do klubu Wayne'a Rooneya. O matko, jak on wygląda! Brzydszym piłkarzem od niego jest chyba tylko ten cholerny Brazylijczyk Ronaldo, z którym co mniej zorientowani fani piłki notorycznie cię mylą. Rooney to jednak fantastyczny kumpel. „The Sun" może się wyśmiewać, mówiąc, że jesteście jak piękny i bestia. Oni nie wiedzą, co to za uczucie, gdy po twoim dalekim, długim na kilkadziesiąt metrów podaniu Rooney z pierwszej piłki strzela bramkę. A po meczu zabiera cię do knajpy, bo potrafi się odwdzięczyć.

Wszędzie byliście razem. Aż do meczu Anglia–Portugalia podczas mistrzostw świata w 2006 roku. Dlaczego? Rooney sfaulował twojego kolegę z reprezentacji. Dyskretnie →

Łatwo przyszło, łatwo poszło – **w końcu stać cię na bezpieczne, eleganckie wozy**. *Na przykład takie jak bentley (nowy) albo ferrari (używany)*

FOT. INSIGHT CELEBRITY/XPOSURE/FORUM, FOTOLINK (2), PA/MEDIUM, ENFOQUE/EAST NEWS (2), REUTERS/FORUM

→ pokazałeś sędziemu, że za to zdecydowanie należy się czerwona kartka. Sędzia wyrzucił Rooneya z boiska, a te cholerne pismaki z Wysp Brytyjskich znów przejrzały sprawę, a Wayne chyba nawet się obraził. Jakby nie wiedział, że nie miesza się spraw zawodowych z prywatnymi. W Anglii zaczęli cię nienawidzić, ale ty się tym nie przejmujesz. Parę goli zmieni ich nastawienie.

Z Wayne'em podajecie sobie publicznie, przy fotografach, ręce na zgodę, ale wasze kontakty trudno nazwać przyjaznymi. W zespole niby wszyscy cię lubią, ale to już nie to co kiedyś. Zaczynasz rozglądać się na boki. Dwa lata później ogłaszasz, że marzysz o tym, by opuścić Anglię i grać dla Realu Madryt. To najlepszy klub świata, mówisz. Ale – o zgrozo – rozgrywka o ciebie nie jest najważniejsza w klubie. Ten cholerny Szkot też chciał odejść z Manchesteru. Jednym z warunków pozostania była twoja obecność w klubie. – Jestem wdzięczny sir Aleksowi Fergusonowi, że przekonał mnie, bym dalej grał dla „Czerwonych Diabłów" – stwierdzasz w jednym z wywiadów. No bo cóż innego możesz powiedzieć?

By uciec od pełnego napięć życia w Anglii, często odwiedzasz rodzinę. Bardzo ją kochasz. Gdy w 2005 roku umarł twój ojciec, byłeś na wyjazdowym meczu z reprezentacją Portugalii. Nie zrezygnowałeś z gry, chciałeś strzelić bramkę na jego cześć. Nie udało się, ale bliscy bardzo cię chwalili. Odwdzięczasz się im, jak umiesz. Twoja mama twierdzi nawet, że rozpuszczasz wszystkie dzieci w rodzinie, kupując im zbyt drogie prezenty. Cóż, dajesz im tylko to, czego sam nie miałeś. Ojciec był sprzątaczem w Adorinha, twoim pierwszym klubie, a to nie była najlepiej opłacana posada.

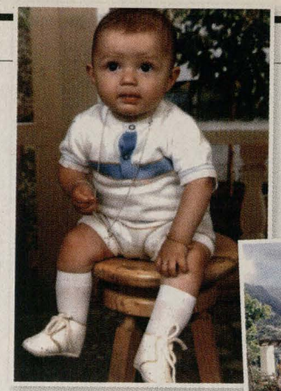

Cristiano *jest najmłodszym z czwórki dzieci Marii i José Aveiro*

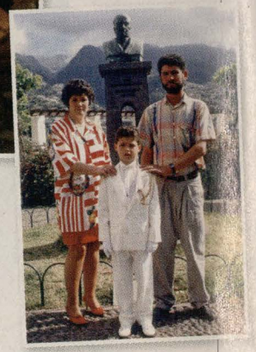

A ja wolę moją mamę

Na punkcie kontaktów z rodziną dostajesz bzika. Namawiasz mamę na wspólne sesje zdjęciowe do gazet, w każde Boże Narodzenie zapraszasz najbliższych i osobiście wręczasz im prezenty przebrany w strój Świętego Mikołaja. Matka powtarza ci, byś zawsze szedł za głosem serca. I dlatego zawsze wracasz do niej w chwilach największych porażek.

Bo jakoś zawsze jest tak, że zawodzisz w najważniejszych meczach. Najczęściej spudłujesz karnego – jak dwa razy w rozgrywkach Ligi Mistrzów w 2008 roku. Miałeś jednak szczęście: i w dwumeczu z Barceloną, i w finałowym pojedynku rzutów karnych z Chelsea wynik uratowali twoi koledzy. Tak się tym przejąłeś, że po zakończeniu spotkania leżałeś samotnie na środku boiska i płakałeś, zamiast się cieszyć. Ale za to w ostatnim finale Ligi Mistrzów znów jesteś cieniem samego siebie. Masz też wieczne problemy z Polakami. Dobrze pamiętasz, jak po przegranym 1:2 meczu jeden z pismaków dowodził, że nie poradziłeś sobie z piłkarzami reprezentacji, której łączna rynkowa wartość jest niższa od twojej. Odwdzięczasz się Polakom, strzelając w rewanżu jedną z najpiękniejszych bramek w karierze. Stałeś tyłem do bramki, miałeś obok dwóch obrońców, a i tak „na ślepo" trafiłeś tuż przy słupku.

Jednak mimo spudłowanych karnych 2008 to był twój rok. Wygrałeś ligę angielską i Ligę Mistrzów. Dostałeś Złotą Piłkę, czyli nagrodę dla najlepszego piłkarza na świecie. Nadszedł czas, by spełniać marzenia.

Is that real?

Jednak dziennikarze znów wszystko popsuli. Zamiast pisać o tym, że bosko przystojny piłkarz rusza na podbój Madrytu, wzięli pod lupę wydatki Realu. Kryzys? Jaki kryzys? Skoro Real Madryt chce na ciebie wydać 93 miliony euro, to niech wydaje. Bo przecież bank musiał uznać, że jesteś dobrą inwestycją, skoro dał Realowi kredyt w wysokości 150 milionów euro. A Elana Salgado, minister finansów Hiszpanii, niech się lepiej zajmie prawie 20-procentowym bezrobociem niż komentowaniem, iż „szkoda, że banki tak chętnie nie udzielają kredytów firmom". Na pewno nie zna się na piłce. Albo jest zawistną fanką konkurencyjnej Barcelony.

W dodatku znowu napisali, że przechodząc do Madrytu, po raz kolejny naśladujesz Davida Beckhama. I mają, niestety, skurczybyki rację! □

Też Ronaldo, ale brazylijski

Tak wygląda **najseksowniejszy mężczyzna świata 2008 roku.** *Przynajmniej zdaniem czytelników pisma „Gay News"*

Cristiano Ronaldo

Jak wyliczyć wartość piłkarza

MÓWI WOJCIECH MAJERAN Z FIRMY CISZEWSKI MARKETING SPORTOWY

WARTOŚĆ MARKETINGOWĄ piłkarza mierzy się czterema elementami. Pierwszym jest suma kontraktu piłkarza i wartości zakupu. Drugi to zsumowana wartość kontraktów reklamowych i sponsoringowych. Trzeci stanowi wyliczenie ewaluacji medialnej, czyli przeliczenie, jaką trzeba byłoby zapłacić za czas antenowy. Czwartą stanowi liczba publikacji prasowych o piłkarzu – oceniamy przy tym kontekst: czy jest negatywny, czy pozytywny. Myślę, że 93 miliony euro i kontrakt za kolejne 13 milionów rocznie za Cristiano Ronaldo to przesada. On nie budzi aż tak pozytywnych emocji jak niegdyś inny piłkarz Realu Madryt Zinedine Zidane. Zaciągnięcie dużego kredytu na zakup piłkarza wydaje się nierozsądne, jeśli spojrzy się na sytuację finansową klubu. Inwestycja może kiedyś się zwróci w postaci sprzedaży koszulek, biletów, zainteresowania sponsorów, ale w czasach kryzysu na pewno nie nastąpi to szybko. □

VIVA! PHOTO AWARD 2009

Konkurs dla pasjonatów fotografii

Mecenas konkursu i wystawy:
APART Z MIŁOŚCI DO PIĘKNA
BAUME & MERCIER GENEVE • 1830

Patroni medialni:
TVP TELEWIZJA POLSKA
chilli zet
onet.pl digart.pl polki.pl foto

Partnerzy konkursu i wystawy:
OPERA NARODOWA
HYATT HATOR

Honorowy Patronat konkursu i wystawy:
Prezydent Miasta Warszawy
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

VIVA! PHOTO AWARD 2009

DLA ZWYCIĘZCÓW KAŻDEJ Z 5 KATEGORII NAGRODY PIENIĘŻNE 50000 ZŁ O ŁĄCZNEJ WARTOŚCI

ZDOBYWCA GRAND PRIX OTRZYMA SZANSĘ ZREALIZOWANIA SESJI ZDJĘCIOWEJ NA ŁAMACH DWUTYGODNIKA VIVA! NAGRODĘ SPECJALNĄ OD FIRMY APART (ZEGAREK BAUME & MERCIER) I ROCZNY WARSZTAT FOTOREPORTAŻU UFUNDOWANY PRZEZ AKADEMIĘ FOTOGRAFII

KATEGORIE: MODA PORTRET BEAUTY REPORTAŻ FOTOGRAFIA PRZEDMIOTU

POCZĄTEK – 14.05.2009 SZCZEGÓŁY KONKURSU NA www.photo-awards.viva.pl

Termin nadsyłania prac: od 15 maja 2009 do 4 września 2009 r. Warunkiem przyjęcia zgłoszenia jest: zaakceptowanie regulaminu konkursu na stronie www.photo-awards.viva.pl obowiązkowo do każdego zdjęcia lub serii zdjęć. Po zaakceptowaniu regulaminu należy przesłać zdjęcia w wersji cyfrowej przez stronę www.photo-awards.viva.pl.
Wyniki: Ogłoszenie zwycięzców na przełomie października i listopada 2009 r. na łamach VIVY! i stronie www.photo-awards.viva.pl oraz podczas wystawy konkursowej.

Służebnica papieska

Wanda Półtawska to bezkompromisowa działaczka antyaborcyjna, przed którą drży niejeden duchowny. Jedyna osoba, której Jan Paweł II na msze do papieskiej kaplicy pozwalał schodzić w kapciach

SYLWETKA JUDYTA SIERAKOWSKA

– PANI PÓŁTAWSKA UZURPUJE SOBIE WYJĄTKOWOŚĆ RELACji i szczególne więzi, których w rzeczywistości nie było. Na pewno nie jest jedyną osobą, którą łączyła długa zażyłość z Karolem Wojtyłą – zżymał się w wywiadzie dla „La Stampy" kardynał Stanisław Dziwisz, wieloletni sekretarz Jana Pawła II, który nie ukrywa niechęci do papieskiej „siostry". I dodaje, że „rozpowszechnianie prywatnych materiałów nie jest właściwe".

Mowa o wydanej zaledwie cztery miesiące temu książce „Beskidzkie rekolekcje. Dzieje przyjaźni księdza Karola Wojtyły z rodziną Półtawskich", która zawiera prywatną korespondencję między Wandą Półtawską a Janem Pawłem II. Książka wstrząsnęła kościelnym światkiem nie tylko dlatego, że została wydana w niewygodnym czasie – niektórzy spekulują, że opóźni ona proces beatyfikacyjny Wojtyły – ale też dlatego, że zawiera prywatne listy, które „prawie święty" pisał do osoby świeckiej, i to kobiety. A trwało to 55 lat!

Chłodna, silna, radykalna

„W dzisiejszym świecie (...), w którym pocałowanie dziecka w czoło nasuwa myśl o pedofilii, (...) przyjaźń między mężczyzną i kobietą automatycznie budzi myśl o seksualnej stronie płciowości" – pisze Andrzej Półtawski, wykładowca filozofii, we wprowadzeniu do książki żony. I podsumowuje przyjaźń między Wandą a papieżem: „Było to spotkanie bardzo – w najgłębszym sensie – męskiego mężczyzny i bardzo – w najlepszym sensie – kobiecej kobiety".

Półtawska rozmawiać nie chce: – Dość artykułów na mój temat – mówi chłodno i odkłada słuchawkę.

Oschła, silna, radykalna, zawsze bez cienia makijażu, zawsze wyprostowana jak struna. Rocznik 1921.

Kim jest kobieta, do której papież pisał „kochana Dusiu", a listy podpisywał „brat"?

Wanda Półtawska to przede wszystkim lekarka. Gdy powstawała obowiązująca ustawa antyaborcyjna, środowisko „Tygodnika Powszechnego" i „Znaku" uznało, że można poprzeć kompromisowe zapisy. Półtawska zaatakowała ich wtedy jako zgniłych relatywistów moralnych. Angażowała się politycznie: 10 lat była radną Krakowa, została też członkiem Zespołu Wspierania Radia Maryja. Jan Paweł II powołał

Jej wykłady z medycyny pastoralnej, podczas których **potrafiła kleryków głośno zapytać: „Masturbujecie się?"**, *były słynne w całym kraju*

ją między innnymi do Papieskiej Rady do spraw Rodziny, została też ekspertem Papieskiej Rady dla Pracowników Służby Zdrowia. Przez 42 lata wykładała medycynę w Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, kierowała Instytutem Teologii Rodziny. Za radą „brata" zajęła się poradnictwem małżeńskim i rodzinnym. Prowadziła też zajęcia dla narzeczonych i księży.

Ona mu wszystko powie

– Zawsze podkreślała swoją ogromną zażyłość z papieżem. Na wykładach z medycyny pastoralnej mówiła o nim per Karol. Na początku nie wiedzieliśmy, o kogo chodzi. Trochę nas to raziło – wspomina ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski. – Ale była też ogromną indywidualnością. Z wykładowców pamiętam najlepiej księdza Tischnera i właśnie ją.

Trudno było nie zapamiętać. Na wykładach mówiła wprost: jeśli któryś z was ma skłonności homoseksualne, nie powinien tu być, chodzenie w dżinsach prowadzi do bezpłodności, a stosunek przerywany czy onanizm do groźnych nerwic. Potrafiła głośno zapytać: „Masturbujecie się?".

– Traktowaliśmy ją z szacunkiem, ale też bliskie stosunki z papieżem powodowały, że uważaliśmy na słowa, bo „ona mu wszystko powie". Była psychiatrą, więc nasi przełożeni często prosili ją też o opinie o nas – wspomina ksiądz Isakowicz. – Miała ogromne wpływy, świadczy o tym chociażby przykład mojego kolegi, który jako diakon ostatniego roku zakpił sobie na wykładzie z metod naturalnego planowania rodziny. To był tylko żart, ale pani profesor poszła na skargę do rektora. Koledze wstrzymano święcenia kapłańskie. Przyjął je rok później, na dodatek nie w katedrze z rąk metropolity, ale w kaplicy seminaryjnej z rąk biskupa pomocniczego.

– Byłem raz u niej w domu jako łącznik poznańskich księży w sprawie arcybiskupa Paetza. Życzliwie wysłuchała, ale traktowała mnie z góry, jak małego chłopca – tak swoje spotkanie z Półtawską wspomina Jarosław Gowin.

Jednak jej reakcja była błyskawiczna. Gdy poznańscy księża miesiącami bezskutecznie próbowali poinformować Jana Pawła II o sprawie, Półtawska pojechała do Watykanu i osobiście wręczyła papieżowi list opisujący seksualne ekscesy w poznańskim seminarium. – Od księży słyszałem, że chcieli zatrzymać ją strażnicy. Półtawska roztrąciła ich i wparowała do papieskiego apartamentu – opowiada Gowin.

Niedługo potem Paetz złożył rezygnację.

„Duśka była w Ravensbrück"

Na takie zachowanie mogła sobie pozwolić tylko Dusia. Na „papieskie fory" pracowała przez ponad pół wieku. Zaprocentowała też jej okrutna przeszłość.

Półtawska poznała Wojtyłę na początku lat 50. Klęczała w kościele Mariackim, kiedy wszedł do niego młody ksiądz. Instynkownie poszła za nim do konfesjonału. Gdy skończyli rozmawiać, rzekł: „Przyjdź rano na mszę, przychodź co dzień".

Od tamtego dnia codziennie odrabiali „zadania domowe". Ona przychodziła na mszę, po niej wybierali tekst do dyskusji, ona go czytała, a wieczorami o nim rozmawiali. Gdy wyjeżdżał, zadawał jej „lekcje" – kolejne lektury. W spostrzeżeniach Dusi Wojtyła ujrzał samego siebie, ale też czuł, że ta kobieta, tak nieugięta w swoich radykalnych poglądach, przeżyła coś, czego on nie doświadczył. Tajemnica wyszła na jaw kilka lat później.

Z czasem do duchowej przyjaźni tej dwójki dołączył mąż Półtawskiej, Andrzej. Zaczęły się wspólne wyjazdy. Andrzej i Dusia z przyszłym papieżem spędzali niemal wszystkie wakacje. Wojtyła najpierw jako zwykły spowiednik, a potem biskup wyjeżdżał z nimi w góry. Razem wędrowali, pływali, opalali się. On był dla nich „bratem", córki Półtawskich mówiły do niego „wujku". Wojtyła był ich duchowym przewodnikiem, a dzięki nim doświadczał życia rodzinnego.

Codziennie odprawiali mszę. Gdy padał deszcz, Dusia trzymała nad Karolem pelerynę, żeby mu się mszał nie zamoczył. W Beskidach każdy z nich odgrywał swoją rolę: Karol wiadomo, Duśka była biwakową lektorką – czytała na głos książki – i ministrantką: dbała o ornat i przygotowywała polowe ołtarze, Andrzej gotował. Po obiedzie Duśka zbierała poziomki na deser. Wojtyła nigdy nie zapytał, skąd się wzięło wgłębienie na prawej nodze Wandy. Zaczynało się nad kostką i ciągnęło na jakieś 15 centymetrów.

Kiedy cztery córki Półtawskich były małe, tylko Andrzej wyjeżdżał z Karolem w góry. To wtedy powiedział mu: „Duśka była w Ravensbrück". Po tych słowach Wanda stała się Wojtyle bliższa niż kiedykolwiek. Uważał, że „była tam za niego". Do obozu koncentracyjnego dla kobiet w Ravensbrück Duśka trafiła jako nastolatka. Najmłodsza z trzech sióstr, w szkole urszulanek była najlepsza w klasie, a gdy miała 15 lat, na obozie harcerskim została najmłodszą drużynową. Sielankę przerwała wojna. 18-latka włączyła się do konspiracji jako łączniczka. W lutym 1941 roku aresztuje ją gestapo. Trafia do więzienia w Zamku Lubelskim. Pół roku później zaczyna się koszmar – z lubelskim transportem więźniów z wyrokami śmierci trafia do Ravensbrück. Staje się numerem obozowym 7709.

„Kiedy wsadzili mnie do obozu, zdałam sobie sprawę, że człowiek żyje po to, żeby umrzeć (...). Wyroki śmierci wykonywano bez zachowania jakiejś przewidywalnej kolejności. (...) Wymyślałyśmy wówczas nawet dowcipy, że dymek z jednej z nas będzie niebieski, a z innej czerwony" – mówiła w jednym z wywiadów. Nie złamały ją też okrutne eksperymenty medyczne. – Niemieccy lekarze wstrzykiwali nam w nogi groźne bakterie. Łamali je, kroili, rany z nóg ropiały... Mimo to Duśka zawsze była dzielna i skupiona – wylicza profesor Joanna Muszkowska-Penson, która razem z Półtawską była w Ravensbrück. Prawdopodobnie to, że dla ratowania życia bez szemrania musiała się poddawać eksperymentom, ukształtowało w Duśce późniejszą bezkompromisową postawę.

FOT. PAWEŁ TERLIKOWSKI/FORUM, EDYCJA ŚW. PAWŁA

Półtawscy i Jan Paweł II byli jak rodzina. Podczas gdy inni goście odwiedzający papieża w czasie wakacji w Castel Gandolfo mieszkali u sióstr zakonnych, **Dusia i Andrzej zatrzymywali się w Pałacu Apostolskim**

Do Polski wróciła w maju 1945 roku. Zaraz po wojnie zaczęła studiować medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Chodziła też na zajęcia z psychologii, filozofii, nauk politycznych. Chciała zrozumieć, dlaczego człowiek jest tak okrutny? To pytanie również przygnało ją do konfesjonału Wojtyły. On pomagał rozwikłać jej rozterki duchowe, ona radziła mu w sprawach ludzkich.

Jak dalej żyć?

W październiku 1962 roku Duśka zapada na nowotwór. Nie mówi nic mężowi. Ma 40 lat, a jej najmłodsze córki po cztery. O chorobie wie Wojtyła, pisze do swej drogiej Dusi z Rzymu, by ta poddała się operacji. Lekarze dają jej pięć procent szans na przeżycie. 17 listopada w liście do stygmatyka z San Giovanni Rotondo, ojca Pio, Wojtyła prosi o modlitwę „za matkę czworga dzieci z Krakowa". Pięć dni później, dzień przed operacją Półtawskiej, lekarze z niedowierzaniem stwierdzają: nie ma raka. Wojtyła wysyła list do stygmatyka z podziękowaniami. Po śmierci ojca Pio Duśka naciska na papieża, by jak najszybciej kanonizował stygmatyka. Jan Paweł II robi to rok później.

Wojtyła mianuje Dusię swoim osobistym ekspertem, strażniczką katolickiej doktryny. Piszą do siebie listy, wspólnie spędzają wolny czas. „Ale te wakacje w sierpniu 1978 roku zostały przerwane – pisze Dusia. – W niedzielę szóstego rano powiedział przy śniadaniu: – Nigdy mi się nic nie śni, a dziś śnił mi się Ojciec Święty Paweł VI, kiwał na mnie".

16 października nad Kaplicą Sykstyńską widać smugę białego dymu. Świat zyskuje papieża, Dusia traci brata. Notuje: „Tłum ludzi szaleje, bije Zygmunt. Jak dalej żyć?". Karol już jako Jan Paweł II wyczuł te obawy, następnego dnia o poranku dzwoni, mówi: „Przyjedźcie".

W liście z grudnia 1978 pisze: „Byłaś i nadal pozostajesz moim „ekspertem" osobistym od dziedziny »Humane Vitae«. Cztery miesiące później, gdy Dusia miała wątpliwości, upewnił ją: „Szłaś krok w krok z moim kapłaństwem i uczestniczyłaś od tylu lat w odkrywaniu tych znaczeń i tych wartości. Uczestniczyłaś twórczo. Nie możesz mówić, że nie widzisz teraz dla siebie miejsca".

Dusia była jedną z niewielu osób, która czuwała przy papieskim łóżku zaraz po zamachu. Była też przy nim, gdy umierał. Do Rzymu przyjechała jeszcze w lutym 2005 roku, tak jak zwykle z torbą pełną książek. „Brat" lubił, kiedy mu je czytała. Gdy był bliski śmierci, wszystkie książki, które zabrała z Polski, były już przeczytane. Pobiegła do zaprzyjaźnionego dominikanina, ten wręczył jej „Wolne miasto" Mieczysława Jałowieckiego. Papieżowi podobała się, bo tak żywo napisane. Odszedł, kiedy Duśce do przeczytania została ostatnia strona. □

Byłaś i nadal będziesz moim ekspertem – pisał papież do swojej Dusi

Fragmenty pochodzą z książki **Wandy Półtawskiej „Beskidzkie rekolekcje. Dzieje przyjaźni księdza Karola Wojtyły z rodziną Półtawskich"** *oraz pamiętnika* **„I boję się snów"**

TECZKI

Śpiewać każdy może?

Brytyjski filantrop zapłacił 165 tysięcy dolarów za debiutancką płytę Michaiła Gorbaczowa

Gorbaczow **śpiewa smętne ballady**. *Aż strach się nie wzruszyć*

SAME ŁZAWE BALLADY. Podobno, bo potwierdzić to mógłby tylko anonimowy nabywca, który na aukcji charytatywnej w Londynie kupił jedyny egzemplarz albumu „Songs for Raisa", wokalnego debiutu Michaiła Gorbaczowa. – Płyta zawiera siedem romantycznych piosenek ukochanych przez Raisę – mówił Gorbaczow, który zadedykował krążek zmarłej 10 lat temu żonie. Tuż przed licytacją były prezydent ZSRR promował album, wykonując na żywo tradycyjną rosyjską pieśń „Stare listy". Jak informował dziennik „Prawda", obecna na aukcji aktorka Vanessa Redgrave, autorka „Harry'ego Pottera" J.K. Rowling oraz żona premiera Gordona Browna nagrodziły go „burzą braw". A my liczymy, że tajemniczy filantrop okaże się także altruistą i dopuści do internetowego „wycieku" płyty. – *mh*

PLANETARIUM

Pieniądze nie śmierdzą

Asy reżyserii biorą się do robienia reklam, ale tym razem udają, że tworzą wielką sztukę

OCZYWIŚCIE MARIAŻ SZTUKI Z BIZNESEM TO NIC NOWEGO, A SWÓJ TALENT SPRZEDALI nawet Ingmar Bergman (reklama mydła) oraz Federico Fellini (makaron, bank). Wielu reżyserów zaczynało karierę od kręcenia filmów reklamowych albo w ten sposób dorabiało w czasach kryzysu, co dziś byłoby przecież na miejscu. W przypadku klipu z perfumami Chanel No. 5 chodzi o coś innego. Filmik, w którym Jean-Pierre Jeunet reżyseruje Audrey Tautou, sam jest promowany jako... nowe dzieło twórców „Amelii"! Reklama żeruje na sukcesie filmowców, a w zamian zwalnia ich z poczucia obciachu, że kręcą reklamy. Wam też coś tu śmierdzi? □

Jean-Pierre Jeunet – wylansował Audrey Tautou dzięki „Amelii". Teraz lansuje pachnidło

Baz Luhrmann – zrealizował reklamówkę Chanel No. 5 z Nicole Kidman, nawiązując do ich współpracy przy „Moulin Rouge"

Ridley Scott – w 1984 roku zrobił wybitną reklamę Macintosha. W 2008 internauci przerobili ją i wrzucili na YouTube jako antyreklamę Hillary Clinton

Federico Fellini – nakręcił dwa filmiki w konwencji koszmaru sennego i zapewnił widzów, że jeśli skorzystają z usług pewnego banku, będą spać spokojnie

NIECH ŻYJE KRÓL!

Życie z radiem w tle

O planach i gustach mówi Mateusz Kirstein, nowy szef Radia Zet*

Czy Radio Zet zmieni się pod pana kierownictwem?
– Radio Zet będzie się oczywiście zmieniać, ale stopniowo. Tak silna marka nie potrzebuje rewolucji, ale ewolucji. Dziś nie chcę jeszcze opowiadać szczegółowo o naszych planach. Chciałbym na pewno, aby Radio Zet było w najbliższej przyszłości medium bardziej interaktywnym i bliższym słuchaczowi.

Po czym poznamy, że to już Radio Zet Mateusza Kirsteina, a nie Roberta Kozyry?
– Radio Zet nie ma być radiem Kirsteina ani Kozyry. Nie jestem tu najważniejszy. Na pierwszym miejscu są nasi słuchacze, marka i ludzie, którzy je tworzą.

Jakiej muzyki słucha pan po pracy?
– Na przykład ostatnio na okrągło słucham Johna Mayera i formacji Antony and The Johnsons. Bardzo lubię ostatnią płytę Kings Of Leon z absolutnie genialnym „Sex On Fire". Z wielką przyjemnością słuchałem niedawno dwupłytowego albumu T.LOVE, wspominając wakacje w Dębkach sprzed lat. Moim niedawnym odkryciem jest Citizen Cope, ale lubię też wracać do Sade. Mam emerycką słabość do Vana Morrisona, wzrusza mnie muzyka filmowa, a w melancholię wpędzają mnie ballady z lat 80. i evergreeny Bajmu. Kiedy miałem naście lat, chciałem być na zmianę Stingiem i Claptonem. Lubię Jaya-Z i Pharrella – chętnie poszedłbym z nimi na imprezę. A potem dla odmiany posłuchał „Beyond The Missori Sky" Pata Metheny'ego i Charliego Hadena albo Magdy Umer.

Pierwszy radioodbiornik?
– Nie pamiętam, ale moje pierwsze radiowe wspomnienie to długie, rytualne śniadania w towarzystwie mojego dziadka i grającego w tle radia. Miałem 5, 6, może 7 lat. Obaj nie myśleliśmy wtedy, że radio ukształtuje całe moje życie.

– *not. sol*

Mateusz Kirstein, nowy dyrektor programowy i redaktor naczelny Radia Zet. W radiu pracuje od 11 lat, wcześniej w Radiostacji i w Chilli Zet, gdzie jest i pozostanie na stanowisku dyrektora programowego. Rocznik 1980

FOT. AP (5), MAREK WĘGRZYN/KAPIF

W tym tygodniu:
UBOLEWAMY: 1. ŻE FIRMY FARMACEUTYCZNE NIE WIDZĄ RÓŻNICY MIĘDZY DZIECKIEM A DOROSŁYM, 2. NAD PRAWIE BIOGRAFIĄ PALEONTOLOGA, 3. ŻE NIE WARTO PRODUKOWAĆ ZŁOTA

Eksperymenty na dzieciach

ILUSTRACJA JOANNA ŁAWNICZAK/ILLUSTRATEYOURSELF.COM

FARMAKOLOGIA WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Liczby wyglądają zatrważająco. Według szacunków „Nature Medicine" od 50 do 90 procent leków dla dzieci nie zostało prawidłowo przetestowanych! Z kolei Fergal Donnelly z Komisji Europejskiej mówi „Przekrojowi", że 46 procent substancji przepisywanych najmłodszym w szpitalach albo zostaje użyte nie w tej grupie wiekowej, dla której jest przeznaczone, lub też podawane jest niezgodnie z zaleceniami. A wśród dzieci pod intensywną opieką procent leków pediatrycznych używanych wbrew licencji wzrasta aż do 90 procent!

I nie jest to bynajmniej wina lekarzy. Oni robią, co mogą. Problem w tym, że większość specyfików jest przygotowana tak, by mogli stosować je wyłącznie dorośli. Tymczasem ich działania nie da się wprost przełożyć na dzieci. Lekarze dziecięcy wszystkich specjalności zgodnie podkreślają: dziecko to nie jest mały dorosły, jego organizm różni się od naszego nie tylko wielkością – on nieco inaczej funkcjonuje.

> Większość leków, które podaje się dzieciom, nie jest dla nich przystosowana. Niektóre sprzedaje się w nieodpowiedniej postaci, inne w niewłaściwych dawkach, a liczne kompletnie pozbawione są informacji o działaniu u najmłodszych

Psucie zębów i hamowanie wzrostu

„Leki na epilepsję, nadciśnienie i migrenę są najbardziej skrajnymi przykładami na to, jak odmiennie działają środki na dorosłych i na dzieci. I tak naprawdę nie rozumiemy dlaczego" – mówi Agnes Saint Raymond z Europejskiej Agencji do spraw Leków (EMEA) w rozmowie z „Nature Medicine". Podaje też przykład steroidów, które hamują wzrost u dzieci. Gdy testowano je na dorosłych, w żaden sposób nie wykryto tego działania. Podobnie stało się z antybiotykiem tetracykliną. U osób dojrzałych nie zauważono, by wpływał na uzębienie. Nic dziwnego. Jego negatywne działanie ujawnia się dopiero u dzieci poniżej ósmego roku życia. U tych, które zażywały tetracyklinę, zęby stale rozwijały się nieprawidłowo, miały defekty i przebarwienia. Chloramfenikol, środek przeciwbakteryjny, jest wyjątkowo toksyczny dla niemowląt. Nie potrafią bowiem go wydalać. „Niektóre środki na kaszel czy przeziębienie okazały się niebezpieczne i nieefektywne u małych dzieci – twierdzi Saint Raymond. – Kilka doprowadziło nawet do śmierci".

Profesor Gilles Vassal, francuski onkolog dziecięcy, podczas wykładu w Chicago opowiadał swego czasu o problemach, na jakie natyka się w swojej pracy. Jego zdaniem 27 leków przeciwrakowych nie ma formuły, którą da się zastosować u dzieci. Jako przykład podał cyklofosfamid. Dostępny jest on tylko w tabletkach 25 oraz 50 miligramów. Nie ma ani mniejszych pigułek, ani postaci płynnej leku. Tymczasem dla dzieci taka dawka to stanowczo za dużo. A najmniejsze w ogóle nie potrafią połknąć tabletek. Onkolodzy często jednak decydowali się podawać im cyklofosfamid. Czasem po prostu nie mieli wyjścia, jeśli chcieli uratować dziecko. Najczęściej lekarze kruszyli tabletki i mieszali proszek z jedzeniem. Trudno jednak wówczas wyliczyć, czy dawka jest właściwa. Poza tym pokruszone pigułki wchłaniają się szybciej w układzie pokarmowym, co może zmienić działanie leku lub naruszyć jego bezpieczeństwo.

Wszystkie te problemy wynikają z tego, że większości leków nigdy nie testowano na dzieciach. Doktor Michael Shannon z dziecięcego szpitala w Bostonie twierdzi, że firmy farmaceutyczne nie przywiązują do tego wagi. Sprzedaż leków dla dzieci przynosi bowiem ledwie 10 procent ich dochodów. Profesor Vassal przyznaje zaś, że nowotwory u dzieci stanowią tylko jeden procent wszystkich przypadków. Generalnie więc firmom farmaceutycznym nie opłaca się inwestować w kosztowne próby kliniczne, skoro potem mają tak małą sprzedaż.

Inni lekarze podkreślają, że być może jeszcze ważniejsza jest druga przyczyna – strach przed eksperymentami. Agnes Saint Raymond dowodzi, że przez długie lata dominował pogląd o konieczności ochrony dzieci przed badaniami klinicznymi. Uważano, że poddawanie najmłodszych jakimś eksperymentom z nieznanymi lekami jest nieetyczne. Rodzice na propozycje poddania ich potomstwa badaniom →

ROZMOWA

Badania kliniczne szansą dla dziecka

Rozmowa z profesorem Sergiuszem Jóźwiakiem, neurologiem dziecięcym, krajowym konsultantem do spraw neurologii dziecięcej; kierownikiem Kliniki Neurologii w Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie

Czy ma pan kłopoty z podawaniem leków dzieciom?
– Zdarza się. Większość leków, które wchodzą na rynek, ma bowiem opracowaną tylko formułę dla dorosłych. Dopiero potem powoli obniża się granicę wieku, do której można je zastosować.
Czy to oznacza, że lekarze nie próbują stosować ich u dzieci, zanim jeszcze zostanie to oficjalnie zezwolone?
– Gdy widzimy, że lek jest skuteczny, stosujemy go u dzieci młodszych, niż jest opisane w regulacjach. Do tego formalnie wymagana jest zgoda komisji etycznej. Często nie mamy jednak innego wyjścia.
Jak w takich wypadkach radzi pan sobie z dawkowaniem?
– Tu pojawiają się problemy. Dziecko nie połknie dużej tabletki. Ponadto dzieci mają szybszy metabolizm niż dorośli. Nie da się więc wprost przeliczyć dawki leku dla dorosłych na dawkę dla dzieci, nie można po prostu jej pomniejszyć.
Centrum Zdrowia Dziecka ma koordynować sieć badań klinicznych u dzieci w Polsce. Jak przekona pan rodziców do wyrażenia zgody na udział ich pociech w takich badaniach?
– Będą mieli pełną wiedzę o dobrodziejstwach i zagrożeniach leku. W każdej chwili będą mogli się wycofać z badań. Informację uzyska również dziecko. To, które skończyło 12 lat, a czasem i młodsze, będzie mogło nie zgodzić się na udział w badaniach. Ale presję na chore dziecko i jego rodziców często wywiera samo życie. Bywa, że nie możemy już nic nowego zaoferować. Udział w badaniach klinicznych staje się więc szansą na wyzdrowienie.

Notował miko

→ zazwyczaj reagują sakramentalnym: „Jasne, rozumiem konieczność przeprowadzenia prób klinicznych, ale proszę, weźcie inne dziecko". Wielu odmawia, bo ma poczucie, że ich dziecko stanie się królikiem doświadczalnym. Efekt zaś jest taki, że wszystkie dzieci, którym podaje się ów lek, biorą udział w wielkim eksperymencie, i to kompletnie pozbawionym kontroli. Zdarzyć się może więc wszystko.

Mikrogranulki, syropy i testy

Lekarze, których ta sytuacja irytowała, kilka lat temu postanowili to zmienić. Profesor Vassal dąży do tego, by każdy lek, którego patent przestał obowiązywać, przygotować w postaci płynnej. Dodatkowo chce, by niwelować jego nieprzyjemny, gorzki smak, tak by łatwiej przekonać dziecko do spożycia leku. Jego zdaniem celem producentów powinno być też rozwijanie chemioterapii dla niemowląt. Agnes Saint Raymond zaś proponuje, by lekarstwa, które trzeba zażywać w postaci stałej, produkować w formie mikrogranulek. Taki specyfik w przeciwieństwie do tabletek dzieci połkną bez trudu.

W 2007 roku w Unii Europejskiej weszła w życie Regulacja o Lekach Pediatrycznych. Wymaga ona, by każdy nowy specyfik dla dorosłych był jednocześnie badany pod kątem przydatności dla dzieci. Powstał też program, który finansuje badania kliniczne na dzieciach. Już zgłoszono w nim propozycje testowania pierwszych leków. – Na razie wybrano pięć projektów do finansowania – mówi Fergal Donnelly z Komisji Europejskiej. Wśród nich jest choćby przygotowanie doustnej płynnej postaci wspominanego już cyklofosfamidu czy sprawdzenie opioidowych leków przeciwbólowych u wcześniaków. – Trzy dodatkowe projekty są w trakcie oceny – dodaje Donnelly. Martwi ją, że bardzo mało propozycji padło z krajów, które od niedawna należą do Unii Europejskiej.

Firmom nie opłaca się inwestować w odrębne próby leków dla dzieci. Ich sprzedaż przynosi im ledwie 10 procent dochodów

Na szczęście i tu pojawiły się pierwsze oznaki zmiany. Właśnie ogłoszono, że w Polsce ma powstać sieć klinik, które będą testować leki dla dzieci. Koordynacją badań być może będzie kierować Centrum Zdrowia Dziecka. Na razie to dopiero projekt. Miejmy nadzieję, że nie utonie w polskim bałaganie. □

W czwartek 2 lipca po godzinie 16.45 o lekarstwach dla dzieci słuchaj w audycji „Popołudnie Radia TOK FM". Zaprasza Cezary Łasiczka

ILUSTRACJA JOANNA ŁAWNICZAK/ILLUSTRATEYOURSELF.COM; FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

ROZMOWA WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Uśmierzyć dziecięcy ból

Rozmowa z doktorem Arturem Januszańcem, anestezjologiem dziecięcym, prezesem fundacji Warszawskie Hospicjum dla Dzieci

Czy ma pan kłopoty z podawaniem leków dzieciom?

– W mojej pracy najczęściej podaję leki przeciwbólowe. Dziecko jest szczególnie bezbronnym pacjentem, gdyż w kontekście podawania leków całkowicie uzależnione jest od dorosłego opiekuna. Ból jest subiektywnym odczuciem inaczej odczuwalnym przez każdego człowieka. W przypadku dziecka tę subiektywną ocenę mocno zawężamy, gdyż dorosły musi dokonać interpretacji bólu dziecka. Z morfiną nie ma problemu, bo dysponujemy wieloma formami leku. Dawkę i tak zawsze trzeba ustalać indywidualnie – i u dzieci, i u dorosłych. Ponieważ nie ma górnego pułapu wielkości dawki, dzieciom podajemy na początek małą ilość leku, a potem stopniowo ją zwiększamy, sprawdzając efekty. Oddzielnym problemem jest przedział wieku od 0 do 6 miesięcy, kiedy miareczkowanie leku jest jeszcze dokładniejsze. Zwykle po pewnym czasie ustala się właściwy poziom przeciwbólowy i wówczas można zmienić formę podawania leku na przewlekłą. Należy ubolewać, że w Polsce istnieje nieuzasadniony strach przed morfiną i w związku z tym ten znakomity lek jest zbyt późno wdrażany do terapii dzieci.

Czy dzieci potrafią same powiedzieć, kiedy je boli mniej, a kiedy bardziej?

– Duże tak. Małe często nie powiedzą, że je boli. Dzieci poniżej szóstego roku życia mają problemy z określeniem natężenia, rodzaju, umiejscowienia czy czasu trwania bólu. Dzieci inaczej odczuwają ból ostry, a inaczej przewlekły. Ten drugi można rozpoznać często dopiero po specyficznym zachowaniu dziecka. Dodatkowym problemem jest brak kontaktu werbalnego u dzieci niepełnosprawnych. Czasem stosujemy wzrokową skalę bólu. 0 oznacza brak bólu, a 10 – największy, jakiego dziecko kiedykolwiek doświadczyło. Dziecko samo na linijce pokazuje obecnie odczuwane natężenie.

A gdy nie można podać morfiny?

– Tu zaczynają się schody. Tak jest w przypadku bólu neuropatycznego, nieodpowiadającego na morfinę. Dysponujemy wówczas lekiem Metadon, który najlepiej podać dożylnie. Niestety, w Polsce zarejestrowana jest forma doustna i w tej formie następuje wysycanie dziecka lekiem. Jednak takie postępowanie wymaga współpracy dziecka, nie mówiąc już o wszystkich problemach związanych z doustnym podawaniem leków. Kłopot mamy też czasem z paracetamolem. Sprzedaje się go albo w postaci syropów, albo tabletek. Tylko że niektórym dzieciom, na przykład na diecie ketogennej (mocno ograniczona podaż węglowodanów), nie mogę podawać słodkich syropów. Dzielenie tabletek nie jest dobrym rozwiązaniem, gdyż dziecko wymaga ściśle określonej dawki w przeliczeniu na kilogram masy ciała. Zbyt mała ilość paracetamolu nie działa, zbyt duża może uszkodzić wątrobę. Poza tym lek przeciwbólowy powinien być podawany tak, aby wyprzedzić ból, a nie w momencie jego wystąpienia. W przypadku paracetamolu występuje efekt pułapowy, gdy eskalacja dawki leku nie przynosi lepszego efektu przeciwbólowego, a może być groźna dla zdrowia.

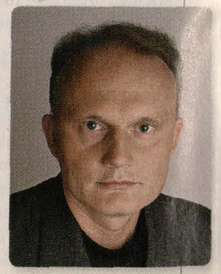

Doktor Artur Januszaniec *żałuje, że w Polsce istnieje nieuzasadniony lęk przed morfiną. A może ona znakomicie ograniczyć cierpienia chorych dzieci*

Zdarza się, że musi pan stanąć przed poważnym dylematem: podać lek dziecku, nie wiedząc, jak zadziała?

– Mamy małych pacjentów, którzy cierpią na infekcje bakterii opornych na większość antybiotyków. Wiemy, że zarazek reaguje na jeden lek, który jest dopuszczony dla osób od na przykład 18. roku życia. Czy podać dziecku ten lek, nie wiedząc, jak zareaguje? A jeśli tak, to jak podzielić tabletkę? Jej pokruszenie zniszczy osłonkę, lek będzie szybciej się wchłaniać, co zmieni czas jego działania. Nie potrafimy przewidzieć, która decyzja będzie lepsza. Ale brak decyzji jest najgorszą decyzją. □

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Jakiego pięknego gościa mieliśmy, czyli skąd się wzięła polska paleontologia

OD RAZU PRZYZNAM: TO NIE JEST książka moich marzeń. W pierwszej chwili miałem nadzieję, że biorę do ręki biografię wybitnego polskiego paleontologa, profesora Romana Kozłowskiego pióra jego syna Witolda. W rzeczywistości były to jednak wspomnienia o nim. Tekst miejscami więcej mówi o autorze niż o uczonym, we wspomnieniach bywają luki, przeszkadza też brak dokładniejszych informacji o dokonaniach naukowych bohatera.

Lecz w sumie dobre i to. Odnoszę wrażenie, że choć nasze księgarnie zalewa mrowie książek, to akurat biografii polskich naukowców niewiele się tam znajdzie. A mieliśmy przecie paru tuzów, którzy i wspięli się na wyżyny światowej nauki, i życie wiedli ciekawe. Doprawdy, zasłużyli – i oni, i czytelnicy – na porządne książki.

Witold Kozłowski „Nie stracą lotu gołębie ani kwiaty barw", *Instytut Paleobiologii PAN, Warszawa 2008, cena 15 zł*

Z pewnością do tych naukowych asów należy Roman Kozłowski. Urodził się na Kujawach, ale w 1907 roku, zaraz po skończeniu szkoły, uciekł za granicę. Na krótko trafił do Szwajcarii, stamtąd zaś do Paryża, gdzie ukończył studia przyrodnicze. Potem przez parę lat pracował aż w Boliwii. W mieście Oruro pod jego kierunkiem utworzono Wyższą Szkołę Inżynieryjną. W 1923 roku Kozłowski na stałe wrócił do Polski. Zajął się tu skamieniałościami bezkręgowców. Sławę przyniosło mu badanie jednej z najbardziej tajemniczych grup zwierząt – wymarłych graptolitów. W skałach liczących od 350 do 500 milionów lat aż roi się od nich. Część z nich grzecznie siedziała na dnie mórz, większość jednak unosiła się w oceanicznej toni w skupiskach tak licznych jak dzisiejsze ławice kryla. Paleontolodzy długo nie mogli zgadnąć, co to w ogóle były za stworzenia. Zagadkę ich życia rozwiązał dopiero profesor Kozłowski. Udało mu się nie tylko zrozumieć, jak rosły, jak żyły, ale też powiązać je z wyjątkowo rzadkimi dziś stworzeniami z grupy „półstrunowców pióroskrzelnych" (w największym uproszczeniu to kolonijne „robale", które tkwią na dnie morza w zbudowanych przez siebie rurkach, a na zewnątrz wystawiają czułki do chwytania pokarmu).

A to ledwo połowa jego zasług. Ich pełnię docenić można dopiero, gdy pozna się też jego życiorys po II wojnie światowej. Wśród gruzów Warszawy udało mu się odbudować polską paleontologię. Założył Zakład Paleontologii i na Uniwersytecie Warszawskim, i w Polskiej Akademii Nauk. Dbał o uczniów. Potrafił tak zręcznie nimi kierować, że wyrośli na godnych jego następców. Jak choćby profesor Adam Urbanek, wybitny polski ewolucjonista, czy profesor Zofia Kielan-Jaworowska, badaczka skamieniałości najstarszych ssaków i organizatorka wypraw „po dinozaury" na pustynię Gobi.

Warto, by jego życiorys świecił nie tylko wąskiej grupie wyznawców. Howgh! □

FOT. BOGDAN SZCZEPAŃSKI, MAREK KREŻEL

REKLAMA

Już w sprzedaży

PRZEWODNIK KONCERTOWY

A w nim:
- kalendarium wakacyjnych imprez muzycznych
- obszerne opisy koncertów
- wywiady z artystami
- historia letnich festiwali
- poradnik praktyczny: jak przeżyć festiwal
- przydatne telefony, adresy www

Wydania specjalego „Lato muzycznych festiwali" szukaj w najlepszych punktach sprzedaży na terenie całej Polski

przekroj.pl

FIZYKA IRENA CIEŚLIŃSKA

10 rzeczy, których nie wiesz o... tablicy Mendelejewa

Właśnie oficjalnie uznano istnienie kolejnego pierwiastka. Ile może ich jeszcze przybyć? Do czego potrzebujemy takich jak kaliforn czy kir? I kto im wymyśla te dziwne nazwy?

1. Ile pierwiastków chemicznych liczy tablica Mendelejewa? Międzynarodowa Unia Chemii Czystej i Stosowanej (International Union of Pure and Applied Chemistry – IUPAC) do tej pory potwierdziła istnienie 112 pierwiastków – kolejnych pięć czeka tylko na jej formalną pieczęć. Co prawda w otaczającej nas atmosferze i skorupie ziemskiej znaleziono tylko 83 pierwiastki, ale od lat 40. zeszłego wieku człowiek zaczął powoływać do życia nowe – w laboratorium. Ich lista jest więc wciąż otwarta. Za najcięższym znanym pierwiastkiem numer 118* jest otchłań nieznanego oceanu. Być może znajdują się tam cudowne pierwiastki będące nadzieją inżynierów. Teoretyczne modele tam zawodzą i nie dają żadnych sensownych podpowiedzi. Niektórzy spekulują, że absolutnym kresem tablicy Mendelejewa musi być pierwiastek numer 200. Bo większa liczba protonów w jądrze doprowadziłaby do wychwycenia elektronów na najbliższych orbitach, zapadnięcia się i katastrofy całego atomu.

2. Pierwiastek numer 112 został oficjalnie uznany pod koniec maja tego roku. Jest blisko 277 razy cięższy niż najlżejszy wodór. Wkrótce odkrywcy zaproponują mu nazwę. Pierwszy atom tego pierwiastka po raz pierwszy uzyskano w 1996 roku w niemieckim laboratorium GSI w Darmstadt, strzelając jonami cynku w ołowianą tarczę. W Darmstadt wcześniej narodziły się też pierwiastki od 107 do 111 (czyli bohr, has, meitner, darmsztadt i roentgen). Teraz w kreacji nowych pierwiastków przoduje laboratorium w Dubnej pod Moskwą, gdzie ostatnio powstały jeszcze oficjalnie niepotwierdzone i nienazwane pierwiastki numer 113, 114, 115, 116, 118. Rosjanom i Niemcom po piętach depczą Japończycy z laboratorium RIKEN.

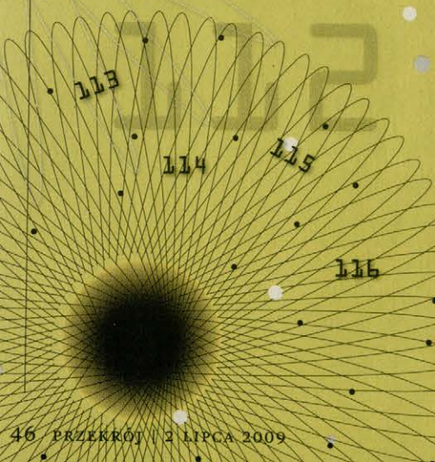

* Dotychczas **nie udało się odkryć ani stworzyć pierwiastka o liczbie atomowej 117**. To dlatego, choć znany jest pierwiastek 118, w sumie jest ich 117

75%H25%He

3. Prawie cała materia obecna dziś we Wszechświecie to tylko dwa najlżejsze pierwiastki chemiczne – wodór (mniej niż 75 procent) i hel (niecałe 25 procent). Wszystkie pozostałe pierwiastki stanowią poniżej 1 procentu masy Wszechświata. Ale to dzięki nim istnieje Ziemia i życie. Hel został odkryty najpierw na Słońcu – podczas obserwacji całkowitego zaćmienia w 1868 roku. W słonecznym widmie dostrzeżono prążek, który nie pasował do promieniowania żadnego pierwiastka znanego na Ziemi.

4. W 1941 roku naukowcy z Uniwersytetu Harvarda w USA spełnili marzenie alchemików o przemianie w złoto innego pierwiastka. Kiedy skierowali na próbkę rtęci wiązkę szybkich neutronów, powstało szczere złoto! Przez kręgi finansowe przeszedł pomruk paniki. Na szczęście (dla bankowców) i na nieszczęście (dla poszukiwaczy złota) naukowcy otrzymali mieszaninę trzech nietrwałych izotopów złota. Po kilku dniach wszystkie izotopy rozpadły się, emitując cząstki beta i wracając do postaci rtęci. Trwałe złoto udało się uzyskać dopiero sześć lat później, kiedy do syntezy użyto innego izotopu rtęci. Gdy w dwa lata od eksperymentu sprawa przedostała się do prasy, ceny złota na krótko spadły, ale naukowcy zapewnili wszystkich, że złoto produkowane w sposób sztuczny byłoby... znacznie droższe od naturalnego! Rynek ochłonął.

104=RF

5. W czasach zimnej wojny łatwiej było stworzyć nowy pierwiastek, niż go nazwać. Trwały niekończące się spory o pierwszeństwo odkrycia. Ostatnim pierwiastkiem, który nie budził kontrowersji i otrzymał oficjalną nazwę, był lorens (numer 103) odkryty jeszcze na początku lat 60. Potem w tablicach zapanował galimatias, a nowe pierwiastki tymczasowo opatrywano kolejnymi numerami. Międzynarodowa Unia Chemii Czystej i Stosowanej przez lata wstrzymywała się z uznaniem nazw, które niezależnie proponowali odkrywcy z USA, ZSRR i Niemiec. Ponad 10 lat temu wreszcie doszło do ugody i salomonowego rozstrzygnięcia: pierwiastek numer 104 ochrzczono rutherfordem (choć Rosjanie upierali się przy kurczatowie, od wybitnego rosyjskiego fizyka Igora Kurczatowa), ale numer 105 nazywa się dubna na pamiątkę rosyjskiego ośrodka badań jądrowych pod Moskwą, choć Amerykanie chcieli, by nazywał się hahn na cześć niemieckiego fizyka Otto Hahna. Z kolei numer 106 jest teraz seaborgiem (od amerykańskiego fizyka Glenna Seaborga).

Au

6. Sztuczne pierwiastki cięższe od neptunu (numer 93) i plutonu (numer 94) żyją coraz krócej: berkel (numer 97) – wciąż 1400 lat, ale już nobel (numer 102) – 58 minut, a meitner (numer 108) – tylko 70 milisekund. A pierwszy atom pierwiastka 112 rozpadł się w czasie krótszym niż mgnienie oka – w 280 mikrosekund. To mogło sugerować, że jeszcze cięższe pierwiastki będą jeszcze mniej trwałe. Tymczasem niedawno otrzymany przez fizyków z Dubnej pierwiastek 114 (jeszcze niepotwierdzony) rozpadł się dopiero po 30 sekundach, a więc żył nadspodziewanie długo jak na tak odległe rejony tablicy Mendelejewa. To oznacza, że w pobliżu pierwiastka 114 w morzu niestabilności znajduje się mielizna, a być może nawet wyspa, złożona z izotopów żyjących całe lata. Teoretycy spekulują, że izotop pierwiastka 114, który miałby w jądrze 184 neutrony, mógłby żyć nawet miliony lat. Niektórzy wierzą, że będzie miał niezwykłe właściwości, doprowadzi do powstania cudownych materiałów, być może nowego paliwa. Inni widzą w nim tworzywo potencjalnej nowej i potężnej broni masowego rażenia. Niestety, na razie fizycy nie znają sposobu syntezy tego izotopu.

30s

7. Do czego służą sztuczne pierwiastki? Zaledwie kilka miligramów soli kiuru (numer 96) potrafi wprawić we wrzenie litr wody. Jądra kiuru wystrzeliwują z siebie cząstki alfa (zlepek dwóch protonów i dwóch neutronów), które przy przechodzeniu przez materię szybko wyhamowują i przekazują jej swoją energię. Tabletki, które zawierają kilka gramów tlenku kiuru, same z siebie rozżarzają się do temperatury ponad 1200 stopni Celsjusza. Kiuru używa się między innymi jako źródła energii dla sond kosmicznych, świecących boi morskich, automatycznych stacji meteorologicznych, a także do ogrzewania skafandrów nurków i kosmonautów.

Z kolei kaliforn (numer 98) jest używany w medycynie do napromieniowania złośliwych guzów nowotworowych. Jest on silnym źródłem neutronów (jeden gram emituje tyle neutronów, ile średniej mocy reaktor jądrowy). Stosuje się go też do prześwietlania części samolotów i reaktorów w celu wykrycia ich usterek, także do szukania przemycanych narkotyków. Takim punktowym silnym strumieniem neutronów można też analizować skład substancji i materiałów, wykrywając w nich nawet śladowe ilości pierwiastków.

Po

8. Pierwiastki promieniotwórcze nie są spotykane wyłącznie za murami laboratoriów kosmicznych i medycznych. Na pchlich targach oraz w galeriach wciąż można kupić naczynia pokryte jaskrawoczerwoną glazurą (z wzoru Fiesta) wykonane w latach 30. i 40. zeszłego wieku. Zawierają tlenek uranu i promieniują. Jeśli się z nich nie je, nie trzyma na nich pożywienia, to nie są szkodliwe. Tlenku toru zaś używano do ulepszania soczewek w starych aparatach fotograficznych. Aż do lat 60. farbą z dodatkiem soli radu malowano wskazówki zegarów, żeby się świeciły w ciemnościach. Poszkodowani bywali pracownicy fabryk, którzy nakładali farbę, bo zdarzało się, że brali czubek pędzelka w usta i łykali rad. Dziś wskazówki pokrywa się dużo bezpieczniejszym trytem lub prometem (ich promieniowanie jest niezwykle słabe). Trytu dodaje się też do znaków awaryjnych, które jarzą się w ciemnościach (są zbudowane ze szklanych rurek z fosforem, który świeci pod wpływem promieniowania). Inny promieniotwórczy pierwiastek ameryk jest powszechnie stosowany w czujkach przeciwpożarowych.

α

9. W lipcu 1898 roku Maria Skłodowska-Curie i jej mąż Piotr wyodrębnili z rud uranu osad zawierający nowy promieniotwórczy pierwiastek. Nadali mu nazwę polon (Po). Ten „polski" pierwiastek kilka lat temu zyskał złą sławę – to nim śmiertelnie otruto byłego oficera Federalnej Służby Bezpieczeństwa Aleksandra Litwinienkę.

Polon inicjował reakcję łańcuchową w pierwszej bombie atomowej (w połączeniu z berylem jest dobrym źródłem neutronów). Był i jest wykorzystywany komercyjnie. W latach 50. jedna z firm dodawała go do świec zapłonowych (miał ułatwiać przeskok iskry). Używano go do zasilania pierwszych satelitów, a w latach 70. ogrzewał radzieckie łunochody podczas zimnych księżycowych nocy (gram polonu emituje tyle energii, że rozgrzewa się do 500 stopni Celsjusza!). Dziś znajdziemy go na przykład w amerykańskich sklepach fotograficznych – zawierają go szczotki (zwane antystatycznymi) używane do usuwania kurzu z klisz lub obiektywów. Jego promieniowanie jonizuje cząsteczki powietrza, które potem neutralizują statyczne ładunki elektryczne na czyszczonych powierzchniach. Kurz przestaje się do nich kleić i łatwiej go usunąć. To promieniowanie nie szkodzi, dopóki nie dostanie się do organizmu, na przykład z jedzeniem lub oddechem. Takie też ostrzeżenie widnieje na tych szczotkach (wraz ze standardowym „trzymać z dala od dzieci").

200 000

10. Kreacja sztucznych pierwiastków to bardzo kosztowne zajęcie. Rosjanie z Dubnej niedawno skarżyli się, że gram izotopu wapnia, którym w 2002 roku strzelali w tarczę z kalifornu, żeby otrzymać tylko jeden atom najcięższego ze znanych pierwiastków numer 118, kosztował ich aż 200 tysięcy dolarów. A gram kalifornu (numer 98 w tablicy Mendelejewa) w zeszłym roku kosztował 60 milionów dolarów. Izotop plutonu stosowany w bombie jądrowej jest znacznie tańszy – kosztuje ledwie 4 tysiące dolarów za gram. □

Wciągnęło cię? Zajrzyj na cywilizacja.przekroj.pl, *gdzie gratisowo przeczytasz jeszcze o czterech nieznanych faktach z życia pierwiastków*

WAKACJE z Przekrojem

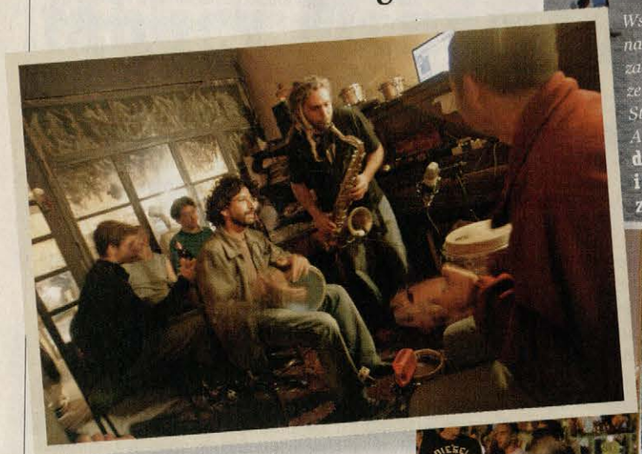

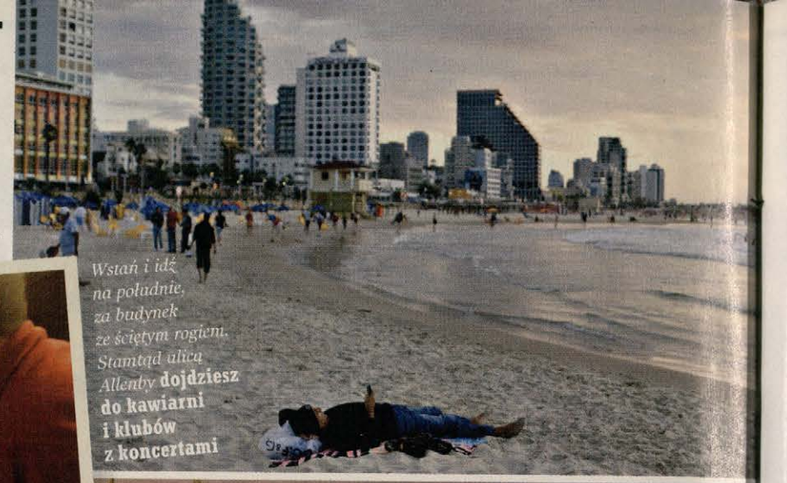

Wstań i idź na południe, za budynek ze ściętym rogiem. Stamtąd ulicą Allenby **dojdziesz do kawiarni i klubów z koncertami**

W stolicy Izraela *możesz fikać i podskakiwać, ile zechcesz. Mieszkańcy pochodzą z tylu miejsc na świecie, że nauczyli się niczemu nie dziwić*

TEL AWIW PAWEŁ WIECZOREK

Ziemia nieświęta

TEL AWIW JEST TAK RÓŻNY OD RESZTY IZRAELA, ŻE PORÓWNYWANY BYWA DO SZKLANEJ BAŃKI. NIE MA LEPSZEJ ZABAWY, NIŻ GŁĘBOKO SIĘ W TĘ BAŃKĘ ZANURZYĆ

Od początku musisz wiedzieć jedno – Tel Awiw to nie Ziemia Święta. Równo sto lat temu nie było tu nic oprócz piachu. Miasto zbudowali emigranci z Europy, przeważnie niereligijni, dlatego bardzo europejski Tel Awiw jest przeciwieństwem bliskowschodniej Jerozolimy, malowniczej, ale nieco prowincjonalnej.

Tel Awiw rósł z południa (od strony starego portu **Jafa**) na północ. I teraz będę krzywdzić, bo przecież uogólnienia są krzywdzące: mieszkaniec nowszych, północnych dzielnic jest spiętym materialistą, pracownikiem korporacji, prawnikiem i tak dalej. Południowiec to pracujący luzak, student lub powłóczący dredami obieżyświat, który właśnie wrócił z Indii (Izraelczycy obu płci zwykle po służbie wojskowej jadą w podróż na Wschód). To uogólnienie pokrywa się ze stylem i natężeniem rozrywek, jakie znajdziesz w obu częściach miasta.

Stary Port z 1936 roku na północy miasta zamieniono kilka lat temu w centrum kulturalno-wypoczynkowe. Za dnia i wczesnym wieczorem jest celem rodzinnych spacerów. Do portu trafisz, idąc nad morze z centralnej stacji kolejowej (pociągiem przyjedziesz z lotniska) ulicą Arlozorov. Na plaży skręć w prawo. Dotrzesz do drewnianego pomostu pofalowanego miejscami niczym wydmy. Wzdłuż pomostu – rzędy restauracji z widokiem na morze.

Tam z izraelskich piw sięgnij po popularniejszy ciemniejszy goldstar lub jaśniejsze maccabee. Kilka lat temu Izraelczycy nie pili alkoholi mocniejszych niż piwo, zresztą dotąd w lokalach umawiają się, by pogadać, **nie na popijawę**. Jednak pod wpływem nowych obywateli z krajów byłego ZSRR modne stało się – i wciąż ma posmak nowości – przepijanie piwa kieliszkiem mocniejszego trunku (chaser). Jesteś z Polski, więc trunkowe stereotypy stawiają cię blisko Rosjan. Bądź gotów na oczekiwanie, że wódka to twoja przyjaciółka.

Ulica nazwana na mapach **Shalma tak naprawdę po hebrajsku wymawiana jest Salame**. Pułapek nazewniczych wynikających z kreatywnej transliteracji jest w Izraelu sporo

Po godzinie 23 lokale są zamykane, na pomoście pojawiają się imprezowicze z dyskotek urządzonych w byłych portowych magazynach. Bawią się przy rodzimym i importowanym techno. Jeśli cię to nudzi, idź na południe miasta.

Ruszasz plażą, na której wieczorem królują **młodzi podrywacze**. Przybywają spod miasta i liczą na intymną zabawę z przyjezdną dziewczyną. Jeśli nią jesteś, a nie masz ochoty na flirt, idź z chłopakiem, bo w przeciwnym razie nie opędzisz się od wstępnych propozycji masażu lub kupienia ci sukienki.

Mniej więcej w dwóch trzecich długości plaży poszukaj wylotu ulicy **Allenby** i skręć w nią.

Zobaczysz wiele kawiarni, ale omiń je, dalej będzie ciekawiej. Lokale, w których wieczorem znajdziesz sensowny program artystyczny i muzyczny, są dopiero w okolicach południowego krańca Allenby (patrz ramka), a także w rejonie ulicy Florentin (o czym za chwilę) oraz przy ulicy Shalma*. W wyborze interesującego klubowego koncertu pomogą **plakaty** – zwykle mają też napisy po angielsku.

W południowym rejonie Allenby, głównie na ulicy Lilienblum, są też lokale „pick up" (randkowe), w których osoby obu płci samą obecnością informują, że są otwarte na propozycje (co nie znaczy, że są bezkrytyczne). Miejsca te nie są jednak specjalnie oznakowane i turysta bez pomocy miejscowego nie odróżni ich od zwykłych kawiarni. Na zdesperowanych pod opustoszałymi nocą wieżowcami Giełdy Diamentów w dzielnicy Ramat Gan czekają **prostytutki**.

Gdy pójdziesz jeszcze bardziej na południe, dojdziesz do ulicy **Florentin**, której rejon porównywany jest do londyńskiego Soho.

W dzień trudno zauważyć, że na Florentin można robić coś ciekawszego, niż cykanie zdjęć podupadłych sklepików i warsztatów. Tanie domy czynszowe, zbudowane prawie 80 lat temu przez Żydów z Grecji, upatrzyli sobie teraz młodzi ludzie, a także wyburzający je pod apartamentowce deweloperzy. Gdy wieczorem sklepy skryją się za zardzewiałymi żaluzjami, **kawiarnie** pozostają otwarte, ulica zapełnia się luzakami, a z lokali dochodzi izraelski rock lub reggae – bywa, że w wersji nieco archaicznej jak dla polskich uszu (ale w Tel Awiwie każdy słyszy to, co chce słyszeć, bo idzie tam, gdzie grają jego muzykę).

Lokale w mieście wyglądają jak kawiarnie, choć zwykle zaplecze mają obszerne niczym w restauracji i podają posiłki do około drugiej w nocy. Siedząc długo w knajpie w Izraelu, powinieneś bowiem coś zjeść, wszyscy jedzą. I rób to w dobrej kawiarni, czyli oczywiście popularnej wśród miejscowych. Jak odróżnić ich od wycieczki Żydów spoza Izraela? Wsłuchaj się, czy mówią po hebrajsku, i upewnij się, że ubrani są swobodnie, w sprane T-shirty.

Miejscowych do niedawna można też było poznać po kłębach papierosowego dymu, bo po służbie wojskowej palą prawie wszyscy. Ale od roku **prawo ogranicza palenie** w części miejsc publicznych. Jeśli lubisz popalić, zajrzyj do lokali położonych w okolicach ulicy King George i bazaru Karmel. Policja przymyka tam oko nie tylko na palenie tytoniu, ale i **marihuany** lub **haszyszu**. W Izraelu nie ma za to zakazu picia alkoholu na ulicy, ponieważ i tak nikt tego nie robi. Wyglądałbyś dziwnie – jak w Polsce pijąc na chodniku denaturat albo płyn do chłodnic. Własną butelkę opróżniaj więc na **kwaterze** lub **pokątnie**. A gdy kupujesz nocą wodę, piwo lub wódkę, rób to w całodobowych sklepach, bo w kioskach ceny są wyższe.

Jeżeli czegoś jeszcze nie wiesz, to **„nie bądź Polakiem"** (jak mówią w Izraelu o kimś zbyt krygującym się, za grzecznym) i śmiało pytaj przechodniów, zwłaszcza tych, w których oczach dojrzysz wspólnotę imprezową. I ciesz się, że przyjechałeś z Polski, bo już na wstępie wywołasz zainteresowanie – negatywne lub pozytywne, ale emocje gwarantowane. □

SŁUCHAJ I TAŃCZ, CZYLI DOKĄD I KIEDY PÓJŚĆ

W Izraelu wolnym dniem jest sobota, w piątek się pracuje, ale krócej. „Weekendową" zabawę w mieście zaczynamy w czwartek wieczorem. W piątek lokale w Tel Awiwie zapełnią się później, po północy, bo wcześniej je się domową kolację. W tym świeckim mieście nie jest to jednak religijny szabat, lecz zwykły rodzinny posiłek. W sobotni wieczór imprezy powoli wygasają, jak w niedzielę w Polsce.

- **Little Prince** (20 King George Street) – lokal z księgarnią, w tym mikroskopijna sekcja książki polskiej, jest też ogród ze stolikami i hamakami.
- **Joz VeLoz** (51 Yehuda Halevi Street) – dobre jedzenie w swobodnej atmosferze.
- **Levontin 7** (7 Levontin Street) – koncerty, bez wskazania rodzaju muzyki, po prostu ma brzmieć dobrze.
- **Lima Lima** (42 Lilienblum Street) – jak wyżej.
- **Barbie Club** (52 Derech Kibuts Galuyot) – koncerty zespołów izraelskich.
- **Chich Beach** (145 Ha'yarkon Street) – klub gejowski.
- **Evita** (31 Yavne Street) – klub gejowski. Do klubów gejowskich w Tel Awiwie chodzą też hetero, bo jest tam dobra muzyka i nikt nikomu się nie narzuca.
- **Zimmer** (5 Ha'Gdud Ha'Ivri Street) – ten klub to jeden garażowy pokój, w którym trafisz na muzykę awangardową, alternatywną lub performance. □

Informacje praktyczne:

- Wstęp do klubu, jeśli jest płatny, to 60–170 szekli (50–140 złotych). Pół litra piwa w lokalu – 20–30 szekli (16–25 złotych), butelka piwa 0,3 litra – 15 szekli (12 złotych). W sklepie litr wódki kosztuje od 20 szekli (od 16 złotych). Za 100 szekli (82 złote) można już zjeść obiad lub kolację. W najdroższej restauracji w porcie obiad z napiwkiem dla pięciu osób z winem, z owocami morza, z pitą, z humusem kosztował 1600 szekli, czyli 1300 złotych.
- Napiwek trzeba dawać. Zwyczajowo 12 procent, za polskie 10 procent kelnerka się nie obrazi, ale jeśli nic nie zostawisz, może wybiec za tobą, złapać cię za rękę i spytać: „Where is my service?".
- Taksówkę zatrzymuj na ulicy, machając po prostu ręką. Przed odjazdem zapytaj o cenę. Taksówka w obrębie Tel Awiwu nie kosztuje więcej niż 40 szekli (33 złote). Jeśli usłyszysz wyższą kwotę, wysiądź. Za trzaśnięcie drzwiami nie płacisz.

FOT. JUSSI NUKAKI/LEHTIKUVA/EAST NEWS, THOMAS SCHLIJPER/HOLLANDSEE-HOOGTE/EK PICTURES (2), RAFAEL BEN-ARI/ZUMA/FORUM, JOSHUA WANYAMA/DREAMSTEAM

W TYM TYGODNIU Z URLOPU POZDRAWIA **MARCIN SENDECKI**

Mosty Minneapolis

SPOŚRÓD WIELU MOSTÓW, NA KTÓRE MOŻNA RZUCIĆ OKIEM w rozdzielonych Missisipi bliźniaczych miastach Minneapolis i St. Paul, najbardziej niezwykła jest kładka dla pieszych przerzucona w 1988 roku nad autostradą I-94, by połączyć pyszny Ogród Rzeźby Walkera (Abakanowicz, Oldenburg, Bourgeois, grawerowane ławy Jenny Holzer, które znamy sprzed warszawskiego CSW etc.) z Loring Park. Gdzie niezwykłość? Otóż twórca mostu Siah Armajani zamówił u Johna Ashbery'ego (numer 1 amerykańskiej poezji) wiersz, który biegnie przez całą długość budowli. Wiersz, bardzo ładny, lecz za długi, by go cytować, znajdziecie w sieci. Tą jedyną w swoim rodzaju kładką (jej oficjalna nazwa to Irene Hixon Whitney Bridge) świetnie się chodzi (i czyta) wte i wewte. A potem można wybrać się na równie sławny, choć ponury, Washington Avenue Bridge, z którego 7 stycznia 1972 roku rzucił się inny wielki amerykański poeta John Berryman.

– *m*

Redakcja „Przekroju"
ul. Wiejska 19
00-480 Warszawa

W tym tygodniu:
CHIŃSKI ŁOMOT, BURROUGHS Z NOŻEM, GWIAZDY NA OPEN'ERZE ORAZ MALARSTWO FOTOGRAFICZNE

Scenariusz telewizyjnej „Niani" **pisali znani poeci i dramaturdzy**. *Dla pieniędzy (i dla milionów Polaków) przenieśli amerykański hit w rodzime realia*

PRZYSZEDŁ POETA „NA WSPÓLNĄ"

CO ŁĄCZY „SZAJBĘ", SZTUKĘ WYREŻYSEROWANĄ OSTATNIO PRZEZ JANA KLATĘ, Z PRODUKOWANYM PRZEZ TVN SITCOMEM „NIANIA"? MAŁGORZATA SIKORSKA-MISZCZUK – AUTORKA. TAKICH JAK ONA **PISARZY PRACUJĄCYCH W DWÓCH RÓŻNYCH ŚWIATACH JEST DZIŚ WIELU**

SERIALE KAROLINA PASTERNAK

JAŚ KAPELA MA 25 LAT, SKOŃCZYŁ POLONISTYKĘ NA UJ, WYDAŁ DWA TOMIKI POEZJI I POWIEŚĆ. Jest bezrobotny. Od Jasia Kapeli wziął się pomysł na napisanie tego tekstu. Ponieważ, drogi czytelniku, jest spora szansa, że nie trafiłeś na żaden z kilkuset egzemplarzy jego książek, ta postać może ci być całkiem obojętna, co może oznaczać, że zaraz przewrócisz stronę. Zanim jednak porzucisz lekturę, pozwól przedstawić sobie drugą postać, która zainspirowała mój artykuł: oto Kinga Rusin. Kilka tygodni po ukazaniu się powieści Kapeli „Stosunek seksualny nie istnieje" znana prezenterka zaprosiła autora do pisania scenariusza przygotowywanego właśnie przez nią telewizyjnego serialu.

Jaś Kapela *propozycję pisania serialu według pomysłu Kingi Rusin dostał tuż po swoim prozatorskim debiucie*

Kapela przyjął propozycję i zamiast skupić się na nowej powieści, pisze dialogi. – O czym to będzie? – pytam Kapelę. – Tajemnica – odpowiada. Będzie mógł mówić o konkretach, gdy Kinga Rusin oficjalnie zapowie swój serialowy debiut.

Zderzenie dużego nazwiska z małym nazwiskiem, dużych pieniędzy z brakiem pieniędzy, perspektywy dobrze płatnej pracy z brakiem stałej pracy leży u podstaw prawie każdego transferu pisarza czy poety z elitarnej niszy do świata seriali skierowanych do milionów Polaków. Świata obcego twórcom tym bardziej, że w polskich warunkach seriale (z małymi wyjątkami, jak na przykład „Pitbull" Patryka Vegi) nie pozwalają autorowi na żadne artystyczne szaleństwa. Produkuje się je taśmowo, według wytycznych producenta, często kalkując zagraniczne formaty. – Na początku często żartowałem, że praca przy polskim serialu niczym się nie różni od pracy w fabryce samochodów – śmieje się Piotr Jasek, niegdyś poeta, później głównie prozaik, a od sześciu lat jeden z najbardziej wziętych scenarzystów serialowych w kraju („Na Wspólnej", „Egzamin z życia", „BrzydUla"). – Jedni wymyślają kierunek rozwoju poszczególnych postaci, inni opisują wydarzenia w konkretnym odcinku, jeszcze inni piszą dialogi – opisuje serialową fabrykę Jasek. – Nad wszystkim czuwają opiekun literacki i szef scenarzystów składający poszczególne elementy w całość, czyli odcinek serialu.

Stowarzyszenie potrzebujących poetów

Ciężka, wyczerpująca, mobilizująca, dyscyplinująca – takimi epitetami opisują swoją pracę scenarzyści. O twórczym aspekcie swojego zajęcia nie wspominają w ogóle.

– Oczywiście, że robi się to tylko dla pieniędzy – mówi bez ogródek Jakub Żulczyk, autor powieści „Zrób mi jakąś krzywdę, czyli wszystkie gry video są o miłości" i „Radia Armageddon". – Jeśli ktoś twierdzi, że nigdy by się takiej pracy nie podjął, to najpewniej utrzymują go rodzice – dodaje. Żulczyk ma 26 lat, napisał trzy odcinki „BrzydUli", którą oglądał następnie raz w życiu, jakieś pół odcinka. Nie był w stanie stwierdzić, czy to akurat ten, przy którym pracował. – Stacja zawsze wprowadza spore zmiany – tłumaczy.

Osoby z dużo większą liczbą epizodów na koncie i długoletnim serialowym stażem znajdują w scenopisarstwie serialowym nieco więcej plusów niż tylko świetne zarobki (minimum dwa tysiące złotych za odcinek). Choćby towarzystwo, z którym się pracuje. Pisarz czy poeta, dostawszy się do produkcji jakiegoś serialu, bardzo często ściąga do pracy kolegów po fachu. – Najczęściej tych, u których akurat kiepsko z kasą. Czasem piszą jeden, dwa odcinki, niekiedy wciągają się na dłużej – opowiada Piotr Jasek. I tak przy „BrzydUli" spotkali się dzięki niemu (był głównym scenarzystą projektu) poza →

→ Jakubem Żulczykiem Darek Foks (poeta, prozaik, redaktor „Twórczości", laureat Nagrody TVP Kultura) i Łukasz Orbitowski (autor głośnej powieści grozy „Tracę ciepło"). Foks napisał dziewięć odcinków, Orbitowski dwa.

Z kolei do „Niani" ówczesny szef scenarzystów Dariusz Suska (poeta, finalista Nagrody Literackiej „Nike") ściągnął Małgorzatę Sikorską-Miszczuk, wielokrotnie nagradzaną dramatopisarkę. – Wątpliwości, czy powinnam wejść do serialu, zniknęły po pierwszym spotkaniu z Dariuszem. To niezwykle uroczy, inteligentny człowiek – tłumaczy Sikorska-Miszczuk. – Kiedyś próbowałam łączyć pisanie dramatów z etatową pracą w agencji reklamowej, ale długo nie dało się tego ciągnąć. Dorabianie w serialu to dużo lepsza alternatywa – dodaje.

Jak to więc możliwe, że skoro nad polskimi serialami pracują ludzie, którzy w autorskiej twórczości na przykład przełamują tabu Zagłady („Walizka" Sikorskiej-Miszczuk), ukazują miałkość życia po transformacji (dramat „Pokolenie porno" Pawła Jurka, wieloletniego scenarzysty „M jak miłość"), w każdym niemal wierszu mierzą się ze śmiercią (Suska), piszą seriale tak zachowawcze, cukierkowe i schlebiające – z małymi wyjątkami – bardzo niskim gustom?

Przerwa na serial

Nie można bagatelizować oczekiwań milionów telewidzów – mówi Piotr Jasek. – „BrzydUla" wygrywa w swoim paśmie z niemal każdą konkurencją. W stacjach tylko takie komunikaty interesują producentów. O serialach rozmawia się tam wyłącznie przy użyciu liczb: danych o oglądalności, udziałów w rynku. Nie da się zmienić tej sytuacji, będąc pionkiem, pisząc dialogi, wymyślając, co dalej stanie się z postacią. Ostateczne decyzje i tak podejmuje klient, czyli stacja telewizyjna – wyjaśnia. Jasek chciał na przykład, by akcja „BrzydUli" zamiast w świecie mody rozgrywała się w wielkiej komercyjnej telewizji. Produkujący „BrzydUlę" TVN dałby tym samym dowód, że potrafi spojrzeć na siebie z przymrużeniem oka. Niestety, pomysł został odrzucony.

Łukasz Orbitowski i **Jakub Żulczyk** *prozaicy, absolwenci UJ. Talent pisarski zaprzęgli do produkcji „BrzydUli"*

Seriale traktowane są w Polsce jak dodatki do reklam. Odbiorcy z danej godziny muszą pokrywać się z odbiorcami, do których w przerwie wyemitowane zostaną spoty

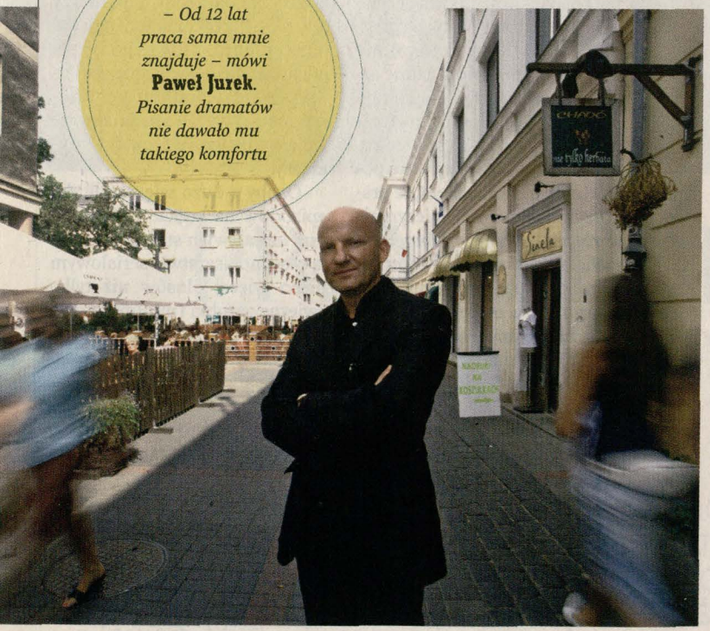

– Od 12 lat praca sama mnie znajduje – mówi **Paweł Jurek**. *Pisanie dramatów nie dawało mu takiego komfortu*

– Seriale są dziś traktowane jak dodatki do reklam, a odbiorcy z danej godziny muszą dokładnie pokrywać się z odbiorcami, do których w przerwie wyemitowane zostaną spoty – tłumaczy Paweł Jurek. – Mam szacunek dla telenowel, w których pracowałem i które pozwoliły mi zaistnieć jako autorowi – dodaje – ale wiem dokładnie, że w pełni realizować można się tylko w gatunku, nad którym ma się całkowitą kontrolę: prozie czy dramacie.

Sęk w tym, że jeśli spędziło się w cieplarnianej atmosferze finansowej telenoweli lata, bardzo trudno wrócić do gatunków autorskich.

Doją i łoją

Jednemu z moich rozmówców firma produkująca pisany przez niego serial opłaca mieszkanie. Przestronne, z tarasem, w jednej z droższych okolic Warszawy. Do pracy ma trzy kroki, bo biuro, w którym spotykają się scenarzyści tego tytułu, mieści się nieopodal. Nie ma tam wprawdzie tarasu, ale za to jest piękny widok na stolicę. Niegdyś ceniony i nagradzany autor nie wydał więc nic własnego od kilku lat. Gdy się spotykamy, daje mi w prezencie swój stary zbiór opowiadań, zastrzegając, że jeszcze tylko jeden sezon serialu i wróci do „prawdziwego pisania".

Od lat nic nie wydał też Paweł Jurek, który zdobył przed laty olbrzymią sławę wystawianą w krakowskiej Łaźni sztuką „Pokolenie porno".

FOT. WOJCIECH KUROZEWSKI/FORUM, MARCIN KALIŃSKI, KUBA DĄBROWSKI, MAREK SZCZEPAŃSKI, BARTŁOMIEJ KWAŚEK, JACEK LENCZOWSKI

Z kolei tym, którzy łączą pisanie na zamówienie z pisaniem powieści i dramatów, zarzuca się hipokryzję, sprzedawanie się, chałturę. U podstaw takich sądów leży raczej środowiskowa zawiść niż zdrowy rozsądek. W dobie wolnego rynku i wszechobecnych konsumenckich pokus coraz trudniej wyzbyć się finansowych ambicji. Nie bardzo też wiadomo, w imię czego miałoby się to robić. Może w imię obrażenia się na kiepski gust milionów Polaków, którym taka właśnie serialowa rozrywka odpowiada?

Wątpliwości budzić może raczej dwuznaczna sytuacja, w której znaleźli się niektórzy scenarzyści pisarze z jednej strony zarabiający na chałturzeniu w telewizji, z drugiej krytykujący w swojej prozatorskiej i publicystycznej twórczości seriale i absurdalną telewizyjną machinę.

Akcja „Wielkanocy z tygrysem", najnowszej powieści Darka Foksa (tego od „BrzydUli"), rozgrywa się w świecie mediów. Bohaterowie książki są jednocześnie bohaterami jednej z najsłynniejszych polskich telenowel. Opisując medialną machinę, Foks kpi zarówno z infantylnego serialowego stylu opowiadania, jak i z ludzi pracujących w tym biznesie. Jakub Żulczyk z kolei nie pozostawia suchej nitki na polskiej twórczości telewizyjnej w felietonach dla „Magazynu" „Dziennika".

– Nie wygramy z telewizją, nie ma szans. To zbyt potężna siła – mówi mi Foks, a zapytany o „Wielkanoc z tygrysem" dodaje: – Uznałem po prostu, że opisanie procesu powstawania serialu będzie dla ludzi interesujące.

Cóż, z pewnością dużo bardziej interesujące niż sam efekt. □

Piotr Jasek – *jedno z najbardziej pożądanych nazwisk w branży serialowej*

Chilli ZET
Nowe radio w Polsce w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

O tym, w jakiej formie będzie od tej pory wracał Michael Jackson

JACKSON TO BYŁ WAMPIR. Przynajmniej dla mnie. Jeden z pierwszych wideoklipów pokazywanych w jednym z pierwszych programów emitujących klipy, niedługo po stanie wojennym. „Thriller". Krzysztof Szewczyk. Jarmark w TVP. Rok 1983. 14-minutowy klip pokazali tu – dodajmy – po 23. Tylko dla dorosłych. Jeśli możecie sobie wyobrazić coś, co jest w stanie w większej mierze rozpalić wyobraźnię dziecka, to czekam na wasze głosy pod redakcyjnym e-mailem i numerem telefonu.
Dla mnie i mojej siostry „Thriller" Jacksona stał się czymś więcej niż tylko hitem – był przepustką do świata zagranicznych list przebojów, do świata superprodukcji filmowych, drogich układów tanecznych i świata po godzinie 23. Dla naszych znajomych właśnie takie było związane z Jacksonem doświadczenie pokoleniowe.
Moje twierdzenie o wampiryzmie Jacksona nie ma nic wspólnego z jego powierzchownością z ostatnich lat życia, chociaż, niestety, większość tego, co o nim pisano i mówiono w telewizji przez ostatnią dekadę, właśnie tej powierzchowności dotyczyła. Wiem coś o tym. Tuż po śmierci Jacksona na mój blog znów wchodzono najczęściej po wpisaniu w Google frazy „nos Michaela Jacksona". Dlaczego? Otóż zdarzyło mi się swego czasu napisać o dzwoniących do mnie dziennikarzach z telewizyjnych programów newsowych. Wypowiedź przed kamerą na temat muzyki w czasie najwyższej oglądalności w TV była potrzebna od wielkiego dzwonu. Zazwyczaj wtedy, gdy działo się coś niepokojącego z nosem Michaela Jacksona. Wydawało mi się głupie, że największe media w kraju interesuje tylko Michael Jackson. Nie mogłem też zrozumieć, że nawet z szerokiego spektrum tematów związanych z Jacksonem paląca wydaje im się tylko kwestia nosa. Nie mogłem tego wszystkiego pojąć, dopóki nie usłyszałem w radiu najbardziej znanych politycznych komentatorów w kraju, którzy rankiem po śmierci Jacksona nie mieli o nim do powiedzenia z grubsza nic poza tym, że był fenomenem i świetnie tańczył. Przyznacie, drodzy czytelnicy, że fenomenem jest raczej to, że świat wielkich mediów wybiera sobie tego jednego artystę muzycznego, którym w ogóle będzie się od tej pory zajmować (na resztę zabraknie czasu), i w dodatku o tym jednym nic nie będzie wiedzieć. Być może to w roku 1983 doszło do wielkiego podziału – ci, którzy zobaczyli „Thriller", podążyli ścieżką kultury. Ci, którym mama zabroniła, zajęli się polityką. Tylko dlaczego później Dziennik.pl, który w lutym 2009 roku ostrzegał, że „nos króla popu wkrótce odpadnie", nagle zmienia ton i pisze o nim „ostatni rewolucjonista popu"? To już inny fenomen. Otóż kiedy Michael Jackson dokonał żywota, wszystkie problemy jego nosa – te najpilniejsze z punktu widzenia poważnych mediów – w ciągu jednego dnia stały się nieaktualne. I znów zaczęto się interesować jego muzyką, wkładem w światowy pop i tak dalej. Cała reszta nadrobiła pokoleniową stratę i dlatego Michael Jackson od tej pory powracać będzie już tylko jako wampir. □

Najciekawszy był **Jackson w pracy**

FOT. BOGDAN KREŻEL, B&W

POTOK

RYS. MARCIN MACIEJOWSKI

„Trzy królestwa", reż. John Woo, Chiny 2009, Monolith, 145', premiera 3 lipca

Łomot imperialny

„Trzy królestwa" to batalistyczna orgia, a zarazem dwie i pół godziny mordęgi

BARTOSZ ŻURAWIECKI, „FILM"

Przytłaczająca jest monstrualność „Trzech królestw". Chińska kinematografia rzuciła na front, przepraszam, na plan tego filmu wszystkie swoje siły i tak oto kosztem 80 milionów dolarów, wysiłkiem armii realizatorów i statystów powstał mamuci epos o chińskiej wojnie domowej z trzeciego wieku naszej ery. Rzecz trwa ponad pięć godzin, na szczęście podzielono ją na dwie części, z których pierwsza właśnie trafia na nasze ekrany. To jednak i tak dwie i pół godziny mordęgi.

Ogarnięty żądzą władzy premier Cao Cao (Zhang Fengyi), w rękach którego cesarz Xian Di jest tylko marionetką, chce podbić zachodnie i południowe królestwa i przejąć pełną kontrolę nad krajem. Ale lojalni wobec cesarza przywódcy obu krain stawiają opór.

No i zaczyna się batalistyczna orgia. Walki na ziemi i w wodzie, pieszo i konno. Na miecze, włócznie i łuki. Kawalkady wojsk, sznur okrętów po horyzont i akrobatyczne wygibasy wojowników. Do tego fontanny krwi, odcięte członki, pożary, epidemie oraz totalna demolka. A w rzadkich chwilach wytchnienia pościelowe szepty tudzież uniwersalne mądrości wygłaszane między łykami zielonej herbaty.

Niestety, cały ten imperialny łomot nie robi większego wrażenia, ponieważ na planie ludzkim dzieje się mniej niż mało. Dobrzy panowie są szlachetni od czubka głowy po paznokcie u stóp, noszą się dumnie, walczą dzielnie i nic nie jest w stanie naruszyć ich misternych fryzur. Cao Cao zaś to pyszałkowaty dupek, który w decydującym momencie daje się zwieść kobiecie. Cóż, John Woo – reżyser „Mission Impossible 2" – nigdy nie był mistrzem psychologii.

Ale i refleksji historiozoficznej szukać w „Trzech królestwach" ze świecą. No poza powtarzanymi co rusz przykazaniami, by nie podnosić ręki na „władzę centralną" i bronić za wszelką cenę „jedności państwa". Ciekawe, co na to Tybetańczycy? □

Siedź i patrz

NA DEBIUTY

Z życia wzięte, w filmie stracone

To już trzecie DVD z serii „Polskie debiuty"

Gdy przejrzeć opisy tych 10 filmów, zdawać się może, że filmowcy podeszli wreszcie bliżej życia. Nawet ci od fabuły. Mówią więc o kredytach, zblazowanych lekarzach, kobietach, którym zbrzydło domowe ognisko, zagubieniu młodych ludzi w wielkim mieście. Niestety, temat długu na mieszkanie obsługuje historia małżeństwa, które z przepracowania od kilku miesięcy widuje się tylko dzięki nagraniom z kamery mini-DVD („Na kredyt"), kura domowa, odstawiwszy pociechy do babci, ląduje w izbie wytrzeźwień („Wszystkie małe kłamstwa Anny"), a młodzi ludzie w wielkim mieście to przebrzydli dziennikarze, którzy dla kasy napiszą dowolną bzdurę („Tysiąc zakazanych krzaków"). Na tym tle wyróżnia się tylko 30-letnia Barbara Białowąs (również wiekiem – trzech autorów wspomnianych wyżej debiutów zbliża się do czterdziestki), która w żwawo zmontowanej, prostej „Mojej nowej drodze" – historii o parze dwudziestoparolatków – zabawnie opowiada o przepaści między dziećmi a żyjącymi wciąż PRL-em rodzicami. Co do dokumentów zaś, to żadnego z nich nie było w tym roku na Krakowskim Festiwalu Filmowym, gdzie trafiają najciekawsze filmy gatunku. I jakoś nas to nie dziwi. – *kp*

„Polskie debiuty 2008/2009", Studio Munka, Stowarzyszenie Filmowców Polskich i Kino Świat

++++

Wolność po argentyńsku

Alonso w „La Libertad" unika słów, ale ma wiele do powiedzenia

W PAMPIE, GDZIE TYM RAZEM zapuścił się z kamerą awangardowy reżyser Lisandro Alonso, gęstość zaludnienia wynosi dwóch mieszkańców na kilometr kwadratowy (w Polsce – 118). Warunki nie sprzyjają interakcji. Bohater „La Libertad" Misael, drwal, spotyka więc w filmie ledwie cztery osoby, z którymi wymienia kilka zdań. Wbrew pozorom nie jest to rozrywka dla widzów, których męczą napisy, lecz dla tych, którzy lubią być przenoszeni w pokazany bez przekłamań obcy świat. By uzyskać efekt autentyczności, reżyser spędził z Misaelem miesiące, nie kręcąc, lecz po prostu się z nim zaprzyjaźniając. Alonso rewelacyjnie oddaje klimat miejsca i samopoczucie bohatera. Fizycznie odczuwalne są duchota gąszczu, lejący się z nieba żar, wycieńczenie, a zarazem ulga, jaką przynosi fizyczna praca, w której nie jest się niczyim podwładnym. Na mieszkańcach pampy film nie zrobił wrażenia. W sumie zrozumiałe. To tak, jakby u nas nagrać dzień z życia urzędnika. Tylko czy wtedy zamiast o zawartej w tytule filmu Argentyńczyka wolności nie mówilibyśmy raczej o jej braku?

Karolina Pasternak

„La Libertad", reż. Lisandro Alonso, Argentyna 2001, AP Mañana, 73', premiera 3 lipca

MISTRZOSTWO NA PIĄTKĘ WARTO MOŻE BYĆ SŁABO DNO więcej recenzji na www.przekroj.pl

FOT. MONOLITH PLUS (3), PHOTO12/MEDIUM

Clint ma ucho! Zaskoczył cię Eastwood śpiewający w „Gran Torino"? Więcej zdziwień przyniesie ci „Przekrojowa" kolekcja DVD „Legendy kina. Clint Eastwood"

MARIUSZ HERMA

10 lat temu Clint Eastwood miał swój drugi reżyserski debiut na planie teledysku „Why Should I Care" Diany Krall – piosenki, do której sam napisał słowa i którą umieścił w filmie „Prawdziwa zbrodnia". Ciekawostka? Wręcz przeciwnie, kolejny przystanek w muzycznej karierze Eastwooda.

Zaczęło się od śpiewania przebojów country w telewizyjnym „Rawhide", które na początku lat 60. zebrano na longplayu „Rawhide' Clint Eastwood Sings Cowboy Favorites". I chociaż więcej w tym było aktorskiego PR niż rzeczywistej pasji, dzięki płycie kilka lat później Joshua Logan nie obawiał się zatrudnić Eastwooda przy ekranizacji musicalu „Pomaluj swój wóz".

Jednak muzyczne ambicje Clinta w pełni zaczęły się objawiać dopiero wówczas, gdy usiadł w fotelu reżysera. W „Zagraj dla mnie Misty" z 1971 roku Eastwood wybrał sobie rolę, która nie wymagała od niego żadnego wysiłku, czyli DJ-a zakochanego w amerykańskim jazzie. W tym samym roku melomanów zachwyciła ścieżka dźwiękowa do „Brudnego Harry'ego" autorstwa Lalo Schifrina, którego Clint przyprowadził ze sobą z planu „Blefu Coogana".

Odtąd filmy Eastwooda zawsze kojarzyły się z pierwszorzędną muzyką, którą jako reżyser dobierał równie staranie jak aktorów. Kwestią czasu było to, kiedy zechce wziąć sprawy w swoje ręce. W 1980 roku zaśpiewał w duecie z Rayem Charlesem w „Jak tylko potrafisz", a w połowie dekady sam siadł za fortepianem i tak powstał między innymi temat przewodni „Niesamowitego jeźdźca". W 1988 roku zrealizował swoje wielkie reżyserskie marzenie, oddając hołd Charliemu Parkerowi w filmie „Bird" z docenioną w Cannes świetną rolą Foresta Whitakera.

Pełnoprawnym, czy też pełnometrażowym, kompozytorem Eastwood został jednak dopiero przy okazji „Rzeki tajemnic" z 2003 roku, ale od tamtego momentu nie wypuszcza już batuty z ręki. Dwa lata temu podczas 50. edycji słynnego Monterey Jazz Festival doktoratem honoris causa Uniwersytetu w Berkeley nagrodzono jego muzyczne zasługi w filmowym świecie. Zresztą nie tylko filmowym. – Kiedy powiedziałem ojcu, że chcę zostać muzykiem, bardzo się ucieszył – wspomina Kyle Eastwood, dzisiaj znany kontrabasista jazzowy. – W mojej rodzinie muzyka zawsze odgrywała istotną rolę. □

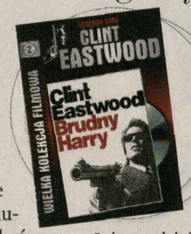

Już za tydzień **„Brudny Harry"** *do kupienia z „Przekrojem"*

Eastwooda strzał w dziesiątkę: **Forest Whitaker** *jako genialny saksofonista* **Charlie Parker „Bird"**

REKLAMA

PRZEKRÓJ

Wydanie specjalne

GRY I ZABAWY UMYSŁOWE

18 KRZYŻÓWEK

18 JOLEK

Wydania specjalnego „GRY I ZABAWY UMYSŁOWE" szukaj w punktach sprzedaży na terenie całej Polski.

www.przekroj.pl

Okres nowojorski. Zdjęcie zrobił **Victor Bockris** *– biograf Burroughsa (i Warhola)*

FOT. VICTOR BOCKRIS/CORBIS

MARCIN SENDECKI

Bitnik i śmierć

Williama S. Burroughsa jazda bez trzymanki

Ach, Burroughs! Nie ma tu miejsca na wykład, więc tylko krótka zajawka: Bowie, Jagger, Patti Smith, Strummer, Lou Reed, Laurie Anderson, Sonic Youth, John Cale, Kurt Cobain, David Byrne, Beastie Boys. Można wydłużać listę tuzów muzyki, które cieszyły się i czerpały natchnienie z twórczości oraz towarzystwa starego bitnika, a często i nagrywały z nim to i owo. Wypada dorzucić – by choćby wspomnieć o „najważniejszej ze sztuk" – pamiętną rolę w „Moim własnym Idaho" Gusa van Santa. No i coraz oczywistszy przemożny wpływ na rozwój prozy w ogóle i całą plejadę autorów od Pynchona po, powiedzmy, Palahniuka w szczególności. U nas jednak potęga Burroughsa jest raczej kiepsko znana.

Może teraz coś wreszcie się ruszy. Wieńcząca „trylogię czerwonej nocy" (fragmenty jej otwarcia, „Miast czerwonej nocy", znaleźć można w najobszerniej po polsku ukazującej Burroughsa „Literaturze na Świecie" nr 7–8/2005) „Zachodnia kraina" z 1987 roku (ostatnia duża powieść urodzonego w 1914, a zmarłego w 1997 roku pisarza) daje kapitalną okazję, by zdać sobie sprawę z jego przewag. Tytułowa „Zachodnia kraina" to staroegipskie zaświaty, a Burroughs luźno organizuje narrację wokół motywów z Księgi Umarłych – zestawu formuł wkładanych do grobu, które miały prowadzić dusze ku nieśmiertelności. Niezależnie od tego, co myślał o egipskich wierzeniach sam autor, czytelnik wcale nie musi się w nie wgryzać, bo nie w nich tkwi energia tej książki (gdyby ktoś wgryźć się jednak zamierzał, dobrze się składa, bo PIW wydał niedawno „Księgę wychodzenia za dnia. Tajemnice egipskiej Księgi Umarłych" Mirosława Barwika). Tak czy inaczej, „Zachodnia kraina" jest przede wszystkim zapierającą dech w piersiach galopadą nielinearnie powiązanych epizodów, w których Burroughs przywołuje swe główne obsesje, fascynacje, demony. Stary pisarz i paczka jego nadzwyczajnych bohaterów, którzy swobodnie przemieszczają się w czasie i przestrzeni, mierzą się więc ze światem spisków, perfidii „systemu" i paranaukowych teorii; światem zaludnionym przez ludzkie i zwierzęce monstra jakby wyjęte z obrazów Hieronima Boscha. Akcja kipi od seksu i używek, trup ściele się gęsto, ginąc na setki najwymyślniejszych sposobów, a fantastyczne wizje przetykane są autobiograficznymi wtrętami. Oto mamy więc, na przykład, walkę z bandą jadowitych stonóg, a potem proustowskie westchnienie typu „dopiero teraz rozumiem, czym była jedna z postaci w »Nagim lunchu«". U Burroughsa nad wyraz precyzyjna fantasmagoria, groteska i krytyka społeczna w jednym stoją domu, by pytać – niekiedy pośród całego tego pandemonium niezwykle wzruszająco – o rzeczy ostateczne. A nieśmiertelność? Zanim odszedł jako osiemdziesięcioparolatek – dożywszy wieku, który zważywszy na jego tryb życia, zakrawał na cud – byli tacy, co pół żartem przebąkiwali, że być może naprawdę jest „nieśmiertelny".

Podobno jeszcze niedługo przed śmiercią, schorowany, kuśtykał do ogrodu, by postrzelać do tarczy i porzucać nożem. □

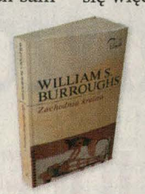

William S. Burroughs „Zachodnia kraina", *przeł. Paweł Lipszyc, Świat Książki, Warszawa 2009, s. 320, 27 zł*

FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI, TEATR STARY W KRAKOWIE (2)

ŁUKASZ DREWNIAK

Szlaban na Turka

Stary Teatr, nowy Stasiuk, odnowiony Grabowski, kłopoty też nowe

Akcja nowej sztuki Andrzeja Stasiuka dzieje się w pustym miejscu po dawnej granicy państwowej. Opuszczone baraki, szlaban wyrzucony gdzieś w las. Teraz będzie tu parking albo park tematyczny, na razie terenu kupionego przez tureckiego inwestora pilnuje młody ochroniarz Patryk (Piotr Głowacki), co noc przyłazi też emerytowany celnik Edek (Jan Peszek). Jest sklep z trunkami prowadzony po słowackiej stronie przez seksboginię pogranicza, niejaką Marikę (Iwona Bielska). Ale najważniejszy jest Chór – trzech byłych przemytników, którzy lubią o sobie mówić, że są schengeńskimi sierotami. Polska w Unii Europejskiej to był koniec ich świata. Mikołaj Grabowski przebiera ich w eleganckie garnitury, zmienia w trzech tenorów wyśpiewujących i melorecytujących nie tylko swoje tyrady, ale nawet didaskalia. „Nie zna granic ni kordonów pieśni zew, pieśni zew...". Jacek Romanowski, Zbigniew Kaleta i Wiktor Loga-Skarczewski nie tyle mitologizują romantyczną stronę kontrabandy, ile referują tezę Stasiuka: zaprawdę powiadam wam, granice były naprawdę fajne i ludzie jeszcze za nimi zatęsknią. Bo Stasiukowi chodzi nie o granicę, która zamyka i osacza, ale o taką, która przepuszcza. On nie tęskni za podzielonym światem, tęskni za rytuałami przejścia z jednej rzeczywistości w drugą. W przekraczaniu stref zakazanych było przecież coś pięknego. Po tamtej stronie wszystko bywało inne: obyczaje, towary, język; nawet my na jakiś czas musieliśmy się stać inni. Teraz wszędzie jest tak samo i wszyscy jesteśmy tacy sami.

Trzech tenorów przemytników **(Wiktor Loga-Skarczewski, Jacek Romanowski, Zbigniew Kaleta)**

Po słowackiej stronie **Iwona Bielska**, *seksbogini pogranicza*

Edek Peszka broni w przedstawieniu nie tylko sensu roboty, którą wykonywał przez 30 lat. Walczy również o swoje prawa do ksenofobii, do lęku, że oto przedmurze chrześcijaństwa zajmą teraz tureckie biznes-bisurmany. Niejako przy okazji próbuje pokazać, że „muszą być jakieś granice". Bo granice są. Jak te między pamięcią i niepamięcią, prawdą i fałszem. Prawda, że brzmi to frapująco i oryginalnie? Po pierwszej półgodzinie przedstawienia byłem niemal pewien, że to będzie jedna z najciekawszych sztuk ostatnich lat, że Grabowski być może zrobił coś lepszego niż Słobodziankowy „Obywatel Pekoś" z 1997 roku. Ale mniej więcej od momentu wejścia na scenę Andżeli, takiej Lary Croft na ochroniarskich saksach w Beskidzie Niskim, cały mój entuzjazm powoli opadał, choć muszę przyznać, że aparycja Patrycji Puślednik powinna wywołać reakcję zgoła odwrotną. Stasiuk nie umiał fabularnie wybrnąć z sytuacji, jaką stworzył. Przypadkowa śmierć Patryka szamocącego się z Andżelą w obronie Mariki ma co najwyżej charakter jednej z perypetii, a nie dramatycznego finału. Na moje ucho bohaterowie powinni jeszcze z godzinkę posiedzieć w tym lesie i więcej pogadać o trupie, życiu, absurdzie historii. Dopiero potem może niczym deus ex machina zjechać turecki inwestor, żeby przeciąć węzeł głupiej nowoczesności i jeszcze głupszych resentymentów.

„Czekając na Turka" *Andrzeja Stasiuka, reżyseria i ruch sceniczny Mikołaj Grabowski, scenografia Magdalena Musiał, muzyka Mikołaj Trzaska, Narodowy Stary Teatr w Krakowie*

Nie mam pretensji, że Grabowski poległ na nieudanej sztuce Stasiuka. Każdy by poległ, gdyby w połowie roboty okazało się, że zamówiony przez teatr dramat ma błyskotliwy początek, niestety w środek nie bardzo jest co włożyć. Dobre wieści są takie, że Grabowski wrócił do stylistyki, w której czuje się najlepiej. Znów ma poczucie humoru, sypie scenicznymi pomysłami jak z rękawa. Może od tej strony da się jeszcze Stasiukowi pomóc? □

REKLAMA

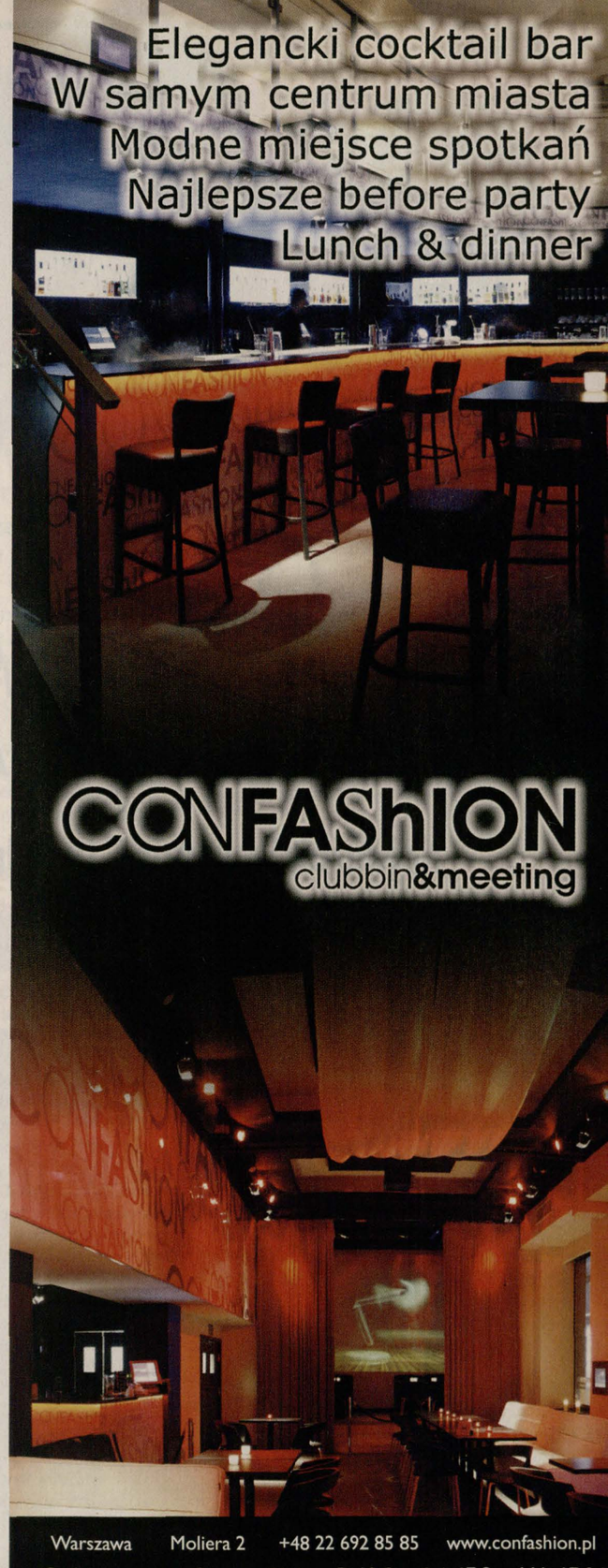

Im bardziej dojrzewam jako muzyk, tym silniej ciągnie mnie w stronę muzyki pop – przyznaje **Anthony Gonzalez z M83**

ROZMOWA MARIUSZ HERMA

Najważniejszy dzień tygodnia

*Kocham pogoń za nowym – zapewnia Anthony Gonzalez stojący za projektem M83, który będzie gościem festiwalu Open'er**

Ostatni album „Saturdays = Youth" wyniósł cię z alternatywnej niszy na piedestał. Przełom?

– Dla mnie każdy album był punktem zwrotnym, bo oznaczał podjęcie ryzyka. Tym razem zaryzykowałem zmianę stylu – przy zachowaniu pewnych cech charakterystycznych – na bardziej piosenkowy. Ale w muzyce najbardziej kocham właśnie ciągłą pogoń za nowością. To eksperymenty uzasadniają nagrywanie kolejnych płyt. Gdy byłem nastolatkiem, interesowały mnie podziemne kapele – im dziwniej, tym lepiej. Dzisiaj potrzebuję rzeczy prostych i bezpośrednich. Dlatego nagrałem album popowy.

Dlaczego w duchu lat 80.?

– „Saturdays = Youth" to mój hołd dla jednej z najważniejszych dekad w historii muzyki. Nagrania z tamtych czasów nadal są niezwykle poruszające. Choć był to czas poszukiwań, zrodził całe mnóstwo przepięknych piosenek.

A czego słuchasz dzisiaj?

– Siedzę po uszy w muzyce poważnej. Ale bez obaw, w najbliższym czasie nie będę się zabierał do grania klasyki! Od dawna marzy mi się jednak podwójny album, potężnie brzmiący, zróżnicowany gatunkowo. Być może nadszedł właściwy moment.

To, że śpiewasz po angielsku, nie przeszkadza twoim rodakom?

– Fakt, trudno nam się przebić we Francji. Czasem gramy w Paryżu, bo to wielkie miasto, ale poza stolicą jest spory kłopot. W radiu nas właściwie nie ma. Cóż zrobić – o muzyce myślę po angielsku, większość moich ulubionych kapel pochodzi z Ameryki i Wielkiej Brytanii. Na szczęście ostatni album trochę poprawił sytuację.

Słyszałem, że w tytułowe soboty zwykle brałeś narkotyki?

– Nie tylko w soboty! (*śmiech*) Ale chodzi o coś innego. Kiedy jesteś dzieckiem, sobota to najważniejszy dzień. Masz za sobą cały tydzień nauki, a nie myślisz jeszcze o poniedziałku. Słuchasz muzyki, oglądasz filmy, chodzisz na koncerty, spędzasz czas z przyjaciółmi – otwierasz się na świat. Na sobotę czekasz przez całą resztę tygodnia. □

*** Wszyscy recenzowani dzisiaj wykonawcy również grają na Open'erze.** Przypominamy: 2–5 lipca, Gdynia, Babie Doły-Kosakowo. Więcej: www.opener.pl

OPEN'ER TO NIE TYLKO GOŚCIE Z ZAGRANICY:

+++ LATO PRZYSZŁO, BZYKAĆ IM się zachciało. Przebrani za owady i gryzonie muzycy znani między innymi z zespołu Kasi Nosowskiej i Sistars ćwiczą rozbrykanego funk rocka. Niektóre dowcipy może zbyt prześmiane, ale to i tak wymarzona ścieżka dźwiękowa do wakacyjnych eskapad na łono natury. – *js*

Łąki Łan „ŁąkiŁanda", *EMI, 36,50 zł*

+++ THE CALOG WYRAŹNIE się rozkręca. Trio niezmiennie gustuje w zgrabnych piosenkach, za to nigdy wcześniej nie pakowało w nie takiej dawki energii i tylu fajnych gitarowych smaczków. Mniej bombowe są te kompozycje, w których stępiony został rockowy pazur. Więcej czadu! – *js*

The Calog „Bomby kolorowe", *4evermusic, 33,99 zł*

+++ PUNKANDROLLOWA PETARDA Z SOCZYSTYMI riffami i chwytliwymi refrenami, idealna na imprezę połączoną z demolką i wzywaniem policji przez sąsiada. Pochodzą z Warszawy, ale brzmią jak młodsi bracia Hellacopters lub Gluecifera. Zresztą pewnie nie bez powodu debiut nagrywali w Sztokholmie. – *js*

The Black Tapes „The Black Tapes", *Antena Krzyku, 29 zł*

Gdzie po Open'erze?

MOŻNA DO DOMU. ALE TRZEBA DO SZCZECINA, na Zamek Książąt Pomorskich, na pierwszy w naszym kraju koncert formacji Calexico. Pochodząca z Arizony grupa wykonuje piorunującą (jeśli chodzi o wrażenia artystyczne, bo biorąc pod uwagę nastrój – kojącą) mieszankę alternatywnego rocka, country i muzyki meksykańskich *mariachi*. Więcej: www.calexico.pl. – *js*

FOT. EMI, LADO ABC, SZCZECIN MUSIC FEST

++++

W sypialni

Wyciszony, melancholijny, przejmująco smutny – oto nowy, niezależny Moby

Moby „Wait For Me", *Little Idiot, 36,50 zł*

FANEM TEGO ekscentrycznego nowojorskiego muzyka nie jestem, ale jeśli już, to właśnie w takim, nieco żałobnym wydaniu lubię go najbardziej. Taki był 10 lat temu, w najlepszych momentach przełomowego dla jego kariery albumu „Play" i taki jest tym razem, gdy biorąc sobie do serca rady przyjaciela Davida Lyncha, zrozumiał, jak ważne dla artysty jest nie zważać na presję rynku. Zamiast miotać się między stadionowym rockowym graniem a skrojoną na użytek klubów taneczną elektroniką, w zaciszu swojej sypialni niemal samodzielnie nagrał skromny, kameralny album i wydał go we własnej wytwórni. Niby nic tu nowego. To wciąż ten sam Moby, łatwo rozpoznawalny dzięki charakterystycznym brzmieniom, motywom i tematom. A jednak wystarczyło, że na chwilę zapomniał, jak bardzo potrzebuje nowego sukcesu, by znów złapał wiatr w żagle i nieoczekiwanie stworzył najlepszą rzecz od lat.

Bartek Winczewski

Nie uwierzycie, ale **Marcin Masecki** *(z lewej) debiutował w jazzowej grupie braci Golców. W Paristetris hałasuje z Candelarią Saenz Valiente i Maciem Morettim*

Paristetris „Paristetris", *Lado ABC, 31,99 zł*

+++++

Dobre szaleństwo

Paristetris to skomplikowana mieszanka, a przy okazji związek wybuchowy

UTALENTOWANA ARGENTYNKA CANDELARIA Saenz Valiente śpiewa, a jej nie mniej zdolny partner życiowy, pianista Marcin Masecki, akompaniuje. Podstawowy skład uzupełnia Macio Moretti, muzyk i grafik, niegdyś krótko związany z „Przekrojem", dziś realizujący sto projektów na godzinę – tu występujący w roli ekspresyjnego perkusisty. Drugi plan też się liczy, ale te trzy instrumenty: głos, pianino (wymiennie z elektrycznym pianem Wurlitzera o charakterystycznej ostrej barwie) i perkusja, doskonale organizują całe kompozycje – od melodyjnych zwrotek z udziwnionymi tekstami po hałaśliwe przerywniki w klimacie Franka Zappy czy Mike'a Pattona. Wyobraźnia nie gryzie się tu z dyscypliną, szaleństwo ze zwartością utworów, a awangardowe ambicje nie eliminują poczucia humoru. To zaskakujące, ile różnorodnych pomysłów na te trzy instrumenty dało się przedstawić na jednej płycie. A jeszcze bardziej zaskakujące, że to, co od niej zrazu odrzuca – dysonans i zgiełk – staje się po jakimś czasie rzeczą, która trzyma nas przy Paristetris coraz mocniej.

Bartek Chaciński

++++

Starość nie radość

Nastoletni niepokój ustąpił miejsca dorosłemu zgorzknieniu, ale Placebo dobrze się starzeją

„MUSZĘ ZMIENIĆ SKÓRĘ" – ŚPIEWA MOLKO w otwierającym nową płytę utworze „Kitty Litter". To trochę nieaktualne, bo Placebo już ją zmienili, przy okazji zmieniając perkusistę, wytwórnię i producenta. Czarny humor ustąpił miejsca ponurej ironii, bez cienia uśmiechu. Grają ostrzej, brzmią ciemno i ciężko. Sięgają nawet po dęciaki albo stawiają ścianę dźwięku, której nie powstydziliby się ich koledzy z Muse. Co nie dziwi o tyle, że przy „Battle For The Sun" gałkami kręcił David Bottrill, który na liście pracodawców ma Muse właśnie. Toola też. Ale wszystkie te zabiegi nie miałyby większego sensu, gdyby zabrakło zgrabnych piosenek. Tymczasem tylu potencjalnych hitów Placebo na jednej płycie dawno nie mieli. Być może nigdy. Przeprosiny za „Meds" przyjęte.

Jarek Szubrycht

Placebo „Battle For The Sun", *PIAS, 58,50 zł*

REKLAMA

APARTAMENTY NA SPRZEDAŻ

Ostatnie lokale!

Imperial Company

www.rysulowka.pl

0 790 88 88 88

OTWÓRZ

oczy

W lukrze kolorowej amerykańskiej codzienności fotorealiści **dopatrywali się nieprzyjemnych pęknięć**. *Nawet swojska barowa martwa natura potrafiła na ich płótnach wzbudzić uczucie obcości. Od lewej: Richard Estes, Don Eddy, Robert Cottingham i Ralph Goings*

SZTUKA KUBA DĄBROWSKI

AEROGRAF DREAM

PRAWDZIWI AMERYKANIE Z MALOWANIA ZE ZDJĘĆ ZROBILI W LATACH 60. KIERUNEK SZTUKI. TERAZ **ICH PRACE MOŻNA ZOBACZYĆ W KRAKOWIE**

W fotografii amatorskiej lata 60. są czasami kolorowej rewolucji. Polaroid wypuszcza pierwszy w pełni automatyczny aparat, trzy lata później rozpoczyna masową produkcję kolorowych klisz. Później Kodak wprowadza na rynek tani amatorski aparat Instamatic i przystosowane do pracy z nim klisze Kodakolor-X. Przeciętni Amerykanie, którzy jeszcze parę lat wcześniej zamawiali zdjęcia u fotografa lub robili je przy wyjątkowo ważnych okazjach, pod koniec dekady mają w domach aparaty fotograficzne. Powstają miliony mechanicznych obrazów. Uśmiechnięte, kolorowo ubrane postaci pozują na wakacjach, przy grillu, przy nowym samochodzie. Wspomnienia nabierają koloru. Amerykanie fotografują wszystko, zaczynają patrzeć na świat przez pryzmat zdjęć.

W sztuce po czasach dominacji pop-artu, odkąd artyści zajęli się współczesną kulturą masową, a bohaterami uczynili Elvisa i Myszkę Miki, wszystko wydaje się dozwolone. To dlatego, gdy tylko na Zachodzie USA, tam gdzie kończy się Route 66, sztuka powraca do najklasyczniejszej z technik, malarstwa, ta prawdziwa Ameryka wybiera realizm. I korzystając z wyważonych przez pop-art drzwi, będzie malować samą siebie. A przy tym wszystkim malarze również kupują sobie aparaty fotograficzne. →

W 1997 roku Anthony Brunelli namalował Cortland w stanie Nowy Jork. **Współczesny fotorealizm imponuje**, *ale stracił krytyczną wymowę*

MALARSKIE ŚRODKI WYRAZU: „GEST" I RĘCZNE POCIĄGNIĘCIA FARBY ZASTĄPIONE ZOSTAŁY PRZEZ AEROGRAFY, NARZĘDZIA STOSOWANE DO MALOWANIA KAROSERII SAMOCHODÓW

John Beader zaprasza na **kawę i frytki** *u Pappiego. Takiej Ameryki na pocztówkach nie zobaczymy*

→ Spontanicznie, bez pisania odezw i programów powstaje nurt zwany fotorealizmem. Malarski gest, ręczne pociągnięcia farby zastąpione zostają przez aerografy, narzędzia wcześniej stosowane do malowania karoserii samochodów. Szkice i malowanie z natury są w odwrocie. Maluje się ze zdjęć. Zrobionych samemu albo znalezionych. W obrazie należy zachować zniekształcenia wynikające z optyki obiektywu, szczególną uwagę zwraca się na typowo fotograficzne efekty – zatrzymanie ruchu, refleksy, bliki, zaburzenia perspektywy i przede wszystkim specyficzne odwzorowanie koloru. Obrazy wykonuje się, albo odmalowując rzucany na płótno slajd, albo przemalowując je za pomocą „siatek". Jak w rysunkowych ćwiczeniach dla dzieci – przekopiuj obrazek kwadrat po kwadracie. Mechaniczna technika doskonale pasuje do portretowanych czasów. Na gigantycznych płótnach uwiecznia się solniczkę i keczup na barowym stole, mamę malarza pozującą przy swoim chryslerze (Robert Bechtle), witryny sklepów (Richard Estes), wraki na złomowisku (Don Eddy), motocykle, neony, stacje benzynowe... Pustkę przedmieść, samotność stalowo-betonowego centrum, wszędobylstwo i nachalność reklamy. Po prostu Amerykę. Powiększoną, przerysowaną, prawdziwą jeszcze bardziej niż na zdjęciach.

Oryginalny fotorealizm trwa tylko kilka lat i jest uprawiany przez małą grupę malarzy. Malowanie ze zdjęć szybko staje się po prostu efektowną techniką i traci intelektualny kontekst. Fotorealistyczne zachody słońca i malowane w XXI wieku, odwołujące się do nostalgicznych klisz obrazy cadillaców to zupełnie inna para kaloszy. □

„Amerykański sen" – *Muzeum Narodowe w Krakowie, wystawa czynna do 4 października. Wystawie towarzyszy seria arcyciekawych wykładów, koncertów i przeglądów filmów. Całość pod hasłem „Ameryka. Ameryka"*

Nawiązania do fotografii obecne w formie i treści. Portret mamy Roberta Bechtle'a mógłby się znaleźć w rodzinnym albumie, **gdyby tylko nie miał 170 cm podstawy**. *Poniżej: Odbicia, załamania i lustrzane wariacje w obiektywie i na płótnie Richarda Estesa*

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE (8)

FOT. SONY, BOGDAN KREŻEL, MAREK SZCZEPAŃSKI, LEMGROUP, WWW.ADAMWALLACAVAGE.COM, SEBASTIAN ERRAZURIZ/WWW.MEETSEBASTIAN/COM, ABDUCTIONLAMP.COM

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:
ŁADNE RZECZY O MARTWYCH ZWIERZĘTACH, SZARY O MARTWYCH LEGENDACH, A KRZYŻÓWKA O MARTWYM OWOCU (ADAM ODDAŁ EWIE – OGRYZEK)

KONKURS

Uwaga, konkurs!!! Czytaj „Przekrój" i wygraj! Jakie jest najpopularniejsze „Przekrojowe" imię? Osoba, która jako pierwsza wyśle prawidłową odpowiedź na adres rozrywka@przekroj.pl, otrzyma książkę Marty Kuszewskiej „Szerszy kadr". Odpowiedź z zeszłego tygodnia: najbardziej prestiżowy konkurs golfowy odbędzie się w Szkocji.

Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Legendy – czarno na białym? Pozory mylą

NIC TAK NIE OŻYWIA FANA jak śmierć jego bóstwa, choć Szara stwierdziła, że już dawno wyrosła z bycia fanką. – To dobre dla nastolatek – powiedziała, wyciągając z szuflady stare skarby. – Szkoda wyrzucić – tłumaczyła się – przecież oni pchnęli sztukę do przodu. – Żartujesz? – prychnął Szary, obracając w ręku lusterko z Gretą Garbo, wycięte z „Przekroju" zdjęcie Brigitte Bardot, płytę Marleny Dietrich i plakat Marilyn Monroe. – Czy te aktorki czasami nie przerosły dzieła, które stworzyły?

Szara zaprzeczała, ale gdy ją zapytał o tytuły ich filmów, nie była w stanie zbyt wiele ich wymienić, a te, które pamiętała („Książę i aktoreczka", „Królowa Krystyna" czy „Błękitny anioł"), nie należały w jej oczach do wybitnych.
– Ty je kochasz, bo one umarły młodo – powiedział Szary. – Albo schowały się przed światem. Wczesne pożegnanie z tłumami bardzo pomaga w przejściu do legendy. – Ha, i kto to mówi! – wykrzyknęła Szara, która przypomniała mężowi jego bezkrytyczne uwielbienie dla Rimbauda, Mozarta, Chopina, Wyspiańskiego, Stachury, Cobaina czy Lennona. – No dobrze – przyznał Szary i nagle skarby jego i Szarej stworzyły jeden zbiór, dowodząc, że podział na kulturę wysoką i popularną nie ma sensu. Legendy przekraczają tę granicę, nawet jeśli same granic sztuki nie przesuwają. By stać się legendami, muszą odejść albo wcześnie, albo przynajmniej w tragicznych okolicznościach (Gaudi stający się własną architekturą w momencie tragicznego spotkania z tramwajem).
Szarzy byli jednak zgodni, że śmierć to jednak trochę mało do stworzenia legendy. Idol powinien mieć TO COŚ, a jego cień powinien być większy niż on sam. Lecz co stwarza ów cień? Może tak zwane problemy życiowe? Niby tak, ale przecież Tina Turner miała nieszczęśliwą młodość, lecz czy to jej wystarczy, by stać się legendą? Szary szczerze wątpił, wszak od pewnego czasu jej życie było oblane miodem niczym wieczór MTV z muzyką Jamesa Blunta i nie bez przyczyny nazywano ją babcią Tiną. – Czy wyobrażasz sobie, żeby ktoś powiedział „babcia Marlena", choć Dietrich też dożyła sędziwego wieku? – zapytał Szary. Więc kto? Madonna? Ta jest właściwie nie artystką, lecz fabryką, na którą pracuje taśma Forda. Zresztą czy rentierka może być postacią tragiczną? – Przecież Marilyn też była bogata... – Szara nie dawała za wygraną. – Pozory mylą – odpowiedział mąż. – Czy wiesz, że M.M., która w „Mężczyźni wolą blondynki" miała rolę materialistki, zarabiała mniej niż Jane Russell, która tam zagrała idealistkę? – Może ci, którzy naprawdę przeszli do legendy, to nieśmiali ekstrawertycy? – snuła domysły Szara. – To nie sprzeczność. Oni są gwiazdami na scenie. Gdy z niej schodzą, więdną jak liście.
Na ulicach tłumy żegnały kogoś, kto raz był czarny, raz biały, ale nigdy nie był postacią, u której wszystko było oczywiste, czarno na białym. Dlatego stał się Legendą. □

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski

LEWO MYŚLNIE

Patrioty na slumsy

Polem walki XXI wieku będą najgęściej zamieszkałe i zabudowane przestrzenie miejskiej nędzy. Amerykanie już się przygotowują do wojen miejskich

ROMAN KURKIEWICZ

NIE DOSTANIEMY (MY, POLSKA) AMERYKAŃSKICH PATRIOTÓW, nawet nienaładowanych, nawet nieuzbrojonych, nawet pustych członów, nawet lateksowych makiet. Jest impas w rozmowach. Amerykanie odsuwają od siebie wizję budowania tarczy rakietowej, chcą się poprzytulać z Rosją, Polska została w swojej śmiesznej gotowości na baczność, kiedy Obama – jak zresztą zapowiadał – dał na spocznij. Ale my lubimy przed dużym na baczność. A z kolei duży patrzy, gdzie mu coś naprawdę grozi. Myśli, analizuje, liczy, obserwuje, symuluje, bada, nazywa. Polska doktryna wojny ułańskiej jest już pewnym przeżytkiem. Amerykanie zauważyli, że planeta nam się odwioskowała i stała się miastem. Bo w miastach żyje już większość ziemian. Ogromnymi zespołami miast, gdzie zamieszkują miliony czy dziesiątki milionów ludzi. Ubogich? Nie. Skrajnie ubogich, radykalnie ubogich. W slumsach świata mieszka dzisiaj miliard ludzi. Jeśli słowo „mieszka" jeszcze w ogóle tutaj pasuje, jeśli jeszcze nadaje się do użycia. Zagęszczenie, brak podstawowych wygód, kanalizacji, dostępu do toalet, bez komunikacji, bez przyszłości. To świat problemów nierozwiązywalnych, bo nierozwiązywanych. W Polsce kompletna abstrakcja. Fawele? Slumsy? Podpalenia? Gangi? Ruchy sprzeciwu? Gdzieś tam żyje miliard ludzi, którzy mają często poniżej dolara dziennie na przeżycie. W dużej mierze ciężar utrzymania ponoszą dzieci i kobiety. Dla Polaków na dorobku to jakaś abstrakcja. My tu chcemy bezpiecznie żyć pod osłoną amerykańskich patriotów, choćby i nieuzbrojonych. Lecz do tamtego „gdzieś tam" się nie jeździ z „TransformacjaTravel". A jak się nie jeździ, to się i nie myśli. Ale kiedy my nie myślimy, myśli ktoś inny. Otóż okazuje się, że Pentagon myśli. Pentagon czyta demografów, socjologów miasta, socjologów biedy, urbanologów, czyta raporty ONZ. Pentagon wie, że ojczyzną miliarda ludzi jest slums. I że to jest ognisko gniewu, ognisko nieopanowywalne, cywilizacja wroga i nieokiełznana. I kiedy Pentagon przebadał, to zrozumiał, że wojna XXI wieku będzie wojną w „zdziczałych i przegranych miastach Trzeciego Świata". To będzie wojna stała, pełzająca, o niskim natężeniu. Megaslumsy będą nowymi frontami i polami walki. I Pentagon myśli o nowych poligonach, żeby być gotowym, żeby porażka w Mogadiszu tak ładnie pokazana w „Helikopterze w ogniu" była tylko złym wspomnieniem. Trzeba szukać przestrzeni zabudowanych, opuszczonych, gęstych od budynków, z blokowiskami, bazarami. Nowa wojna wymagać będzie nowych dekoracji i metod. Leśne poligony drawskopomorskie to nie jest przyszłość. Ile czasu zajmie Polakom wymyślenie, że trzeba Amerykanom zaproponować blokowiska? Bo inaczej patrioty, puste czy zbrojne, nigdy nie nadlecą? A może udać się na spocznij i przypomnieć sobie, co znaczy wojna miejska dla mieszkańców miasta? □

7 Amerykanie odsuwają tarczę antyrakietową, Obama woli się poprzytulać z Rosją

ŁADNE RZECZY!

OLA SALWA

Agroturystyka 24/7

Po co wyjeżdżać na wieś lub do lasu, skoro można mieć zwierzęta w salonie?

Może tak Brzechwa wyobrażał sobie **kaczkę dziwaczkę**? *Wymiana buraczków na żarówkę była korzystna!*

Oto ciekawy dialog z kulturą myśliwską lub hołd dla **„Polowania na jelenie"**

NATURALNIE W WERSJI PRZYSTOsowanej do miejskich warunków, czyli po prostu martwe. I niekoniecznie jest to okrutne, bo znając współczesne standardy, żadne zwierzę nie ucierpiało podczas produkcji tych przedmiotów. Tak więc, drodzy ekolodzy, nie wymachujcie w formie protestu widelcem z kotletem sojowym. Oczywiście kacza lampa i żyrandol z poroża oraz czaszki jelenia pasują bardziej do scenografii filmu Tima Burtona niż typowego miejskiego pokoju z wielocalowym telewizorem i uroczymi meblami z Ikei. Czasem jednak przydałoby się wpuścić trochę świeżego powietrza i niepokojącego nastroju* do prostych form, kolorów lub miękkawej kanapy. Takie zastępcze wakacje z duchami (zwierząt). □

Ta lampa to świetna terapia szokowa dla dzieci, które mają lęk przed ciemnością. Lepiej bać się **UFO**

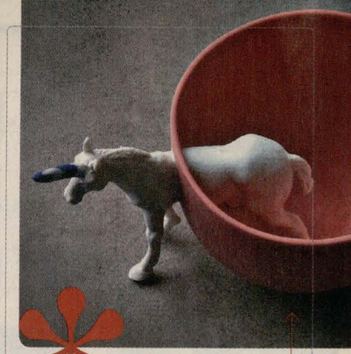

Jednorożce i kolor różowy to najbardziej obciachowy synonim dziewczęcości. W ujęciu fińskiej grupy LEM lukier i infantylizm przełamuje groza. W końcu dziewczyny też lubią horrory.

MYŚLNIK

Brzuchomówców nie trzeba kneblować. Zaciska się im tylko pasa.

Krzysztof Bilica

Refleksja po lekturze **„Planety slumsów" Mike'a Davisa**, *wyd. Książka i Wiedza, tłum. Katarzyna Bielińska*

KRZYŻÓWKA NR 26

PRZYGOTOWUJE ZESPÓŁ KALIBER 45

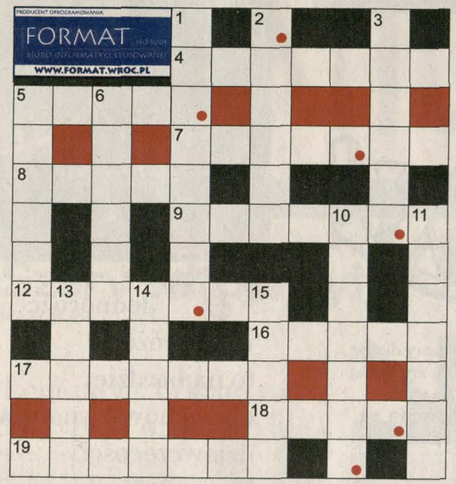

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

4. JAKI Z NIEGO CHŁOPIEC
5. B... PO LODZIE
7. ADAM ODDAŁ EWIE
8. ROBI RÓŻNICĘ
9. MĘSKI ZAWÓD
12. JEDNOSTKA SUMIENIA
16. DESZCZU STRUGI
17. STARY PASZTET
18. LEPI GO ZJEDZ
19. PRĄD DO HERBATY

PIONOWO:

1. DOBRY DLA RYB
2. POD SIEDZĄCYM BIZONEM
3. TAŃCE, HULANKI, NIEWOLA
5. ROŚNIE WĘDKARZOM
6. RODZICE NIE ZNALEŹLI MU MIEJSCA W WARSZAWIE
10. PLANTACJA KOKOSÓW
11. UMIERA ZE STRACHU
13. JEDZIE NA SSANIU
14. STOPIEŃ LUB W DZIENNICZKU
15. WIEWIÓRKA ORZECHY

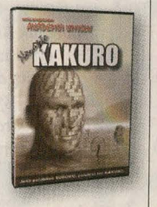

Sponsorem nagród jest FORMAT – producent nowoczesnego oprogramowania edukacyjnego **www.akademia-umyslu.edu.pl**

JOLKA NR 26

AUTOR: JERZY BUCZEK

WYRAZY 9-LITEROWE:
- LATA W CZERWCU
- NATURA LUB POPRZEDNI WŁAŚCICIEL KONIA

WYRAZY 8-LITEROWE:
- PRZY „NIE DOTYKAĆ!"
- REALIZUJĄ SIĘ W PIANKACH
- WOKAL W KORONIE

WYRAZY 7-LITEROWE:
- CHOROBA BOYSBANDÓW
- ZE SZKIEŁKIEM MU DO OKA
- PERCIE DLA POCZĄTKUJĄCYCH
- GDZIE SIĘ ROZWIJA, TAM SIĘ ZWIJA I ROZWIJA

WYRAZY 6-LITEROWE:
- POTWIERDZI: TRĄBALSKI NIE PAMIĘTAŁ
- ROZDĘTE NA HIPODROMIE
- CHLUPIĄ NA TECHNOLOGA
- PODANE NA TAPCZANIE

WYRAZY 5-LITEROWE:
- CELUJE W OKULISTĘ
- BRĄZ PO PRZEJŚCIACH
- POWRACAJĄCA NIEPIERWSZYZNA
- ZAPATRZONE W CHMURĘ

WYRAZY 4-LITEROWE:
- W FORMULARZU PIT-UF!
- BOSAK NA GOLASA
- PO ROZBICIU TERMOMETRU ROZPOCZYNA NOWE ŻYCIE
- CIACHO BALBINKI
- NARZUCAJĄ SIĘ MAŁYM POŻAROM
- OSTRZY SOBIE ZĘBY NA NIEBIE

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
A		■	M	■				U				
B		Z				■	R	■		■	Ł	■
C	Ą	■		■		■		■		T		
D				C						■		■
E		■		■		■	■	■	P			
F		■					T				■	
G					■	■			■		■	
H	■	D	■								I	
I	U				■		■	E	■		■	
J	■		■		■	Ą	■				Y	
K					R				■	O	■	

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

B4_E3_F12_E1_C11_K1_A9_I4_H7_/I10_B1_D5_G8_D11_C7_/I6_J4_D9_C12_/H8_G10_F6_/ H9_J10_F1_F3_I12_K4_/K2_E5_E12_J8_A10_G4_.

Uwaga! Jolkę nr 26 i krzyżówkę nr 26 możesz też wydrukować ze strony WWW.PRZEKROJ.PL

JESZCZE RAZ RACZKOWSKI

Wygraj jedną z 10 **LOGICZNYCH GIER KOMPUTEROWYCH „Niezwykłe KAKURO" (Biuro Informatyki Stosowanej FORMAT)**. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRKK.HASLO JOLKI lub PRKK.HASLO KRZYZOWKI na numer **72606**. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój", ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 26" lub „krzyżówka 26". Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 12 lipca 2009 roku. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Edipresse Polska SA z siedzibą w Warszawie przy ul. Wiejskiej 19, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

ROZWIĄZANIA Z NR. 24

KRZYŻÓWKA: TROTUAR
Poziomo: 4. WYGRYWA Z PRĘDKOŚCIĄ DŹWIĘKU – WIRTUOZ 5. AZOR – WYSPA 7. ANGIELSKIE TUMANY – NADMIAR 8. KTO LEPSZY, TEN PIERWSZY – SPORT 9. MA CHŁOP SZCZĘŚCIE – URODZAJ 12. CZUJE PIECZENIE – PIEKARZ 16. WYCIOR – ALARM 17. KTÓRA WIĘCEJ MALIN ZBIERZE... – KONKURS 18. ROŚNIE NA KLATCE – PIERŚ 19. ŚWIĘTO SZCZURÓW – KANALIA
Pionowo: 1. WIELE HAŁASU O NIC – AWANTURA 2. PIERWSZE OBJAWY ODRY – ŹRÓDŁO 3. KOLEJNE MIEJSCE – LOKATA 5. NUMER DO OPOLA – WYSTĘP 6. KOŁO I KRESKI WOKOŁO – SŁOŃCE 10. NIEUDANIEC – ZAKALEC 11. NIE JEMU ŚCIEL – JEJMOŚĆ 13. IUMIERA – IKONA 14. SŁOMIANA PANNA – KUKŁA 15. Ł DO PRACY – ZASPA

JOLKA: UNISONO NA POMIESZANE JĘZYKI (z repertuaru Czesława Niemena)
Rzędami: FIGURY, ŚMIGŁO, TRANZYT, MAKI, SOKOLNICTWO, ROBOTYZACJA, HERB, FINEZJA, KECZUP, STOŁKI
Kolumnami: TREFL, IMPAS, KOMBINAT, OGNIK, OSTRZAŁ, FOTEL, ZNAKI, GRANICA, CHĘCI, ROZSTAJE, ARBUZ, STROP

LAUREACI Z NR. 22

KRZYŻÓWKA:
Tadeusz Błaszkowski, Skalbmierz; Grupa Antares, Łódź; Elżbieta Krawczyk, Ruda Śląska; Agnieszka Mazurek, Klaudyn; Małgorzata Olszewska, Gliwice

JOLKA:
Marian Cholerek, Bielsko-Biała; Ireneusz Luchowski, Tarnobrzeg; Joanna Maciarz, Kraków; Bogusław Szumilewicz, Iłża; Barbara Zielińska, Kraków

KUBA DĄBROWSKI

Tata Błysk

Harold E. Edgerton, czyli jak wynalazca elektronicznej lampy błyskowej fotografem został

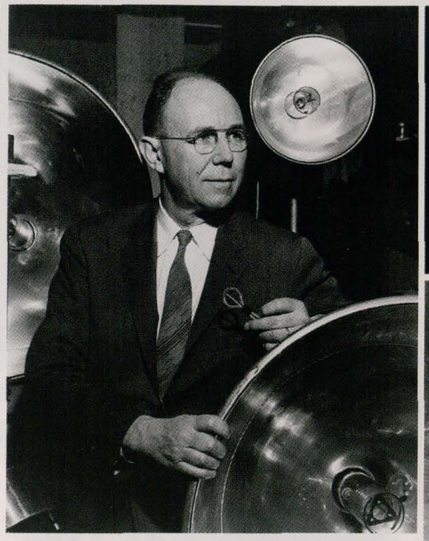

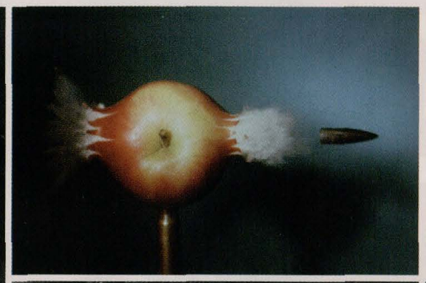

Przed Edgertonem zdjęcia oświetlano głównie za pomocą „lamp spaleniowych". Kontrolowany wybuch magnezji trwał około 1/15 sekundy i nie był zsynchronizowany z migawką. Metoda była nieprecyzyjna i niebezpieczna

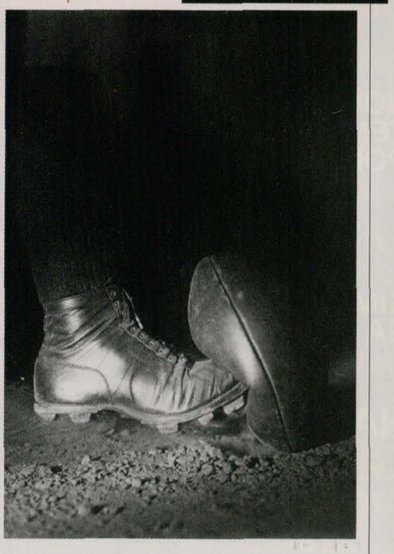

FOT. CORBIS, PROFESSOR HAROLD EDGERTON/SPL/EAST NEWS (4)

JEST ROK 1927. HAROLD EUGENE EDGERTON JEST na ostatnim roku studiów w prestiżowym Massachusetts Institute of Technology, kierunek: elektrotechnika. Jego życie zapowiada się dosyć nudno. W ramach badań do pracy magisterskiej Edgerton musi przyglądać się silnikowi elektrycznemu podczas pracy. Opracowuje w tym celu stroboskop. Z częstotliwością zgodną z częstotliwością obrotów silnika automat odpala elektroniczny flesz. Błysk oświetla silnik za każdym razem w tej samej pozycji. Dzięki temu szybko poruszający się obiekt można oglądać tak, jakby był nieruchomy. Edgerton broni pracę z wyróżnieniem.

W 1931 roku młody doktorant postanawia sprawdzić swój wynalazek w zestawieniu z aparatem fotograficznym. Moc błysku pozwala pracować przy stosunkowo małych czułościach klisz. Efektem są dwa rodzaje zdjęć – długo otwarta migawka i seria błysków zapisują cały przebieg ruchu (zdjęcie skoczka do wody), krótko otwarta migawka i pojedynczy błysk (czas trwania nawet do 1/1 000 000 sekundy) rejestrują niezauważalne gołym okiem mikromomenty: kurz opadający po kopniętej piłce do rugby, rozprysk wody nurkującego pingwina...

Zdjęcia poza niewątpliwą estetyczną przyjemnością przynoszą dane do analiz dla fizyków. Edgerton opatentowuje swój wynalazek i próbuje sprzedać go producentom aparatów fotograficznych. Bezskutecznie. Ale środowiskowa sława naukowca rośnie, a elektroniczna lampa błyskowa zyskuje coraz to nowe zastosowania. W 1939 roku amerykańska armia zatrudnia Edgertona do skonstruowania lampy pozwalającej fotografować z samolotu w nocy, za jej pomocą dokonuje się między innymi rozpoznania terenu przed lądowaniem w Normandii. W 1940 roku zrobiony z jego stroboskopowych animacji krótkometrażowy film „Quicker 'n a Wink" dostaje Oscara. Po wojnie na zlecenie Jacques'a Cousteau naukowiec tworzy lampę do oświetlania dna morskiego, później razem z kapitanem pracuje nad sonarem. Za jego pomocą odnajdują zatopiony wrak transatlantyku „Brittanic". Marynarze z załogi Cousteau nadają Edgertonowi przydomek „Papa Flash". □

Pyłki kurzu po kopniętej piłce, rozprysk wody nurkującego pingwina – takie detale mogły w fotografii zaistnieć dzięki lampie Edgertona

REKLAMA

DIGITAL IXUS

IXUS 100 IS

Kreuj zdjęcia. Twórz historie.

Canon

Miejska Biblioteka Publ. CZAS Krakowie

BIAŁA SKÓRA, PROSTY NOS – NOWE SZALEŃSTWO OPERACJI PLASTYCZNYCH OGARNIA ŚWIAT >26

PRZEKRÓJ

NR 26/3340 / 2 LIPCA 2009 / CENA 4,95 ZŁ
/ W TYM 7% VAT /

WWW.PRZEKROJ.PL

JEDZENIE
NOWY, GORĄCY TEMAT W POLSKIEJ POLITYCE
>24

GDY PISARZ ROBI W SERIALU...
KIM NAPRAWDĘ SĄ SCENARZYŚCI
>50

NAJDROŻSZY CRISTIANO RONALDO
>34

BIAŁY KRÓL
CZARNY KRÓL

Michael Jackson (1958–2009)

INDEKS 371424
ISSN 0033-2488
26
9 770033 248908